AGENOR HR. GOŁUCHOWSKI

W PIERWSZYM OKRESIE RZĄDÓW SWOICH

(1846—1859).

(Ciąg dalszy).

Po krytycznym wywodzie obaj wnioskodawcy przystępują do skreślenia samodzielnego projektu a przedewszystkiem do sformułowania jego podstawowych zasad, które w streszczeniu tak opiewają: 1. Decyzya cesarska, zalecająca uszanowanie praw osób trzecich, powinna w projekcie zostawać ile możności w harmonii z wyrażoną przez stany gotowością do polepszenia doli ludu galicyjskiego. 2. W projekcie uchylić należy wszelkie źródło sporów między dworem a poddanymi. 3. Ekwiwalent za świadczenia urbaryalne należy oznaczyć według ich wartości bez zarządzenia nowych szacowań, gdyż w przeciwnym razie byłyby potrzebne mozolne i długo trwające prace przygotowawcze, a ich rezultat byłby niedostateczny. 4. Szkodliwe dla kultury krajowej stosunki co do używania pastwisk i lasów, które opierają się na zwyczaju i niezawsze dobrze zrozumianej opiece nad poddanymi, należy usunąć. 5. Należy zabezpieczyć dobrze nabyte prawa osób trzecich w reformie, która nawet w czasach spokojnych kredyt na wstrząśnienia wystawia. 6. Ponieważ skarbowi państwa ubędzie przedmiot opodatkowania, przeto należy interesa jego zabezpieczyć, aby ubytek w dochodach nie był pokrywany wyższemi podatkami z produkcyi rolnej, zanim producenci nie wzmogą się na siłach. 7. Przeprowadzić należy reformę w czasie ile możności jaknajkrótszym i kosztem jaknajmniejszym, aby wydatki nie pochłonęły znacznej części kapitału wynagrodzenia, ani nie zaciążyły dotkliwie na obowiązanych do spłaty.

W myśl tych zasad projekt hr. Gołuchowskiego i Maurycego Kraińskiego przyznaje posiadaczom gruntów poddańczych wolną własność na nich a za to jednocześnie ustać mają ciążące na dworach zobowiązania na rzecz poddanych *(sarta tecta, fundus instructus* i bezpłatna pomoc w razie nieurodzaju lub innej klęski). Równocześnie wydany być ma regulatyw co do bezzwłocznej arondacyi gruntów dworskich i poddańczych. Drugi regulatyw określi dla poszczególnych powiatów minimum posiadłości włościańskiej a to celem zapobieżenia zbytniemu rozdrobnieniu gruntów poddańczych. Z przejściem gruntów na własność poddanych ustać mają za wynagrodzeniem dworów, w regulatywie oznaczyć się mającem, wszelkie robocizny i daniny poddańcze. Wymiar wynagrodzenia oprzeć należy na fasyach urbaryalnych, przedkładanych władzy przez dwory dla celów podatkowych. Z urzędownie w ten sposób w pieniądzach oznaczonego rocznego dochodu urbaryalnego wypadałoby przy wymiarze wynagrodzenia potrącić: 5% na wydatki zarządu połączone z poborem prestacyi urbaryalnych, 5% na uzupełnienie na rzecz poddanych kompensaty, jaka miałaby nastąpić co do wzajemnego prawa pastwiska na ugorach i ścierniskach, 10% za ustać mające prawo poboru budulca, drzewa opałowego i gałęzi z lasów dworskich, 10% za ustające wraz ze stosunkiem poddańczym zobowiązania dworów (bezpłatna jurysdykcya patrymonialna, prawne zastępstwo przed sądami, koszta zawiadowania policyi miejscowej, poboru wojskowego oraz koszta połączone ze sprawami lokalnej policyi sanitarnej), wreszcie równocześnie uchylić się mający a na 5% skapitalizowany podatek urbaryalny.

Gmina może przypadający na nią kapitał wynagrodzenia złożyć w gotówce, z której część na skarb państwa za podatek urbaryalny przypadająca złożona będzie w kasie państwowej a reszta dworowi się należąca na ręce uprawnionego z zastrzeżeniem kauteli prawnych co do dłużników. W razie niemożności uiszczenia kapitału wynagrodzenia w gotówce gminy wydadzą 4% obligi, opiewające na dwory, co do ich kapitału wynagrodzenia a na skarb państwa co do kapitału wynagrodzenia za podatek urbaryalny. Każda gmina miałaby odsetki od wystawionych obligów opłacać w kwartalnych ratach z góry a nadto łącznie z drugą kwartalną ratą odsetków także 1% całego długu, jako roczną ratę na umorzenie kapitału dłużnego. Spłaty miałyby być dokonywane w rządowych kasach podatkowych. Ponieważ cała gmina *in concreto* wystawiałaby obligi, więc także poręczać miała punktualną

spłatę tak odsetek, jak i rat amortyzacyjnych kapitału solidarnie całą posiadłością gruntową, rozdzielając obie sumy pod nadzorem urzędów podatkowych pomiędzy członków swoich według stopy opłacanego podatku. Zwierzchność gminna miałaby wykazywać zaległości władzom rządowym, obowiązanym do użycia środków egzekucyjnych.

Co do obligów indemnizacyjnych zastrzeżone były prawa osób trzecich tak samo jak co do spłaty kapitału wynagrodzenia w gotówce. Obligi, opiewające na dwory obciążone długami hipotecznemi, miałyby być składane do depozytu, a właściciele otrzymywaliby zamiast kuponów asygnaty na odsetki. Gdzie długów niema a także i tam, gdzie długi z biegiem czasu umorzone zostały, właściciele mogliby otrzymać z możnością puszczenia w wolny obrót obligi, opiewające stosownie do ich żądania bądź to na okaziciela, bądź na pewne nazwisko. Rozumie się, że wnioskodawcy rozwinęli także we wszystkich szczegółach sposób losowania i spłaty obligów indemnizacyjnych, utworzenia funduszu rezerwowego itd.

Władzom rządowym (obwodowym) porucza projekt obliczenie na podstawie fasyi urbaryalnych wynagrodzenia należnego od poszczególnych gmin, przyczem zawsze uczestniczyć mają strony interesowane. Cała manipulacya kredytowa z obligami (przepisywanie, losowanie, wypłata wylosowanych obligów i zapadłych kuponów, administracya funduszu rezerwowego itp.) miała być poruczona osobnej w tym celu ustanowić się mającej komisyi centralnej, albo dyrekcyi stanowego Towarzystwa kredytowego, celem znacznego zniżenia kosztów, które według wysokości kwoty wynagrodzenia miałyby być rozłożone w równej mierze na obie strony interesowane.

W dodatku do powyższego projektu wnioskodawcy w osobnem *exposé* przedstawili motywa, któremi kierowali się w pracy swojej: „Powód — tak opiewa wstępny ustęp tego wywodu — dla którego podpisani zupełne zerwanie węzła obowiązków i praw między dworem a poddanymi uważają za potrzebne a nawet za nieodzowne, leży głównie w tem, że z małemi wyjątkami rozgoryczenie, nienawiść i nieufność poddanych wobec dworów tak się pogłębiły, iż dla zabezpieczenia wewnętrznego spokoju nie wystarczy to już obecnie, jeżeli się połowicznemi środkami zacznie uśmierzać doprowadzone do najwyższego stopnia wzburzenie umysłów. Że obawy podpisanych nie są przesadne, że do złożenia tego oświadczenia skłania ich nie samo ciężkie, głęboko wstrząsające wrażenie ostatnich wypadków, na to dowodem mnożące się w nieskończoność

od lat dziesięciu skargi poddanych i częste asystencye wojskowe, wysełane przeciw opornym gminom poddańczym. chociaż każdy nieuprzedzony świadek przyznać to musi, iż postępowanie dziedziców wobec poddanych właśnie w ostatnich czasach znacznie na lepsze się zmieniło.“ Zbyt przejrzystą jest konkluzya, że nie dwory. lecz niegodziwe postępowanie cyrkułów wywołało właśnie w latach poprzedzających rabacyę, takie nadzwyczajne zaostrzenie się stosunków poddańczych. Referent. radca gubernialny, nie mógł wówczas w sposób dobitniejszy dać guberninm do zrozumienia, że to, co ono mówi w swojej relacyi o „niegodziwych dziedzicach“ *(böswillige Grundherrn)*, jako sprawcach złego, jest nieprawdą.

Jeszcze śmielszy ton przybiera elaborat hr. Gołuchowskiego tam, gdzie jest mowa o przykrej sytuacyi dworów na wypadek przyjęcia projektu gubernialnego. „Po zamianie robocizny pańszczyźnianej — tak opiewa ten ustęp — na pieniężne opłaty tem gwałtowniej i uporczywiej żądza ludu wiejskiego skierowana zostanie w tym kierunku, aby pozostawione mu wobec dworów prawa, mianowicie służebności pastwiska i poboru drzewa z lasów, wyzyskane zostały w sposób jaknajdotkliwszy dla zobowiązanych. Chociażby dla podniesienia kultury leśnej w kraju wydane zostały przepisy ochronne, to nigdy one nie zabezpieczą dostatecznie dworów przed złą wolą włościan i nadużyciami urzędników władzy wykonawczej, którym zbyt często jestto na rękę, jeżeli wobec stojących przed nimi stron zamożniejszych dają uczuć ciężkość ramienia swojego. A po zaprowadzeniu urzędów powiatowych urzędnikom takim przypadnie zadanie przymusowego ściągania zaległych czynszów od gmin, które notorycznie niechętne są uiszczaniu wszelkich. jakąbądź nazwę mających. prestacyi dla dworów. Wskazówki te powinnyby wystarczyć na wyobrażenie sobie smutnej doli galicyjskiego właściciela dóbr, któremu w razie zastosowania środków, zaleconych w projekcie gubernialnym, uprawa roli byłaby utrudniona. Tylko zupełne uchylenie dzisiejszych stosunków może włościanina przywieźć do opamiętania i zrobić zeń z czasem spokojnego sąsiada wobec dzisiejszego dziedzica.“

W dalszym ciągu elaborat hr. Gołuchowskiego odpiera po kolei zarzuty, podnoszone w komisyi gubernialnej przeciw ścisłości obliczenia procentowych potrąceń, które według jego projektu wchodzą w rachubę przy oznaczeniu wysokości wynagrodzenia na podstawie fasyi urbaryalnych. Matematyczna ścisłość jest w kombinacyach tego rodzaju niemożliwą. O ile jednak z racyonalnych przypuszczeń wysnuć się dają praktyczne wnioski, hr. Gołuchowski

dla swojego projektu śmiało reklamuje wyższą miarę trafności, a na wszelki wypadek zastrzega się przeciw zarzutowi dowolności, która, jak to w komentarzu objaśnia, cechuje właśnie kombinacye projektu gubernialnego.

Według szczegółowych wykazów cyfrowych, dołączonych do referatu, wartość rocznych prestacyi urbaryalnych wynosiła według fasyi podatku urbaryalnego w r. 1846 w Galicyi (oczywiście z wyłączeniem W. X. Krakowskiego) 5.800.084 złr. Po strąceniu pozycyi powyżej wykazanych (koszta zarządu, uzupełnienie kompensaty co do prawa pastwiska, wynagrodzenie za prawo poboru drzewa i zrzeczenie się korzyści prawnych ze stosunku poddańczego) w sumie łącznej 1.740.025 złr. i po strąceniu rocznego podatku urbaryalnego w sumie 531.668 złr., pozostawałby dochód 3,528.391 złr. jako podstawa do wymiaru wynagrodzenia dla uprawnionych. Skapitalizowany według stopy 5% dochód daje sumę 70.567.822 złr., która według projektu Agenora hr. Gołuchowskiego i Maurycego Kraińskiego dostaćby się miała uprawnionym w obligach 4%. Z tabeli, w której dochód z tych obligów zestawiony został z wartością prestacyi urbaryalnych po potrąceniu podatku urbaryalnego, okazuje się, że uprawnieni ponosiliby w dochodach corocznie ubytek w kwocie 2,445.703 złr.

Wnioskodawcy czuli to dobrze, że w projekcie swoim posunęli się do najdalszej granicy w ustępstwach dla poddanych i dla rządu, który wyłączeniem i skapitalizowaniem podatku urbaryalnego dla siebie zjednać pragnęli, a jeszcze lepiej czuli to, że przyjęta przez nich wysoka miara ustępstw idzie na rachunek tej właśnie klasy społecznej, do której sami należeli a która już przedtem z winy rządu była w swoim bycie materyalnym podcięta. Ale w sumieniu obywatelskiem ofiara taka wydała się im godną tych wielkich korzyści moralnych i społecznych, jakieby spłynęły na kraj ze stanowczego uprzątnięcia nieszczęsnej sprawy pańszczyźnianej łącznie z serwitutową. To przekonanie przebija z końcowego ustępu elaboratu hr. Gołuchowskiego. Ustęp ten, łączący się z poprzedniem treściwem zestawieniem głównych postanowień obu projektów, tak opiewa: „Który z tych projektów lepiej odpowiada opłakanemu stanowi Galicyi i lepiej zabezpiecza trwały spokój i dobrobyt kraju, o tem niech orzeknie najwyższa decyzya. Podpisani pozwalają sobie jeszcze tylko dodać uwagę, że tutejsi właściciele dóbr są gotowi do wszelkich ofiar, aby tylko wydobyć się z dzisiejszego stosunku do poddanych.“

Gdyby to w chwili, gdy cały galicyjski operat pańszczyźniany a z nim jako *votum separatum* także projekt samodzielny Agenora hr. Gołuchowskiego i Maurycego Kraińskiego wpłynął do kancelaryi nadwornej w Wiedniu, znalazł się był tam mąż stanu z szerszym poglądem na sytuacyę społeczną nie w samej Galicyi tylko, lecz w całej Austryi! Bo że wtedy stosunki agrarne nie w samej tylko systematycznie rujnowanej i przytem spotwarzanej Galicyi były opłakane i wymagały tak szeroko zakrojonej reformy, jak to obaj powyżsi wnioskodawcy w swoim projekcie wskazali, to wobec pewnie niepodejrzanego świadectwa w najświeższych niemieckich publikacyach historycznych [1]) nie ulega najmniejszej wątpliwości. Gdyby tedy taki mąż stanu, wyższy nad uprzedzenia i szablony współczesnej biurokracyi Metternichowskiego systemu, więc zarazem przystępny dla tych już wówczas widocznych oznak zaciemniającego się dokoła, jak zawsze przed wielką burzą, widnokręgu polityczno-społecznego, podjął był z naciskiem otrzymany z Galicyi zawiązek wielkiej zbawczej reformy! Jeżeliby na ten temat snuć wypadło kombinacye, to punktem wyjścia nie byłoby porównawcze zestawienie kwoty indemnizacyjnej, jaka przypadła po r. 1848 Galicyi [2]) i innym prowincyom austryackim za zniesienie pańszczyzny, dokonane w pospiechu pod naciskiem wypadków rewolucyjnych, przeprowadzone niedołężnie i z takiem opóźnieniem, że lata całe trwał przewrót w stosunkach gospodarczych z nieobliczoną szkodą dla dobrobytu ogólnego a sama indemnizacya w braku zaufania publicznego do tej całej operacyi kredytowej w znacznej części zmarniała dla interesowanych. Punktem wyjścia musiałby być fakt, że później nie za jednym zamachem złe zostało uchylone, jak to zalecał projekt hr. Gołuchowskiego i Kraińskiego, ubijając od razu nieszczęsną kwestyę serwitutową, lecz rozłożono i rozwleczono całą reformę tak, jakgdyby chciano pozostawić ferment rozstroju społecznego dla dalszej praktyki zasady: *divide et impera* zwłaszcza tam, gdzie, jak w Galicyi, rozstrój taki służył zarazem celom repressyi narodowo-politycznej.

Ale w Wiedniu przy ocenieniu lwowskiego operatu pańszczyźnianego rozstrzygającemi były te zgubne zasady, które jako dy-

---

[1]) Ob. n. p. Maximilian Bach: *Geschichte der Wiener Revolution im Jahre 1848* — Wien 1898, str. 308—316 i 623.

[2]) Na Galicyę wschodnią i zachodnią przypadła w dziesięć lat później według obliczenia dr. Mikołaja Zyblikiewicza (*Indemnizacya* — Kraków 1880, str. 24—5) kwota 75,371.638 złr. w 5% (podatkiem obciążonych) obligach, ale z wyłączeniem służebności.

rektywę wypowiadały pisma i projekty, zawarte w powyżej wspomnionej tece Arcyksięcia Ferdynanda. Szlachcie polskiej niemożna dać indemnizacyi, bo to byłby gotowy fundusz na dalsze powstanie, stosunku pańszczyźnianego zupełnie rozwiązać niemożna, bo chłop, trzymany w zależności pańszczyźnianej od dworu i przez opiekuńcze władze przeciw nim rozgoryczany, uchodził zawsze za wyborną asekuracyę przeciw zapędom rewolucyjnym polskiej szlachty!

Do Galicyi wysłano wtedy jako „nadzwyczajnego pełnomocnego komisarza nadwornego" Rudolfa hr. Stadiona, brata późniejszego gubernatora galicyjskiego, Franciszka hr. Stadiona. Ten komisarz nadworny, ani intelligencyą, ani szerokością poglądu a już najmniej rozumem stanu dorównujący bratu swojemu, popisywał się w Galicyi drobnemi experymentami administracyjnemi, jak n. p. ustanowieniem komisarzy exponowanych, w sprawie pańszczyźnianej zaś nie umiał zdobyć się na pogląd już nie wyższy, ale przynajmniej taki, żeby ztąd wnosić można było, że komisarz nadworny umie własnemi oczyma patrzeć i widzieć a nie idzie ślepo za dyrektywami wiedeńskiemi, co mógł uczynić w Wiedniu, nie trudząc się wcale podróżą do Galicyi.

Owóż wskutek polecenia tego komisarza nadwornego gubernium lwowskie okólnikiem z dnia 25. listopada 1846 Nr. 71881, do władz obwodowych wystosowanym, obwieściło regulacyę pańszczyzny według najwyższego postanowienia z dnia 12. listopada 1846 r. Odwołuje się ono do postanowień patentu pańszczyźnianego z 16. czerwca 1786 i wydaje przepisy „w ostatecznem dopełnieniu zarządzeń zapewnionych najłaskawiej patentem z 13. kwietnia 1846". który, jak wiadomo, zawierał pewne ulgi niejako w nagrodę za lojalność wśród rabacyi okazaną i zapowiadał dalsze ulżenie ciężaru pańszczyźnianego.

Regulacya pańszczyzny, ostatnim okólnikiem gubernialnym zarządzona, albo raczej dopiero zapowiedziana, przyjęła za zasadę, że miarę powinności poddańczych stanowić ma połowa dochodu ze wszystkich posiadłości poddańczych po strąceniu kosztów uprawy a do tej wysokości pańszczyzna ma być w nowych regestrach rozłożona i przypisana na podstawie stopy podatkowej w klasach, według wysokości opłacanego podatku ustanowionych. Osobne klasy ustanowiono dla pańszczyzny pieszej a osobne dla ciągłej. W szczegóły tego rozporządzenia nie wchodzimy tutaj, bo potrzebnem byłoby to chyba w monografii historycznej o pańszczyźnie. Wystarczy samo zaznaczenie, że, jak tego obawiać się należało,

taka regulacya wywołać musiała rozczarowanie u obu stron interesowanych. Poddani, uważający od chwili rabacyi pańszczyznę za darowaną przez rząd, ujrzeli się nagle wobec nowej normy pańszczyźnianej, okrojonej bardzo kosztem uprawnionych, ale w tym okrojonym wymiarze niejako na długo prawnie ustalonej, uprawnieni zaś nietylko zawiedli się w oczekiwaniu, że komisya gubernialna doprowadzi wreszcie do jakiegoś wyzwolenia z dotychczasowych ciężkich stosunków z poddanymi, lecz nadto znaleźli się w położeniu jeszcze gorszem od dotychczasowego. Doznali bowiem w rzeczywistości nowego dotkliwego okrojenia praw swoich, więc nowego obniżenia tej podstawy, która w danym razie miałaby rozstrzygać o wysokości wynagrodzenia, a w perspektywie mieli ciągłe zatargi z poddanymi, jeszcze więcej rozgoryczonymi przeciw dworom i jeszcze więcej utwierdzonymi w swoim oporze. Skoro bowiem dotychczasowem wyłamywaniem się z pod prawa zniewolili rząd do częściowego bodaj zniżenia pańszczyzny, to po dalszym oporze mogli już oczekiwać ziszczenia wszystkich zachceń.

W kołach szlachty niezawodnie znane były szczegóły obrad komisyi gubernialnej z maja i czerwca 1846 r. nad sprawą zniesienia pańszczyzny. Znany być musiał także ów powyżej omówiony elaborat hr. Gołuchowskiego. Wnosić to można ztąd, że już z początkiem r. 1847 ukazała się w Lipsku pisana oczywiście w r. 1846, bezimiennie wydana książka p. t. *Memoiren und Actenstücke aus Galizien im Jahre 1846* (gesammelt von einem Mähren), rzecz wyborna, obfita w ciekawe a nowe szczegóły o wypadkach r. 1846, zawierająca świetną charakterystykę perfidyi biurokratycznej w traktowaniu pańszczyzny a przytem i główne zasady owego elaboratu. Od pierwszej chwili domyślano się, że autorem tej książki jest Maurycy Kraiński, wierny i dzielny towarzysz hr. Gołuchowskiego tak w gubernialnej komisyi pańszczyźnianej z r. 1846, jak i później w innych ważniejszych sprawach krajowych w miarę, jak one, wychodząc po za sferę biurową, potrzebowały wytrawnej a rozumnej opinii z kół obywatelskich. Znając tedy śmiały ton owego elaboratu i stanowczy charakter owego projektu, mogła szlachta przypuścić, że skoro takim głosom wolno już było ozwać się w murach gubernium lwowskiego w obliczu srogiego br. Kriega, to wolno będzie wreszcie i jej samej, jako stronie interesowanej, wnieść potulną żałobę i pokorne przedstawienie w sprawie pańszczyźnianej, mianowicie w sprawie świeżo zamierzonej regulacyi.

Wniosła tedy szlachta dn. 23. stycznia 1847 r. następujące pismo (oczywiście w niemieckim języku) na ręce br. Kriega:

„Wysokie Prezydyum krajowe! Regulacya dotychczasowych poddańczych stosunków w Galicyi, tak pełna znaczenia z powodu wpływu swojego na majątki tabularnych właścicieli ziemskich, na los poddanych i na kulturę krajową w ogóle, staje się wśród obecnych stosunków tem ważniejszą, ile że nowe zasady sprowadziłyby w wykonaniu bardzo znaczne dysproporcye w rozdziale poddańczych powinności, dysproporcye te zaś spotęgowałyby jeszcze więcej wzburzenie panujące między ludem wiejskim, poparłyby wpływy sprzeczne z porządkiem a zagrażające bezpieczeństwu publicznemu. Przekonanie o konieczności reformy tych stosunków wzbudziło na ostatnich sesyach w galicyjskich stanach krajowych uprzedzającą gotowość do chętnego poniesienia wszelkich z tą kwestyą nierozdzielnie połączonych ofiar a i dziś jeszcze niezniechęceni nadmiarem tych ofiar, jakkolwiek one wśród panujących stosunków będą dotkliwe dla poszczególnych właścicieli, my niżej podpisani oświadczamy ze świadomością, iż wyrażamy opinię znacznej większości współobywateli, naszą gotowość do złożenia tych ofiar dla dobra publicznego u stóp Tronu, jako rękojmię naszej uległości i naszego niezłomnego zaufania w najwyższą sprawiedliwość Najjaśniejszego Pana, z najzupełniejszą ufnością, że Najj. Pan po uznaniu tej potrzeby czasu raczy najłaskawiej przy zamierzonej regulacyi stosunków poddańczych interesa poddanych pogodzić i zjednoczyć z interesami tabularnych właścicieli ziemskich. Ponieważ atoli przy zastosowaniu wypowiedzianej woli najwyższej do tak różnorodnych uprawnień i zwyczajów lokalnych łatwo przewidzieć się dają niepodobne do usunięcia trudności, które wzbudzają uzasadnioną obawę, że lokalne interesa i indywidualne dobrze nabyte prawa mogłyby ucierpieć po nad miarę zakreśloną z powodu ich niedostatecznego rozjaśnienia, przeto powstało ogólne mniemanie, że objaśnienie ze strony tabularnych właścicieli ziemskich przedłożyć się mające, na doświadczeniu i dokładnej znajomości stosunków lokalnych oparte, mogłoby przy zaprowadzeniu nowego porządku usunąć wiele z tych trudności, stojących w drodze pogodzeniu najwyższych dobroczynnych zamiarów z wszechstronną sprawiedliwością Jego Ces. Mości. W przypuszczeniu, że gotowość do popierania naszego najłaskawszego Monarchy w dążeniu do tego wzniosłego celu będzie uważana za wyraz naszego wyłącznego i nieograniczonego zaufania do najwyższej sprawiedliwości, upraszamy najniżej, aby Jego Ces. Mość w najwyższej łaskawości

Swojej właścicielom dóbr tabularnych tej prowincyi najmiłościwiej zezwolić raczył, iżby ze swojej strony nie tykając zasad określonych w wypowiedzianej najwyższej intencyi, złożyli bezpośrednio u stóp Tronu wyjaśnienia, wysnute z doświadczeń a oparte na dokładnem przedstawieniu stosunków lokalnych, któreby przy zaprowadzeniu nowej regulacyi stosunków poddańczych w danym razie miały być wyzyskane a do ustalenia pewnego porządku nawet za niezbędne są uważane, iżby dalej w tym celu z powodu nagłości stosunków wolno im było albo na zwołać się mającym nadzwyczajnym sejmie, albo na najmiłościwiej dozwolonem zebraniu tabularnych właścicieli dóbr wybrać celem przedstawienia tych wyjaśnień grono osób, ogólne zaufanie posiadających. Upraszamy zatem Wysokie Prezydyum krajowe, aby tę naszą uniżoną prośbę do najwyższego Tronu najłaskawiej wnieść raczyło.“

Prośbę tę podpisało 45 obywateli ziemskich, reprezentujących stanowiskiem i majątkiem najwyższą warstwę społeczną. Niektórzy z podpisanych już swojemi godnościami dworskiemi powinni byli jeżeli nie ująć br. Kriega, to przynajmniej rozbroić jego nieufność co do lojalności intencyi. Przytaczamy dla illustracyi szereg podpisów: Kajetan hr. Lewicki, c. k. podkomorzy; Józef Korczak z Goraya Gorayski, strażnik sreber koronnych; Kazimierz hr. Badeni, krajczy koronny; Karol książe Jabłonowski, c. k. podkomorzy; Karol hr. Krasicki, c. k. podkomorzy; Alexander hr. Fredro; Henryk hr. Fredro; Władysław hr. Badeni; Alexander hr. Cetner; Włodzimierz hr. Russocki; Józef hr. Russocki; Piotr hr. Krasiński; Ksawery hr. Stadnicki; Leon hr. Stadnicki; Adam hr. Komorowski; Władysław hr. Rozwadowski; Konstanty hr. Siemieński; Adam hr. Baworowski; Kajetan hr. Karnicki; Ludwik Skrzyński i t. d.

Z fenomenalnym jak na powolność ówczesnej biurokracyi pospiechem, bo już w czwartym dniu po dacie powyższego podania, wystosował br. Krieg w tej sprawie do najwyższego kanclerza hr. Inzaghiego relacyę, której ustęp główny — już nie *curiosum*, lecz istne *monstrum* wobec cywilizowanych pojęć o dostępności tronu dla prośb obywateli państwa — tak opiewa: „Chociaż już samo zbiorowe podpisanie tego podania uprawniałoby mię do zwrócenia prośby bez skutku, to jednak nie robię użytku z tego prawa, gdyż między podpisanymi znajduje się grono osób, które należą do poważniejszych i lepiej myślących mieszkańców. Pozwalam sobie zatem podanie to przesłać Waszej Excellencyi do powzięcia decyzyi z tą uwagą, że poczytuję sobie za najważniejszy

obowiązek z wszelkim naciskiem postawić wniosek, aby prośba ta pozostawiona została bez skutku.“

Odmowny wniosek uzasadnił br. Krieg w sposób także monstrualny, bo dodaje, że chociaż prośba nie zawiera żadnych bliższych szczegółów, wiadomo mu „ze słychu“, iż chodzi o zakwestyonowanie dat prowizorycznego katastru co do obszaru gruntów włościańskich, ich wydatności i wartości produktów, o wykazanie zmian zaszłych w stosunkach posiadania, potrzebę nowego pomiaru i oszacowania gruntów i t. p., jednem słowem o szereg kwestyi pierwszorzędnego znaczenia dla zamierzonej reformy. A wszystko to zbił br. Krieg krótką uwagą, że żądania szlachty są — albo raczej w gubernialnem przewidywaniu byłyby — niesłuszne i służyłyby tylko za pretext do przewleczenia sprawy. Niedość na tem, br. Krieg był tak fanatycznym antagonistą szlachty polskiej w Galicyi, że nie poprzestając na powyższej ujemnej relacyi do najwyższego kanclerza, odpis jej przedłożył wszechmocnemu wówczas wobec Metternicha i dworu ministrowi policyi, hr. Sedlnitzkiemu, z prośbą o poparcie odmownego wniosku gubernialnego. W tej drugiej relacyi żądanie szlachty oczywiście przedstawione zostało jako niegodne uwzględnienia, a przy końcu zaklął niejako br. Krieg swojego protektora taką uroczystą, w formułach biurokratycznych niezwykłą, apostrofą: „Przedmiot ten wywiera najdonioślejszy wpływ na spokój i bezpieczeństwo kraju. Przyznanie jakiejkolwiek koncesyi byłoby niebezpiecznem dla dalszego istnienia spokoju i porządku, a ja w takim razie nie mógłbym już ręczyć za ich utrzymanie, wskutek czego pozwalam sobie prosić usilnie, aby także Wasza Exc. raczył mój wniosek swoim potężnym wpływem jaknajsilniej poprzeć.“ Niepotrzeba nawet dodawać tego, że br. Krieg postawił na swojem i zamierzony zjazd szlachty udaremnił.

Jakby rąbek jasnego nieba wśród ciężkich chmur, cały widnokrąg zalegających, odsłonił się dla ciężko skołatanego kraju jaśniejszy punkt na widnokręgu politycznym, słaby promień nadziei lepszej przyszłości, w chwili, gdy usuwał się z widowni kraju typowy przedstawiciel biurokracyi Metternichowskiego pokroju, istny demon kraju, br. Krieg, a w gubernium galicyjskiem rządy objął Franciszek hr. Stadion, brat Rudolfa, niefortunnego bohatera ostatniego stadyum sprawy pańszczyźnianej.

Nowy gubernator Galicyi, wyższy o całą głowę wiedzą, talentem administracyjnym i rozumem stanu po nad całe otoczenie biurokratyczne ówczesnej Austryi, uważany za fantastę w czasie

rządów swoich w Tryeście, ale. jak się później pokazało. już wówczas dotknięty początkami tej strasznej choroby nerwowej. która go w kilka lat później najpierw duchowo a potem fizycznie w stosunkowo młodym jeszcze wieku zabiła. przybył do Galicyi z intencyami z pewnością jak niebo od ziemi odbijającemi od tych. jakiemi hr. Krieg ze swoim sztabem biurokratycznym był przejęty. Hr. Franciszek Stadion był Niemcem, patryotą austryackim dusza i ciałem, więc oczywiście intencye te nie mogą być tak pojmowane i taką miara oceniane. jakgdyby chodziło o Polaka. Pragnął być pacyfikatorem ciężko skołatanej Galicyi i misye tę swoja przedstawił centralnemu rządowi zaraz na wstępie do Galicyi w obszernej relacyi. która kończyła się wnioskiem zdjęcia sekwestru z dóbr ks. Czartoryskich i darowania prawnych następstw kondemnaty karnej kilkunastu wybitnym spiskowcom, między tymi także dr. Franciszkowi Smolce. W texcie tej relacyi odsłonił rządowi centralnemu tajniki niegodnego postępowania galicyjsko-austryackiej biurokracyi. nie pomijając wypadków r. 1846 z otwartością. która zaszczyt mu przynosi i przynosić nie przestanie. jeżeli akt ten w całości autentycznej. jako materyał historyczny, dojdzie do szerszej wiadomości. Uczynimy to przy innej sposobności w innej pracy.

Utarty u nas w latach 1848—1849 a i dotąd jeszcze w niekrytycznych reminiscencyjnych pracach o tym okresie czasu całkowicie podtrzymywany wyrok potępienia, którym opinia polska obciążyła pamięć hr. F. Stadiona w Galicyi jako „wynalazcy Rusinów“ i wroga Polaków. wymaga bodaj częściowej rewizyi ze strony nieuprzedzonej krytyki historycznej. Kto się tego zadania podejmie w imię sprawiedliwości historycznej. podzieli przedewszystkiem działalność hr. F. Stadiona wobec Galicyi na dwa okresy: pierwszy obejmujący ową misyę pacyfikatorską. o której powyżej pobieżnie. tylko mimochodem, wspomnieliśmy i drugi zaznaczony w historyi istotnie pewną niechęcią ku polskości, z której jednak przebijała nie niegodna męża stanu wyższej miary nienawiść rasowa, lecz raczej głębokie rozgoryczenie człowieka. zawiedzionego w swoich nadziejach czy planach politycznych a w dodatku już nerwowo ciężko chorego. W takim razie narzuci się pytanie: czy ta zmiana była tylko dziełem kaprysu chorobliwego. czy także następstwem faktów, które zniweczyły nadzieję hr. F. Stadiona, że zdoła przeprowadzić dzieło pacyfikacyjne w Galicyi tak. aby prowincya ta została dobrą administracyą przejednana i zjednana dla Austryi? W odpowiedzi na to pytanie można będzie niejako palcem wskazać kalendarzową datę, od której zaczęła się owa nie-

chęć hr. F. Stadiona wobec polskości. Już od połowy marca 1848 drażliwość jego była we Lwowie przez radę i gwardyę narodową na ciężką próbę wystawiona, ale wszystko to mogłoby się było jeszcze dobrze skończyć, gdyby nie owo głośne, drukiem 30. kwietnia 1848 r. wobec całego świata ogłoszone oskarżenie, które deputacya polska w Wiedniu wniosła do Ministerstwa z żądaniem śledztwa i komisyi przeciw F. hr. Stadionowi a które przesłał mu Pillersdorf celem usprawiedliwienia się. Hr. F. Stadion napisał obszerne usprawiedliwienie, które na jego żądanie zostało urzędownie drukiem ogłoszone. Ton tego aktu jest tak drażliwy, oskarżenia przeciw Polakom taką goryczą zaprawione, że niemal trudno uwierzyć, iż pochodzi od autora owej pierwszej relacyi z r. 1847 z wnioskami amnestyjnemi. Gdy tak rzecz stanie, historyk nie będzie mógł wydawać nowego wyroku bez ocenienia owego aktu oskarżenia deputacyi polskiej, w którym nawet za niezręczności stylistyczne pewnych okólników gubernialnych, za nietaktowne kroki pewnych starostów a wreszcie za pewne zarządzenia gubernialne, które dopiero w niezręcznem wykonaniu mogły dać powód do poważnego zażalenia, hr. F. Stadion przedstawiony został w takiem świetle, jakgdyby to był hr. Krieg w nowem wydaniu, jakgdyby postępowaniem swojem zmierzał ku ponownemu wywołaniu rabacyi z r. 1846. Szczególnie ten ostatni zarzut musiał do żywego dotknąć hr. F. Stadiona, bo rzeczywiście niemiał podstawy a był krzywdzącym dla męża stanu takiej miary i zostawał w rażącej sprzeczności z intencyami, z jakiemi on do Galicyi przybył. Czy inne szczegółowe grawamina, przytoczone w tem oskarżeniu, nie były co najmniej przesadne, to historyk, przeprowadzający rewizyę wyroku na hr. F. Stadiona wydanego, będzie musiał dobrze zbadać. To jednak pewna, że jeżeliby ten akt oskarżenia mieli ponownie podpisać nie dziś, lecz już kilka lat później, sami jego autorowie, z których jeden, dr. Floryan Ziemiałkowski, jeszcze niedawno jako żywy świadek mógł być powołany, nie uczyniliby tego przynajmniej bez zastrzeżeń, ostrze skargi bardzo łagodzących.

Ta krótka charakterystyka gubernatora hr. F. Stadiona była tutaj niezbędną z tego powodu, że z jego nazwiskiem łączy się nierozdzielnie wywyższenie Agenora hr. Gołuchowskiego w hierarchii biurokratycznej, wywyższenie tak znaczne, tak niezwykłe nagłym skokiem na stromej ówczesnej drabinie awansowej (z radcy gubernialnego, na szarym końcu według lat służby umieszczonego, został hr. Gołuchowski wiceprezydentem gubernialnym), iż cały ówczesny świat biurokratyczny a za nim i opinia łamała sobie

głowę nad pytaniem, zkąd i za co takie wywyższenie? Wtedy to powstała owa legenda o autorstwie Agenora hr. Gołuchowskiego co do przypisywanego hr. Stadionowi „wynalezienia Rusinów“ w Galicyi, legenda długi czas powtarzana jako pewnik, dziś już tylko kiedy niekiedy odgrzebywana, zawsze jeszcze jednak zasługująca na to, aby bliżej zbadać jej genezę i miarę prawdopodobieństwa. Uczynimy to później, gdy przyjdzie kolej na sprawę ruską a tutaj przedstawimy tylko według materyału archiwalnego z tych czasów stan rzeczy co do wywyższenia hr. Gołuchowskiego.

Autentycznej informacyi co do opinii hr. Stadiona o hr. Gołuchowskim z owych czasów a tem samem także informacyi o powodach jego nadzwyczajnego awansu szukać należy przedewszystkiem w przedstawieniu nominacyjnem, które adresowane było wprawdzie do Ministerstwa, ale z natury rzeczy dostać się musiało do Cesarza, jako rozstrzygającego o nominacyi. Otóż w przedstawieniu tem, wystosowanem 7. kwietnia 1848 zaraz na telegraficzną wiadomość z Wiednia, że Cesarz powołał dotychczasowego wiceprezydenta gubernialnego we Lwowie hr. Filipa Kraussa na ministra skarbu, pisze hr. Stadion do Ministerstwa, co następuje: „Jest rzeczą pilnie potrzebną, aby mi jaknajrychlej dodany został do pomocy mąż, zasługujący na zaufanie rządu i kraju, posiadający już to zaufanie, któryby mię wspierał w kierownictwie spraw kraju a w razie mojej choroby lub jakiejkolwiek przeszkody samodzielnie objął kierownictwo w wytkniętym kierunku. Jako kandydaci już ze swojego stanowiska przedewszystkiem nasuwają się *radcy* dworu Andrzej Ettmayr, dr. Józef Wilhelm Eminger [1]) i Karol Czetsch Lindenwald. Wszyscy trzej są rządowi szczerze oddani; są to mężowie z charakterem na szacunek zasługującym, dzięki długoletniemu doświadczeniu i wprawie, zupełnie odpowiedni do zwyczajnego prowadzenia spraw, bardzo użyteczni urzędnicy w utartem tego słowa znaczeniu. Wszystkim tym trzem kandydatom jednakże wprost odmówić muszę zdolności do sterowania prowincyą oraz moralnej siły, potrzebnej w tym celu, aby wśród dzisiejszych trudnych stosunków utrzymać znaczenie legalnej powagi, wrzące dokoła namiętności siłą przekonania poskramiać i w karbach utrzymać. Nadto przeciw radcom dworu Emingerowi i Czetschowi oświadcza się opinia publiczna, zarzucając im, że swoje urzędowe stanowisko nadto wyniośle traktują. Pomijam zatem tych trzech urzędników i pozwalam sobie radcę gubernialnego Agenora hr. Gołuchowskiego

[1]) Dr. Eminger był później Namiestnikiem dolnej Austryi.

przedstawić najuniżej jako męża, którego uważam za zupełnie odpowiedniego do zajęcia stanowiska drugiego obok mnie kierownika gubernium, który dotychczasowem postępowaniem zjednał sobie moje zaufanie, którego wybór spotka się pewnie z uznaniem w kraju. Jest on bardzo zdolny, odznacza się bystrością umysłu i rozległem wykształceniem, jakiego potrzeba w tej chwili urzędnikowi, który ma sprostać dzisiejszym trudnym stosunkom. W Agenorze hr. Gołuchowskim łączy się silna wola ze spokojem, cechuje go wolne od wszelkiej zarozumiałości a pełne powagi postępowanie. Hr. Gołuchowski stoi obecnie na czele stolicy kraju jako prowizoryczny naczelnik magistratu, a jego szczerze lojalnemu, zarówno energicznemu jak oględnemu współdziałaniu zawdzięczam, że mi się dotąd powiodło utrzymać spokój i porządek w stolicy a za jej przykładem w prowincyi. Na tem stanowisku hr. Gołuchowski okazał zupełne uzdolnienie do samodzielnego prowadzenia spraw. Nadto hr. Gołuchowski, jako pochodzący z Galicyi, z rodu i stosunków majątkowych jest mężem wpływowym. Nominacyę jego powita kraj radośnie jako akt bezstronnej sprawiedliwości a malkontentom, zarzucającym ciągle rządowi, że kompetentom z innych prowincyi daje pierwszeństwo przed krajowcami, zamknie się usta w ten sposób. W interesie rządu i kraju proszę zatem W. Exc., aby mój najuniżeńszy wniosek mianowania hr. Gołuchowskiego gubernialnym wiceprezydentem jaknajusilniej poparł wobec Jego Cesarskiej Mości i wyjednał jaknajrychlejsze mianowanie, gdyż stosunki w Galicyi tak się ułożyły, że ich kierownictwo niemoże być na chwilę przerwane a także chwiejność na chwilę niemoże być dopuszczona. Stałoby się zaś to niezawodnie, jeżelibym w odosobnieniu mojem dotknięty został chociażby tylko krótką chorobą. Oczekuję zatem, co W. Exc. uznać zechce godnem wyrozumiałości, z największem upragnieniem jaknajrychlejszej nominacyi nowego wiceprezydenta."

Nominacya ta zapadła z fenomenalną na owe czasy szybkością, bo już najwyższem postanowieniem z 11. kwietnia 1848 r. W dekrecie nominacyjnym z 19. kwietnia 1848 r. hr. Stadion, zwalniając hr. Gołuchowskiego z kierownictwa magistratu lwowskiego, dodaje przytem te pochlebne słowa: „Składając JWPanu serdeczne życzenia z powodu tego dobrze zasłużonego awansu, proszę zarazem, aby przyjął wyrazy mojego najwdzięczniejszego podziękowania za połączoną z prawdziwem poświęceniem gorliwość w spełnianiu obowiązków poruczonego sobie urzędu i aby był przekonany, że zawsze z przyjemnością i uznaniem wspominać będę o czasach, kiedy Jego lojalne i otwarte postępowanie oraz Jego

zarówno energiczna jak oględna działalność na stanowisku naczelnika miasta tak znacznie przyczyniły się do tego, że spokój i porządek w mieście nie zostały zakłócone a sprawy urzędowe były w normalny sposób załatwiane.“

Br. Helfert, który doskonale znał stosunki i koleje polityczne hr. Stadiona, wymienia [1]) trzech wyższych urzędników gubernium lwowskiego, którzy stanowili najbliższe jego otoczenie we Lwowie i wskutek tego największy też wpływ na jego działalność wywierali. Byli to radcy gubernialni: Józef Oettel, Leon hr. Thun i Agenor hr. Gołuchowski. Pierwszy przybył razem z hr. Stadionem z gubernium tryesteńskiego, był niejako jego prawą ręką, pisał wszystkie ważniejsze relacye, w czem był rzeczywiście mistrzem, i mieszkał nawet w gmachu gubernialnym razem z hr. Stadionem; drugiego poznał hr. Stadion w Wiedniu, jako sekretarza czeskiej kancelaryi nadwornej; trzeciego mógł dopiero we Lwowie ocenić z tych przymiotów, jakie podniósł w swojej propozycyi nominacyjnej, a przedewszystkiem z tego, że zasługując na zaufanie rządu i kraju, nadaje się niejako do roli pośrednika pomiędzy niemi.

Stanowisko, jakie Agenor hr. Gołuchowski zajął, i rola, jaką odegrał w sprawie pańszczyźnianej, niewątpliwie musiała zwrócić uwagę nowego gubernatora zaraz na wstępie jego do Galicyi na młodego radcę, reprezentującego w ówczesnem gremium gubernialnem szlachtę polską, oddzieloną od rządu całą przepaścią najsmutniejszych wspomnień.

Hr. Stadion, przybywając do Galicyi z wyróżniającem go tak korzystnie wśród ówczesnego świata biurokratycznego poczuciem, że rząd winien w tej ciężko skołatatanej prowincyi podjąć misyę pacyfikacyjną nie represyjnemi środkami, lecz reformami około materyalnych i moralnych interesów ludności, musiał oczywiście w pierwszym rzędzie pamiętać o sprawie pańszczyźnianej, którą brat jego Rudolf na krótki czas przedtem powikłał ku większemu jeszcze niezadowoleniu tak poddanych jak i dworów. O zniesieniu pańszczyzny i całkowitej indemnizacyi, na czem opierał się projekt hr. Gołuchowskiego i Kraińskiego, hr. Stadion nie myślał wcale i gdyby nawet osobiście całkowicie godził się na takie rozwiązanie kwestyi, myśleć nie mógł, skoro w Wiedniu niewzruszonem było postanowienie utrzymania pańszczyzny w całem państwie a tem samem niedopuszczenia do niebezpiecznego precedensu w Galicyi. W jednym

---

[1]) Jos. Alex. Fhr. v. Helfert: *Geschichte Oesterreichs vom Ausgange des Wiener October-Aufstandes 1848,* Prag 1872, t. III.

punkcie jednak, i to bardzo ważnym, hr. Stadion zamierzał zgodnie z zasadami owego projektu złagodzić stosunek między dworem a poddanymi a to w ten sposób, aby wymiar pańszczyzny nie odbywał się indywidualnie, lecz całemi gminami *in concreto*, które same na swoich członków rozdzielać miały ciężar ogólny według stałej normy. Z tą myślą wystąpił hr. Stadion jeszcze przed objęciem rządów we Lwowie, gdy się w drodze zatrzymywał w kilku obwodach i tam ze starostami konferował. Po przybyciu do Lwowa hr. Stadion gorliwie wziął się do opracowania nowego projektu regulacyi pańszczyzny, a w obradach nowych komisyi i w ogóle w pracach przygotowawczych tym razem referentem był już nie Eminger, lecz wiceprezydent a późniejszy minister skarbu, Filip br. Krauss. Rozumie się, że hr. Gołuchowskiemu przypadł należny udział w tych obradach. Trwały one długo, bo potrzebne były nowe obliczenia, i skończyły się dopiero w początku r. 1848 przed wybuchem ówczesnego chaosu. Relacya do Wiednia odeszła dopiero 17. marca 1848 r. Zawierała ona szereg wniosków co do nowych urządzeń administracyjnych, które miały zdjąć z dworów niektóre ciężary dotychczas w zastępstwie gmin ponoszone, i projekt takiego uregulowania pańszczyzny, aby powinności urbaryalne wszędzie zniżone zostały o trzecią część, a skarb państwa przyznał wynagrodzenie tym właścicielom dóbr, którzyby w nowym planie regulacyjnym sumiennie przeprowadzonym ponieśli na poborach urbaryalnych uszczerbek, przewyższający powyższą miarę maxymalną. Regulacya miała wejść w życie 1. lipca 1848, ale wypadki tymczasem pokrzyżowały wszystkie te plany i sam hr. Stadion w relacyi swojej do Ministerstwa z 13. kwietnia 1848 r. odstąpił od nich, oświadczając, co następuje: „Przedstawione wnioski co do regulacyi pańszczyzny już nie wystarczają. Według mojego przekonania koniecznem jest, aby wypowiedziane zostało zniesienie pańszczyzny i aby przyjęto na państwo wynagrodzenie, do którego właściciele dóbr słuszną mają pretensyę, aby wreszcie pozostawiono przyszłemu parlamentowi obmyślenie sposobu i środków wynagrodzenia.“

Stanął tedy hr. Stadion w sprawie pańszczyźnianej dopiero w chwili wybuchu tego wielkiego rozstroju politycznego i społecznego, jakim w dziejach zaznaczył się r. 1848, na tem samem stanowisku, które hr. Gołuchowski zajął wraz z Maurycym Kraińskim dwa lata przedtem. Zaszło więc tutaj jedno z owych spóźnień, w które tak obfituje historya Austryi na jej nieszczęście i na szkodę tych, którym na jej bycie i sile zależy.

Hr. Stadion znał Galicyę z lat 1828—1832, kiedy jako młody urzędnik administracyjny (nadetatowy i bezpłatny komisarz) pełnił służbę najpierw w gubernium a potem w urzędach obwodowych w Stanisławowie i w Rzeszowie. W młodzieńczym wieku polityczny dar obserwacyjny nawet u ludzi wyższej miary nie jest i niemoże być tak wprawny i wytrawny, żeby w krótkim czasie i z kilku punktów kraju, więc niejako z ptasiego lotu, ogarnąć mógł wszystkie stosunki i z nich wysnuć trafne wnioski. Gdyby zresztą nawet hr. Stadion w tych latach poznał był Galicyę lepiej, aniżeli wszyscy inni urzędnicy obcej narodowości, to zawsze w chwili, gdy do niej wrócił na naczelne stanowisko urzędowe, gdy miał stanowczo rozwikłać lub rozciąć węzeł gordyjski pańszczyzny, zastał sytuacyę wypadkami r. 1846 tak zupełnie zmienioną, że potrzebował zaufanego i lojalnego doradcy, obok biegłego w prawie i piórze ale zupełnie niezoryentowanego w stosunkach Oettla, i obok może równie niezoryentowanego więc skłonnego do politycznego doktrynerstwa hr. Thuna. Do takiej roli powołany był z całej trójcy wpływowych radców gubernialnych jedynie Agenor hr. Gołuchowski. To też wpływ jego jest widoczny w relacyach, składanych Ministerstwu w chwili, gdy do Lwowa dotarła z Wiednia wiadomość o marcowem zwycięztwie prądu konstytucyjnego, poruszyła do głębi umysły w społeczeństwie polskiem i wywołała pamiętny adres lwowski do Cesarza Ferdynanda. Z relacyi, z którą adres ten wysłany został do Wiednia, przebija w niejednem miejscu ta idea polityczna, której Agenor hr. Gołuchowski służył do końca życia wytrwale, z niezłomną konsekwencyą, początkowo wbrew przemagającej opinii kraju, poniekąd zizolowany w polskiem społeczeństwie przez tę opinię, później dopiero z akcesem więcej umiarkowanych i wytrawniejszych kół politycznych a dopiero po latach dwudziestu, gdy za drugim powrotem na stanowisko Namiestnika (1866) miał jej zupełne zwycięztwo zapewnić, z uznaniem i poparciem całej polskiej intelligencyi politycznej w Galicyi, całego społeczeństwa polskiego. Idea ta polegała na tem, aby aktami rozumnej i wyrozumiałej polityki, sprawiedliwej i życzliwej administracyi kraju stopniowo wypełniana i wyrównywana była ta fatalna przepaść, jaką między polskiem społeczeństwem w Galicyi a Austryą wytworzyły z jednej strony rozpaczliwe porywy i błędy polityczne a z drugiej strony pół wieku trwająca gospodarka staroaustryackiej biurokracyi, ślepej w swoich zapędach germanizacyjnych a w r. 1846 wprost zbrodniczej w swojej zaciekłości przeciw szlachcie polskiej, jako rdzennej sile polskości.

Pod dyktatem hr. Stadiona a pod piórem radcy gubernialnego Oettla idea ta nie mogła oczywiście ani przybrać wyrazistych kształtów programu, ani nawet wybić się z referatowej frazeologii wobec Wiednia na wierzch tak śmiało, jak ją zapewne w poufnych konferencyach z gubernatorem hr. Stadionem rozwijał jego zaufany radca gubernialny hr. Gołuchowski. Że jednak hr. Stadion dla tej idei nie był nieprzystępnym, że w innym biegu wypadków i w innej konstellacyi stosunków byłby może oddał jej usługi w Wiedniu, na to dowodem niektóre ustępy z jego powyżej powołanej ważnej relacyi z dnia 24. marca 1848 r., która jako stylizowana wprost do Cesarza Ferdynanda ujęta została w poważną formę „najuniżeńszego przedstawienia".

„Pozwalam sobie — pisze hr. Stadion — polecić najusilniej najwyższej łasce Waszej Cesarskiej Mości trzeci punkt adresu lwowskiego co do ogólnej amnestyi politycznej. Wskutek najświeższych wypadków w Wiedniu, szczególnie wskutek najwyższego patentu z 15. marca b. r. w stosunkach politycznych dokonał się taki przewrót, że w całym kraju na pewne oczekiwany jest ogólny akt łaski dla wszystkich przestępców politycznych. Im rychlej i im w pełniejszej mierze akt taki nastąpi, tem szczerszą i trwalszą będzie wdzięczność. Jeżeli natomiast sprawa będzie przewlekana a rząd zamiast wyprzedzić życzenia kraju, ulegnie dopiero naciskowi i żądaniu, to sam pozbawi się wdzięczności a nieuniknionem następstwem byłoby uczucie goryczy, wzbudzone w większości właścicieli ziemskich przez to, że musieli dopiero niejako wymusić i naciskiem wydrzeć to, czego po monarszej łasce jako daru oczekiwali. Dla komisyi nadwornej w Krakowie tak samo, jak dla mnie we Lwowie koniecznością stało się wypuszczenie na wolną stopę za kaucyą osób, zostających w śledztwie za zdradę stanu. Akt ten powitano wszędzie radośnie, jako zapowiedź ogólnej amnestyi, za co ja go też uważam i dlatego w interesie monarchii muszę Waszą Cesarską Mość prosić najusilniej, aby drugi główny akt, ile możności, jaknajrychlej nastąpił. Wobec wzburzenia, panującego w całej Europie, wobec smutnych zajść w Berlinie, które tutaj sprawiły jaknajsilniejsze wrażenie, nie mogę dość dobitnie podnieść konieczności, aby rząd Waszej Cesarskiej Mości uprzedził słuszne życzenia, zwłaszcza takiej prowincyi, jak Galicya, gdzie się ma do czynienia nietylko z podniesionym do najwyższej miary entuzyazmem dla najliberalniejszych idei nowoczesnych, lecz nadto z polskiem poczuciem narodowem, które tak trudno godzi się z myślą o utracie samodzielności narodowej. Nad tem poczuciem można zapanować tylko

21*

przez nałożenie pęt jak w Rossyi lub przez doprowadzenie narodowości nie słowami, lecz czynem do przekonania, że jako samoistne państwo nie mogłaby być rządzona z większą sprawiedliwością, rozumniej i zbawienniej, że nadto pozostaje jej korzyść do należenia do wielkiego państwa, postępującego naprzód z duchem czasu. Wobec motywów takiej wagi wszystkie inne względy, przemawiające za takim aktem łaski, schodzą na plan drugi, wskutek czego tylko krótko zwracam na to uwagę, że z pomiędzy przestępców skondemnowanych bardzo wielu należy do kategoryi zaskoczonych i uwiedzionych w danej chwili a sprawców i kierowników powstania z wyjątkiem kilku, którzy występne dążności swoje już życiem przypłacili, nie mogło dosięgnąć karzące ramię sprawiedliwości. Po zasądzeniu tak wielu osób, które wskutek pożałowania godnego zbiegu okoliczności straciły opamiętanie i stały się przestępcami, przeważna część polskich właścicieli ziemskich pogrążona została w żałobę, gdyż mało jest rodzin, któreby w gronie krewnych lub powinowatych nie miały politycznych skazańców. Wszystkie te rodziny, jeszcze w żałobę pogrążone, rząd zobowiązałby amnestyą do radośnej wdzięczności a im prędzej nastąpi akt łaski, tem rychlej zatrą się ponure wspomnienia wypadków r. 1846. Akt łaski nie powinien ograniczać się tylko do samych kar, lecz także celem sprowadzenia zupełnego przejednania rozciągać na następstwa kary z wyjątkiem wydalenia z publicznej służby. Należałoby tedy na prośbę skazanych darować zapadłą wskutek karno-sądowej kondemnaty utratę szlachectwa i wykreślić wszystkie prenotacye pretensyi do zwrotu szkód i kosztów, sprowadzonych na skarb państwa przestępstwami politycznemi."

W adresie lwowskim z marca 1848 r. pierwszy punkt żądał „gwarantowania polskiej narodowości a więc zniesienia jej swobodnemu rozwijaniu na zawadzie stojących ograniczeń, zaprowadzenia polskiego języka w szkołach, sądach i urzędach politycznych." O tym punkcie pierwsza relacya hr. Stadiona zawierała tylko ogólną uwagę w tym duchu, że sprawa ta związana ściśle z podobnemi żądaniami innych narodowości pozostawioną być musi do załatwienia reprezentacyi państwa przy ułożeniu konstytucyi. Kiedy jednak z Ministerstwa wskutek polecenia cesarskiego zażądano od hr. Stadiona opinii także i o tym punkcie, napisał on w drugiej relacyi z 24. kwietnia, co następuje: „Ponieważ rząd Jego Cesarskiej Mości faktycznie objawił już zamiar nietylko poszanowania rozmaitych narodowości, lecz także popierania ich swobodnego rozwoju ze względu na wielki cel utrzymania jedności państwowej, przeto

prośba ta nie wymaga osobnego uwzględnienia. Ażeby jednak wykluczyć myśl, jakoby rząd Jego Cesarskiej Mości zamierzał Galicyę traktować jako organizm oddzielony od kompleksu reszty prowincyi niemiecko-słowiańskich i połączony z monarchią jedynie przez dynastyę, potrzebnem jest, by rząd w tej mierze objawił swoje zdanie stanowczo i bez ogródek, zapewniając ograniczony tylko względami na całą monarchię a zresztą wolny rozwój polskiej narodowości tak samo jak i ruskiej. Przestrzegając tej zasady, Jego Cesarska Mość raczy wydać najwyższe zarządzenie, aby w szkołach elementarnych na prowincyi nauka przepisana była jedynie w polskim lub ruskim języku stosownie do narodowości mieszkańców, a personal nauczycielski został zobowiązany do udzielania nauki języka niemieckiego w godzinach nadzwyczajnych wszystkim, którzy nauki tej za miernem wynagrodzeniem życzyć sobie będą, aby dalej w szkołach głównych trzyklasowych po za miastami obwodowemi obie pierwsze klasy postawione były na równi ze szkołami elementarnemi, a w trzeciej klasie uczono przedmiotów szkolnych w polskim języku, jednakże zobowiązywano przytem uczniów także do wyuczenia się niemieckiego języka, aby wreszcie w obwodowych szkołach głównych a także w szkołach głównych we Lwowie zaraz od pierwszej klasy począwszy uczono tak polskiego jak i niemieckiego języka. W gimnazyach należałoby religię i matematykę wykładać w polskim, historyę i geografię w niemieckim języku, naukę języka łacińskiego i greckiego ograniczyć do zrozumienia klasyków a natomiast szczególną uwagę zwrócić na niemiecki i polski język oraz na literaturę. W filozoficznych zakładach naukowych należałoby tylko filozofię i historyę wykładać w języku niemieckim a inne przedmioty w języku polskim, na prawniczym wydziale we Lwowie prawo natury, prawo kryminalne, prawo cywilne i prawo o należytościach skarbowych po niemiecku, inne przedmioty po polsku, prawo kanoniczne po niemiecku albo po łacinie. W sądach należałoby język łaciński, który w każdym sądzie z osobna przeistoczył się w odrębny żargon *(Kauderwälsch)*, całkowicie usunąć i pozostawić stronom swobodę wnoszenia podań i pism spornych w niemieckim albo polskim języku. Władze tak sądowe, jak polityczne i kameralistyczne posługiwać się powinny w korespondencyi wzajemnej jedynie i wyłącznie językiem niemieckim. Jednakże każda władza byłaby obowiązana spisywać protokoły ze stronami w języku polskim, jeżeli one tego zażądają a urzędowe załatwienie dla strony następować powinno zawsze w tym języku, w jakim wniesiono podanie.“

Tak mało ustępstw? — zapyta kto może, mając na myśli stan dzisiejszy. Tak wiele? — zapytać musi każdy, kto nie zapomina, że tak pisano w gubernium galicyjskiem przed 52 laty i do tego — w miesiąc po obaleniu Metternicha!

Trudno oprzeć się pokusie przytoczenia z relacyi hr. Stadiona jednego jeszcze ustępu, z którego przebija uczciwa informacya o stanie kraju. W relacyi do Ministerstwa z 12. kwietnia 1848 r. w obrazie opłakanych stosunków politycznych i społecznych tej doby pisze: „Dla zupełnego obałamucenia chłopa nie braknie emisaryuszy, podburzających go przeciw szlachcie i rządowi, zwracających jego uwagę na własną siłę fizyczną, która może go za jednym zachodem uwolnić od szlachty i rządu a zarazem uczynić panem kraju. Włościanin jest jeszcze spokojny, ale śledzi każdy krok znienawidzonej szlachty, okazuje się oddanym rządowi, ale na pomoc jego nigdy liczyć nie należy. Skoroby jej bowiem zażądano, niemożnaby myśleć o kierowaniu tą dziką siłą. Nienawiść obejmie kierownictwo a zwróci się przeciw właścicielom dóbr i szlachcie. Hasłem chłopów będzie nie popieranie, przywrócenie spokoju i porządku, lecz mord i zniszczenie!" Jeszcze silniej brzmi to ostrzeżenie w relacyi z 27. kwietnia 1848 r. „Nasza siła — pisze hr. Stadion do Ministerstwa — opiera się na bagnetach. Lud wiejski jest wprawdzie rządowi oddany, ale niemożna go rozbudzić ze spokoju, gdyż niemogę dość często i dość dobitnie wypowiedzieć tego przekonania, że jeżeliby lud wiejski wezwany został do pomocy, obrona rządu byłaby dlań tylko płaszczykiem a natomiast cel stanowiłyby mordy, rabunki i pożoga!"

Pewnie nie z raportów cyrkularnych czerpał hr. Stadion taką trafną informacyę o grozie interwencyi chłopskiej na rzecz rządu, bo postępowanie niektórych starostów ze szkoły Kriegowskiej było pod tym względem tak nietaktowne, jeżeli nie dwuznaczne nawet, że właśnie w chwili, gdy powyższe relacye doszły do Ministerstwa, wpłynęła tam także owa głośna skarga deputacyi polskiej w Wiedniu, obwiniająca nie samych tylko starostów, lecz także i gubernatora hr. Stadiona o niebezpieczne pobudzanie ludu wiejskiego do lojalnej na pozór interwencyi na rzecz rządu przez szachowanie polskiej szlachty.

Wkrótce potem wśród zamętu politycznego, potęgującego się z dnia na dzień akcyą polskiej rady narodowej i starciami gwardyi narodowej z wojskiem, wśród zamętu społecznego, wywoływanego i kultywanego przez ruską radę narodową we Lwowie i na prowincyi a spotęgowanego przez rząd nagłem, dorywczem zniesieniem

pańszczyzny bez wszelkich norm dla nowego ustroju stosunków agrarnych, hr. Stadion wezwany potajemnie na dwór cesarski w Innsbrucku, gdzie go czekały długo trwające rokowania o objęcie teki ministra spraw wewnętrznych, opuścił (4. czerwca 1848 r.) Lwów i Galicyę w najściślejszej tajemnicy nietylko przed szerszą publicznością, lecz nawet przed podwładnymi urzędnikami po za małem gronem zaufanych i wtajemniczonych. Wyjeżdżał z kraju rozgoryczony zaraz po wysłaniu do Wiednia owej głośnej odpowiedzi na skargę deputacyi polskiej, odpowiedzi, która stanowi zwrot w jego polityce wobec Galicyi, albo raczej wobec polskiej narodowości.

Przed wyjazdem hr. Stadion złożył nie rządy lecz tylko biurowe kierownictwo spraw w ręce Agenora hr. Gołuchowskiego, któremu zadanie to przypaść musiało już z tytułu hierarchicznego, jako wiceprezydentowi gubernialnemu. Wyraźnie przytem zastrzegł hr. Stadion, że wszelkie dyspozycye rządowe jego zastępcy wydawane być mogą tylko w ścisłem porozumieniu z komenderującym generałem, Wilhelmem br. Hammersteinem. Z nazwiskiem tego starego żołdaka z przeszłością kondotierską, sięgającą w czasy wojen napoleońskich, wschodzi na widnokrąg polityczny Galicyi dyktatura wojskowa, z początku ukryta przed światem, ale już wtedy przygniatająca, albo raczej paraliżująca tymczasowego kierownika gubernium, hr. Gołuchowskiego, w samodzielnej akcyi, wkrótce potem jawna i otwarta, brutalnie zainaugurowana bombardowaniem Lwowa, pod którego gruzami pogrzebane zostały także te wszystkie nadzieje, jakie wzbudzały pierwsze kroki nowomianowanego a tak sympatycznego gubernatora Wacława Zaleskiego. Wkrótce przyjdzie stanąć do twardej walki z tą dyktaturą jego następcy, Agenorowi hr. Gołuchowskiemu, do walki, w której zwycięztwo oczywiście polegać mogło tylko na odpieraniu groźnych ciosów. Do tych to czasów stosują się najlepiej słowa, wypowiedziane przez Wydział krajowy w publicznej odezwie do kraju z 14. września 1875 r., którą wezwał społeczeństwo do składek na pomnik dla zmarłego sześć tygodni przedtem Agenora hr. Gołuchowskiego. „Wiedziony uczuciem zasług zmarłego — tak się odezwał wtedy Wydział krajowy — zasług zdobytych w ćwierćwiekowej pracy, często wśród sytuacyi najeżonej trudnościami, do których przełamania lub złagodzenia trzeba było niezłomnej energii, wytrwałości a poniekąd i często zaparcia siebie samego. Wydział krajowy sądzi, iż trafił w myśl ogółu, powziąwszy postanowienie zajęcia się wystawieniem pomnika dla ś. p. Agenora hr. Gołuchowskiego.“

Zanim jednak przedstawimy zapasy Agenora hr. Gołuchowskiego z dyktaturą br. Hammersteina, z dyktaturą wojskową w ogóle, wypada nakreślić pobieżny bodaj obraz sytuacyi, wśród której dyktatura ta powstała i zapanowała.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dr. Bronisław Łoziński.

KORESPONDENCYA
JÓZEFA BOHDANA ZALESKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Do Panny Zofii Rosengardt.

Strasburg, d. 26. lipca 1845 r.

Zośko moja najmilsza, kochani nasi już o sto mil gdzieś. A wczoraj jeszcze dłoń w dłoni i serce przy sercu tuliliśmy się całą gromadką. Dziś w nocy przyjechaliśmy z Manheimu do Strasburga. Chora podróżna [1]) puściła się ku Saxonii, a Antek [2]) z moim Ludwikiem [3]) płyną Renem do Kolonii, Düsseldorfu i t. d. Józef i ja znowu sami, samiuchni błądzim po znajomych ulicach i rozpamiętujem o inszych, milszych dniach, cośmy tu przeżyli w Strasburgu. Dawne i świeże przypomnienia biorą w kręgi serce, to uciekać stąd co rychlej potrzeba. Jutro jedziem do Molsheim a potem do Kolmaru a potem ... sam jeszcze nie wiem gdzie? Gdzieś na wieś, na ustronie, ażeby przecież nie cały rok ladajako zmarnować.

Rozstrojony jestem, droga siostro, pożegnaniami, żal mi za życiem rodzinnem, co tak szybko się skończyło. Wszystko pierzchnęło nagle, jak sen. Sercu tem tęskniej i smutniej, że zakosztowało domowego szczęścia na chwilkę, na jedną chwilkę. Oj, dziwne i nieodgadnione to serce człowiecze! Czemu wiecznie w niem i mętno i smętno? Duch jednak błogosławi Panu i błogosławić będzie póki tchu. Duch, dusza rozumie tajemnicę bytu ziemskiego, nie żżyma się ku pracy i boleści, jak serce. Boleść, to stara matka nasza i pia-

---

[1]) Rzewuska.
[2]) Celiński.
[3]) Jankowski.

stunka, co wyhoduje nas dla Ojca, który jest w Niebiesiech. W boleści pieśń, piękność i wszelka prawda i wszelkie dobro. A więc święć się nam Matko nasza boleści! Boleść wypiastowała Chrystusa Pana, w niej żył i umarł, w niej odkupił rodzaj ludzki. Owóż po Chrystusowemu, po chrześciańsku potrzeba nam umieć żyć i umierać w boleści! to jest żyć i umierać z rezygnacyą i pogodą, a czego jednak rokoszanin w nas, s e r c e, nie chce żadną miarą czynić ochotnie. Zośko, i ty, wychowanka boleści, toś prawdziwie siostrzyczka moja na żywot i na wieki. Wypowiedzmyno wojnę na śmierć swoim rokoszanom, co pustoszą nam w łonach! Hej, ramię do ramienia.

Pojmujesz zapewnie dziś powód mego milczenia. Szczegóły podróży do Szwajcaryi i pobytu naszego w Badenweiler zostawiam do ustnej, da Bóg, kiedyś rozmowy. Z Antkiem przeżyłem razem niemal miesiąc. Pokochaliśmy się bardzo, przylgnęli sercami do siebie, jak bracia. Piękna to i szlachetna dusza. A serce? Serce nieocenione, jakiemu podobnych ledwie kilka zaznałem w życiu. Umysł takoż ślicznie ukształcony i będzie kiedyś chlubą rodaków. Daj Boże Polsce naszej więcej takich młodzieńców! A mójże Ludwik? Poznasz go, to sama ocenisz. Oj! złoty to chłopiec. Pysznię się nim, jak własnym synem. Z Antkiem często po całych godzinach rozmawialiśmy o tobie. Chłopcy nasi wracają do Strasburga za dziesięć dni, stąd przez Szwajcaryę pojadą do Monachium i t. d.

Bądź zdrowa, Zośko! Jestem dziś zdrożony, rozdrażniony w sercu świeżemi pożegnaniami, to myśli się nie kleją. Idę do kościoła w modlitwie poszukać ulgi. Pomodlę się i za ciebie. Bądź mi zdrowa jeszcze raz, moja ty miła, dobra, kochana siostrzyczko!

Brat

Bohdan.

Do Pani Konstancyi Tomaszewskiej.

Strasburg, 26. lipca 1845 r.

Szanowna moja Pani! Korzystam z wolnej chwili, jaka się po wielu dniach nadarza, aby dać przecież o sobie wiedzieć swoim kochanym. Wczoraj pożegnaliśmy w Manheimie naszą chorą [1]), która wyruszyła do Drezna na wodną kuracyę, a ku jesieni może da Bóg, że będzie mogła wrócić do domu. Mój Ludwik [2]) i Celiński odpro-

[1]) Rzewuska.
[2]) Jankowski.

wadzają podróżną do Frankfurtu, a więc znowu sami samiuchni z moim Józefem błądzim po Strasburgu. Dawne i świeże przypomnienia biorą w kręgi serce, to nie myślimy długo tu gościć. Kilka dni musimy jednak zabawić dla spółrodaków naszych, którym to dawniej obiecaliśmy. A potem odwiedzim Molsheim, a potem Kolmar, a potem . . . nie wiem, gdzie się udamy. Wiem tylko, że potrzeba mi cichego kątka, żeby przecież nie cały rok ladajako zmarnować. Za tydzień a najdalej za dziesięć dni wrócą moi Ludwik i Antoni, to po wyprawieniu ich do Szwajcaryi ostatecznie coś z sobą postanowim.

Dziękuję, Szanowna Pani, za długi, miły, serdeczny list, jakiście do nas wespół z panną Józefą napisały. Bóg wam zapłać stokrotnie za dobre słowo i życzenie. Na razie niepodobieństwo było odpowiedzieć. Właśnie puszczaliśmy się na włóczęgę. Włóczęga wprawdzie niedaleka, bo do Szafuzy, ale że z chorą i całym taborem, to wiele dni trwała. Potem goście mili, roztargnienia wyjazdu i pożegnania i t. p.

Wszystko pierzchnęło jak sen, a sercu tem tęskniej i samotniej, że podrażnione, że kosztowało domowego szczęścia na chwilę, na jedną chwilę. Oj, dziwne to serce człowiecze! Dusza wszakże błogosławi Panu i błogosławić będzie póki tchu. „Sława Bohu, sława Bohu za wsiu wsiaczynu!“ — jak mówi nasz kochany a biedny lud. Boleść, to nasza matka i piastunka, co wyhodowuje nas dla Ojca, który jest w Niebiesiech. W boleści pieśń, piękność i wszelka prawda i wszelkie dobro. A więc święć się nam Matko nasza boleści! Przepraszam za ten ustęp o boleści, który nie wiem, jak niechcący wyrwał mi się z pod pióra. Przepraszam tem bardziej, że myśl nie całkiem jasna, bo w sercu mętno. Boleść wypiastowała Chrystusa Pana, w niej żył i umarł, w niej odkupił rodzaj ludzki. Owóż po Chrystusowemu, po chrześciańsku potrzeba nam umieć żyć i umierać w boleści, to jest żyć i umierać z rezygnacyą i pogodą, a czego jednak rokoszanin w nas, serce, nie chce nigdy czynić ochotnie. Dość, dość tych, jak zowią u nas, adronów.

Szczegóły podróży i pobytu naszego w Badenweiler zostawiam do ustnej, da Bóg, kiedyś rozmowy. Czy zdrowi tam wszyscy u Pani mojej w domu? Kochanego kollegę Józefa całuję najczulej. Pannie Julii zasyłam uprzejme i najżyczliwsze pozdrowienie. Siostrzyczki Józi rączkę ściskam, i ściskam tem czulej i mocniej, że dobra, słodka, pobożna. Uradował mnie wielce jej przypisek w liście. Nauka, jako widzę, nie poszła w las. Błogosław jej, Boże, na żywot doczesny i wieczny. Młodego mego przyjaciela Stacha tulę do łona i ca-

łuję w oba policzki. A paniąż moją, panią Józefową, już nie wiem jak uczcić i umiłować? Oto polecam Bogu i Matce Boskiej z całym domem. Pokój Pański, łaska i ukołysanie niech spłyną z nieba na biedną Polkę i matkę wygnańców. Sciskam rączki jak rodzony brat

Bohdan.

Nie wiemy zgoła, co się dzieje w Paryżu między bracią emigrancką. Ksiądz Edward pisał już dawno i króciuchno. Można do nas adressować tymczasowo listy: à Strasbourg, poste restante.

Muszę się też pochwalić przed Państwem. A co to za nieoszacowany chłopiec mój siostrzeniec. Dusza osobliwej prostoty i przejrzystości a serce jakie miłujące, a umysł! Doprawdy, pysznię się nim, jak własnem dzieckiem. Towarzysz jego, Celiński, także kochany i niepospolitych talentów. Pociecha mi z nich była i da Bóg, będzie i Polsce. Może w zimie będą w Paryżu, to zapoznam ich z Państwem. Mają jeszcze kawał świata oblecieć przed zimą.

B. Z.

Kochana nasza i szanowna Pani Konstancyo! Pozawczoraj jeszcze płynęliśmy Renem wesoło, ani do myśli nie przyszło, że tak szybko, jak płynie woda, przejdzie to wszystko. Otóż i życie człowieka, chwilka wesołości, pociechy a lata tęsknych dumań i osamotnienia. Jużeśmy się rozstali z naszą rodzoną, wczoraj rano razem, a wieczór o 70 mil byliśmy od siebie; niezadługo wrócimy do was, kochani nasi i szanowni, na gorzki chleb tułactwa, jeżeli go sercem i miłością można osłodzić, rachujcie na jedno i drugie. Bóg przyjdzie w pomoc, to jakoś dokołaczem te dni próby, aż zeszle nam zmiłowanie.

Całuję i t. d.

Józef.

Do Panny Zofii Rosengardt.

Kolmar, 8. *sierpnia 1845 r.*

Czemu ty, siostro, milczysz od tak dawna, że pomimo odezwy mojej ani wieści, ni słychu od ciebie? Biorąc rzeczy po światowemu, może masz w tem słuszność, ależ z tem wszystkiem niewypowiedzianie mi smutno. Czyliżby i Zoska była jeno ostatnim moim snem na kwiatach? Oj, na tym Bożym świecie, wszystko się dziwnie plecie, a im dalej w lata, tem więcej poronionych omamień. Nie godzi

się tak mówić. Kładę palec na usta i po palcu poświstuję: „Otrzyj łzy i dalej, dalej!“ Proszę wszakże nie myśleć sobie, że ja stary. Owszem, odmłodniałem w tych czasach. serce roztula się na kwiat, hej na kwiat jesienny.

Dam pokój żartom. Nasi kochani odjechali przedwczoraj. W tej chwili są już zapewnie w Monachium. Towarzystwo nasze Badenweilerskie rozpierzchło się, prześniło się oto całkiem, prześniło się, niestety, na zawsze. Tęskno mi bardzo za Antonim i Ludwikiem. Co w tych młodych sercach miłości, a co zapału dla wszystkiego, co wielkie, piękne i dobre! Żal się Boże! zmarnieją, jak ja, w zamroźnem tchnieniu naszego wieku! Obaczymy ich, Zośko, za parę miesięcy w Paryżu, to nie warto się zawcześnie rozczulać. Teraz dopiero sami my, samiuchni, w starej swojej jeżowej skórze podnosim znowu przygłaskane na czas kolce, że kto żyw, niech ucieka! Święć się jednak wolo Boża! Godzi się przecież podziękować Panu za łaski i pociechy, jakiemi nas w tym roku hojnie obdarzał. Zamykamy się na dwa lub trzy tygodnie u najbliższych stąd Trapistów. Może niegodne modlitwy nasze, ofiarowane we wspólnictwie ze świętymi mnichami, milsze będą niebu. I my święci, a przynajmniej poświęceni wielkiem narodowem nieszczęściem. Wołanie w niebo, to niejako nasz stan! A tyleż bied różnych prywatnych i publicznych, że ani sposób je wysłowić? Sami też potrzebujem trochę się uspokoić po tem kilkotygodniowem błogiem roztargnieniu. Może Duch św. natchnie w pustyni czem dobrem? Może już uciszy to krnąbrne serce, co szamoce się i kwili w łonie lat wiele? Oj, czas mi przysieść nieco do stolika, aby zapracować na chleb powszedni dla siebie i dla drugich. Szczęść Boże! bo mam niezmyśloną wolę i ochotę odpokutować za wieloletnie próżnowanie.

Zosię też wynagrodzić powinienem za długie nudy i niesmaki, jakie wycierpiała z mojej przyczyny. Niema co mówić, kochała mnie ongi trochę. Toż będę dziś tulić, kołysać, aż poczuje z pod lodowej skorupy serce wieszcze od mogił, stepów, co kochało bez miary... Zośko! w końcu miesiąca a najpóźniej na początku września obaczym się, da Bóg. Nie wiem, czy który brat święcie utęskniał tak do swojej siostry, jak ja do mojej. Proszę mi być na powitanie zdrową, hożą, wesołą .... Chcę zamieszkać w Asnières, może w domu, gdzie stali G... Umyślnie wynoszę się za miasto, bo na seryo myślę pracować. Zosiu, jak się ma twoja mama?

Bądź zdrowa i t. d.

Brat

Bohdan.

Do Pana Posła Józefa Tomaszewskiego w Paryżu.

Öelenberg, 14. sierpnia 1845 r.

Kochany i zacny kollego mój, Józefie! Bóg zapłać, wołam z całej duszy, Bóg zapłać wszelkiem dobrem i tobie i twoim paniom za uprzejme a przyjacielskie listy. Właśnie przy pożegnaniu z moimi młodzieńcami i na wyjezdnem z Kolmaru przysłano mi je ze Strasburga. Nie mam dziś czasu podziękować należycie, jakby się godziło za serdeczne wasze dla nas uczucia. W Trapie tu o czem inszem każą myśleć, a przytem i obaczym się już niezadługo. Zawsze jednak nie chcę mieć na sumieniu niewdzięczności. Brzydki to grzech i dlatego *stante pede* choć kilka słów potrzeba napisać.

Jak widzisz oto, kochany Józefie, obozujem na jakiś czas przy wyćwiczonem dzielnie wojsku Pańskiem. Trapiści, to stara gwardya Chrystusowa, Zmartwychwstańcy nasi, to młoda gwardya, a my? My, kozactwo Boże niesforne, niekarne, aż strach! Puszczamy się gwałtownie niekiedy naprzód a najczęściej w tył. Ale niechno główny korpus zagai bójkę, to obaczy świat, jak sławnie wpadniem nieprzyjacielowi na flankę, a wsiadziem na kark. Mamy tu najmilszego staruszka, co nas po dwa razy na dzień mustruje wedle swego autoramentu. Jest to nasz świątobliwy a czcigodny spowiednik, Ojciec Augustyn, anielskiego ułożenia i dziecięcej a gołębiej prostoty. Dziękujemy niebu, żeśmy się w jego ręce dostali.

Do widzenia się, szanowny Józefie! Niezawodnie pierwszych dni września będziemy w Paryżu. Myślę stanąć w Batignolles albo nieco dalej. Stan finansowy a głównie potrzeba cichości i ustronia pędzą mnie na gwałt za przesławną waszą stolicę. Mam dużo do nauczenia się, do czytania, pisania i t. d. Może się to na co przyda.

Piszę ten list wilią wielkiego święta. Jutro tu nielada będzie roboty. Jeżeli panna Józefa wypełniła polecenie moje z Badenweiler, to jest sposobność spłacenia długu. W każdym razie nie czekając na odpowiedź, zacznę wypłatę. I sercem szczerem, braterskiem, jak to przystoi.

Jeszcze raz dziękuję najśliczniej paniom naszym za list. Pozdrawiam je w Bogu najczulej, jakby prawdziwy Trapista. A ciebie, mój szanowny i kochany kollego, ściskam i całuję.

Bohdan Zaleski

Ma się rozumieć, że nie zapominam i Stacha. Ściskam go też z wielką miłością. Pamiętam i to, że nadchodzą examina i wakacye. Hej, hej, żeby to mu pojechać do Bosówki [1]), a przynajmniej do Fon-

---

[1]) Majątek Tomaszewskich na Ukrainie.

tainebleau, jak przeszłego roku. Biedne chłopczysko, żal mi go bardzo, a jeszcze większy żal rodziców. Bez czego bo się oni nie obchodzą! Łaska Pańska z wami wszystkimi, kochani wy moi!

B. Z.

Do Panów Ludwika Jankowskiego i Antoniego Celińskiego.

Kolmar, 1. września 1845 r.

Kochani, mili, serdeczni nasi Ludwiku i Antoni! *Stante pede* kilka słów jeno piszę, aby was uspokoić przynajmniej o nas obudwóch. Musieliście być nie mało zakłopotani naszem milczeniem. Owóż nazajutrz czy we dwa dni po waszym stąd odjeździe wyruszyliśmy do klasztorku Trapistów, niedaleko Mulhuzy. W świętem tem a cichem ustroniu, między świętymi a niemymi mnichami przeżyliśmy trzy tygodnie na rekolekcyach, w nabożeństwie, postach, w skrusze i żalu, za grzechy długiego żywota. Odbyliśmy słowem spowiedź generalną jaknajprzykładniej przed świętym i najmilszym staruszkiem a razem istnym Aniołem Pańskim. Czyści jeszcze i nieskalani światowem tchnieniem, zasyłamy wam błogosławieństwa, dzielim się Duchem Bożym, którego serca nasze pełne. Bóg z wami i Matka Boska z wami, najdrożsi! Ileż razy bolałem przed Ołtarzem Pańskim, żeśmy was nie zabrali z sobą. Bylibyście znaleźli uspokojenie w umartwieniach, na które dziś wyrzekacie! Męty światowe byłyby osiadły na dnie serca. Szkoda, szkoda! Ludwiku, krwi moja, synu mój, nie godzi się tak żywo brać do serca przykrości powszednich. Wierzaj mi, nic się złego nie stało w domu, listy gdzieś zawieruszyły się na pocztach. Tyś młodziuchny, to bez miary czuły, ale w modlitwie i w pracy szukaj leków. I znajdziesz je, jestem pewny. Modlitwa i praca, to woda słodka i woda gorzka na obmycie się i wyzdrowienie z chorób ludzkich. I daje Bóg jednej i drugiej wody obficie. Nuże, chłopcze, spróbuj tej kąpieli, spróbujcie obydwa, bo stosuje się to i do Antoniego, który także bardzo coś rozstrojony...

Nie mam czasu i nie mógłbym wam dziś wypowiedzieć wzruszeń i wrażeń, jakich doznałem w św. Trappie. Znajdziecie to kiedyś gdzieindziej, może w poemacie: *Io son la cetra.* Co Pan Bóg na niej zagra? Nie wiem, ale będzie to zawsze lepsze niż wszystko, com dotąd przepisał. Tymczasem módlcie się, abym nie zmarnował po staremu nowych łask i darów, bo ma to być k a m e r t o n dla młodych pokoleń, w którym zjednoczym się i połączym na wieki.

Jeszcze Pokora nie wyśpiewała Bogu swojej improwizacyi. Przepraszam was, moi najmilsi, za nudy, zawód i rozczarowanie, jakich doznaliście w pożyciu ze mną w Badenweiler i na podróży. Zgorszyłem was i przeraziłem nie raz, nie dwa. Byłem nie swój, nieprzytomny. Duch mój wieszczy był na dalekiej wyprawie, wędrował po otchłaniach. Wnętrzności moje wtedy skręcały się na struny owej cytry Bożej. Duch wieszczy wraca, wróci niebawem, mam w Bogu nadzieję. Czuję go w moim słuchu, w moim wzroku, czuję tętno, rozbrzmienie jakieś cudowne w całem jestestwie i pałam jak za najlepszych dni moich. Jak z duńskiego pieca rynną, kiedy puścisz spiż już płynną, niby wodę zwierciadlaną, wzorów, kształtów, gliny mało, posąg, obraz, dzwon lub działo na skinienie stań się! staną. Kruszec złoty a rodzimy, wieszczej myśli tworzycielki, my w rozbryzgach tu widzimy. Pieśni? drobne to kropelki! Wieszcz swe skarby w ziemię grzebie, ku duchowej swej potrzebie. Owóż módlcie się moi kochani, abym wytrwał, abym nie upadł pod nawałem pokus, jakie uderzą na mnie w Paryżu. Oj! żebym to dziś mógł pożyć kilka miesięcy gdzieś na pustyni. Ale święć się wolo Boża! Wyglądać was będziem w Paryżu tęskno i niecierpliwie, boście potrzebni memu sercu. Bóg jeno wie, dlaczegoście się zaplątali w l o s y m o j e. Do widzenia się, moi drodzy, do widzenia się, synu Ludwiku. Piszcie już do Paryża pod adresem księży, jaki wam dałem. W Strasburgu weźwiem jeno Ducha świętego i dalej w świat. Co to znaczy wszystko, dowiecie się później. Błogosławię was w Imię Ojca, Syna i Ducha św.

Całuję i zacałowuję w niewysłowionej miłości.

Bohdan.

Do Panów Ludwika Jankowskiego i Antoniego Celińskiego.

Kolmar, 1. września 1845 r.

Szkoda, szkoda, moi wy, drodzy, kochani, serdeczni, żeście z nami do tej świętej pustki nie pojechali; dziś ustronie pobożne trzeba nazywać pustką, tak ich jest mało na świecie Bożym. Szkoda nie dla nas, ale dla was, że wam nie poskakało tak rzewnie serce, że wam nie spłynęła taka gorąca łza, jakie nam spływały, kiedyśmy padłszy do nóg świętemu starcowi, przepraszali go za zgorszenie, któreśmy jego czystości i pokojowi wyznaniem grzechów naszych przynieśli, a on porwał się znienacka, jakby młodzieniec, pochwycił za ręce i całując a płacząc, mówił nam: „Mili moi, jam ubogi, ja

nie mam wam co dać, ale co miałem, to już wam dałem, oto dzisiaj wziąłem dyscypliny na intencyę waszą, ażeby was Bóg od wszelkiej skazy na świecie zachował, i jeszcze wezmę i nigdy za was i za waszą biedną ojczyznę modlić się nie przestanę."

Radbym, moi ukochani, ażeby nasi politykowie i twórcy systematów mogli byli być przytomni tej scenie, możeby widoczniej uczuli, gdzie leży zbawienie ojczyzny. Módlmy się, moi kochani, serdeczni, módlmy się i kochajmy, a Pan Bóg cuda może sprawić. Przyciskam was obydwóch do serca, daj Boże, z wami obaczyć się i nacieszyć. Za kilka dni będziemy już w Paryżu, radbym mojemu jedynemu Bohdanowi co najprędzej wynaleźć jaki cichy, samotny kąt, gdzieby mógł swobodnie ducha łaski puścić po strunach gęśli i dla nas pokutujących a zgłodniałych w słowa odziać.

Całuję was i t. d.

Józef.

Do Pana Ludwika Jankowskiego.

Paryż, 9. września 1845 r.

Kochany mój Ludwiku, zastałem od ciebie list u księży naszych. A więc, Bogu dzięki, miałeś wieści z domu i jesteś mi weselszy, pogodniejszy. Dobrzeć to, ale na przyszłość usiłuj wypracować w sobie cnotę cierpliwości, bez której w tem życiu ani rusz. Oj! potrzebaby cię tu wziąć do akademii, do szkoły głównej emigranckiej. Co chwila, co krok bijem się głowami o mur, i cicho — i milcz. Biesiekierski niedawno tu, a już obrzydził sobie Paryż i wszystkie jego przyjemności. Elizium to dla bogatych próżniaków, ale dla cierpiących prawdziwie Wirgiliuszowskie *regna inania*, kraina smutków i nudy. Nie można ani wymyśleć dla poety straszniejszego wygnania. Ja uważam poprostu Paryż za swój czyściec, za miejsce pokuty dla wychowańca stepów i pustyni. Nagrzeszyłem co niemiara dumaniem po b e z l u d z i a c h, marnując łaski i dary Boże, to sprawiedliwie dziś cierpię w zgiełku i smrodach wielkiego miasta. Nie żalę się też zgoła na Opatrzność. Czasem w głębi serca mruknę, ale to przeciw swojej Ukrainie. Darmo! taka wola Boska. Nie chcę się żalić i na Ukrainę.

Dotychczas mieszkamy u księży, może nawet zostaniem na dłużej, jeżeli nie upatrzymy gdzie domku w okolicy. A nie łatwo upatrzyć, bo musimy żyć, jak mówią u nas, chytro, mudro i ne wełykym kosztom. W początku tedy października obiecujesz zawitać

do nas. Będę cię wyglądał, mój Ludwiku, z bijącem sercem i wyciągnionemi ramiony. Daj Boże, iżby nie zaszły jakie przeszkody. O pasport, jaki chcesz, francuski czy belgicki, możemy się łatwo wystarać. Jak staniesz w Bruxelli, napisz zaraz, to polecę ciebie i twój interes jenerałowi Kruszewskiemu albo Tyszkiewiczowi. Zgoła uczynię wszystko, co będę mógł. W tym czasie bawi w Belgii X. Hieronim, a za kilka dni wyjeżdża tam X. Alexander, to i on chętnie dopomoże co do pasportu.

Antoniego pozdrawiam i ściskam najserdeczniej. A cóż on z sobą począć myśli? Spodziewam się, że przyjedziecie tu razem. B... i panna Zofia tęsknią za nim równie, jak i my. Panna Zofia zmieniła się nieco przez te ostatnie miesiące, znów poczyna kaszlać, a co gorsza, zesmutniała nam znacznie. Włodzia[1]) poznałem i poznałem bez pytania się o nazwisko, taki przedni wasz dagerotyp. Widzieliśmy się już kilka razy, chociaż mieszkamy od siebie o trzy kwadranse drogi.

Wczoraj byliśmy razem na paradzie Towiańszczyków. Księża nasi chrzcili żyda, to wszyscy byli obecni. Adam przesunął się jeno jak Banko w Hamlecie i zamierzchnął dla oczu. Od niejakiego czasu sekta zamieniła starą taktykę, poczynają zbliżać się ku katolikom. Adam pisał do naszych księży, a kiedy poszło dwóch do niego, przyjął jak najuprzejmiej. Upierał się, że jest w kościele, że nie dogmatyzuje, że gotów nawet odwołać to, co powiedział w swoim kursie antykatolickiego i t. p. Nie wiele w tem szczerości, ale widocznie wiatr powiał zkądś przeciwny. Onegdaj spotkał się z Józefem, sam umyślnie zaczepił i po przyjacielsku wypytywał się z czułością o mnie i t. p. Daj Boże upamiętanie!

Zygmunt Krasiński wydrukował Trzy Psalmy w rodzaju Przedświtu. Są dobre kawałki, ale i mnóstwo miernych. Zawsze rewelator. Żałuję, że się z nim w Heidelbergu rozminąłem. Zdaje się, że Zygmunt był tu ukradkiem z Małachowskim, przynajmniej Małachowski nikomu nie chciał powiedzieć swego adresu, oczywiście dlatego, że miał kogoś z sobą, co się bał pokazać emigrantom.

Polecam was i t. d.

Bohdan.

---

[1]) Biesiekierski.

Do Pana Antoniego Celińskiego w Monachium.

Paryż, d. 19. września 1845 r.

Nie wiem, kochany mój Antoni, jak ci wydziękować za miłe i najprzychylniejsze listy twoje. Bóg mi ciebie przysłał w sam czas, bo pod omroczną już dobę mego żywota. Jemu więc niech będzie cześć i chwała! Doprawdy rzeźwiej mi, cieplej w sercu przy was młodych. I nad Polską też naszą zawiła niby śnieżnica filozofska na długi chłód i słotę, to tulić nam potrzeba łono do łona i rozgrzewać się nawzajem. Co nie bredzą różni nasi marzyciele i utopiści? Na powierzchni oto Polski taki bezbożny gwar, a w jej głębiach, to jest między ludem, jaki znów rozjęk przeciągły? i jaka płomienna wiara? Jest czem rozradować się na żywot. Liczba świętych męczenników naszych ciągle się dopełnia. Kilka dni temu przybyła do Paryża Makryna Mieczysławska, przełożona Bazylianek, która po siedmioletnich katowniach zdołała uciec z trzema mniszkami aż od Dźwiny. Reszta jej trzodki, w której liczyło się przeszło 40 panien, już u Pana zamęczona, a kilka dogorywa w kalectwie i nędzy. Trzy mniszki, z których każda inszą drogą dostała się do Galicyi, zowią się Warzecka, Pomarnacka i Konarska, siostra Szymona. Darmo to mówić, co te błogosławione niewiasty wycierpiały mąk dla Chrystusa? co zniosły rózek, głodu i wszelkiego rodzaju zniewag? Posłyszycie je kiedyś w Rzymie. Budujemy się wszyscy Matką Makryną, bo jakoż łagodna, radosna w Bogu swoim. Krwią, łzami i blizny wysłużyła sobie łaskę u Pana, teraz dopiero wiem, co to byli dawni chrześciańscy wyznawcy. Z prostotą i lubością jakąś opowiada martyrologię swoich mniszek, a boli jeno nad ludem, co jeszcze srożej bywa katowany. Co się tam dzieje, drodzy, na Białej Rusi i na Litwie, a cóż dopiero u nas na Ukrainie? Opowiem za widzeniem się ze szczegółami. Opowiem także widzenie się moje z Adamem. Byliśmy z sobą serdecznie i po bratersku, jak za najlepszych czasów, jednakże trwa w swojem, lubo mniej dziś uporny i zawzięty na Kościół . . . . , ...

Ściskam i t. d.

Bohdan.

Do Pana Jana Koźmiana.

Paryż, 28. września 1845 r.

Kochany mój i drogi Janie! Posyłam ci tę ramotkę o Hofmanowej, napisaną przed kilkoma dniami. Nie miałem czasu i humoru

przekopiować jej i rozszerzyć. Ciężko mnie pisać o nieboszce, a prosili o to Hofman i przyjaciele. Mam też wzgląd na nieobecnego Stefana, który, jako wiesz, miał długą zażyłość z ś. p. Klementyną. Odmień, popraw, jak ci się podoba, i wydrukuj z moją cyfrą albo i podpisem.

Winszuję ci, mój drogi, nowego stanu, w który, da Bóg, wnijdziesz niebawem. Winszuję z pełnego serca. Szczęść wam Boże! X. Hieronim napomknął mi, jak stoją rzeczy, i radujem się obydwa z Józefem moim. Za parę tygodni przybędą tu Antoni i Ludwik, to obszernie do ciebie napiszem. Wacława i Włodzia widuję dość rzadko, bo mieszkamy na dwóch końcach Paryża. Nie masz nic nowego. Wiem, że X. Hieronim pisał niedawno.

Całujemy cię i ściskamy.

Bohdan.

(Ciąg dalszy nastąpi).

HISTORYA MALARSTWA
NA PÓŁNOCY I W HISZPANII.

(Ciąg dalszy).

Największy jednak wpływ na rozwój malarstwa wywarł, pośród uczniów Dürera, najoryginalniejszy pomiędzy nimi artysta, Albrecht Altdorfer (1480—1536). Osiadł w Regensburgu i pracował tam jako malarz, rytownik i budowniczy. Skłonny był do fantastyki, popadającej często w dziwactwo oczywiste; za młodu trzymał się jeszcze na wodzy i nie był wtedy sobą; później malował rozczochrane Madony, dziwnie ulatujące anioły, fantastyczne światła, szkaradnych grzeszników, okropne djabły, stając się czasem zupełnie niewyraźnym. W tem jego znaczenie, że stworzył krajobraz samodzielny, że malował bardzo piękne pejzaże, które są głównym przedmiotem jego dzieł, a nie służą tylko za tło kompozycyi. Wśród tych krajobrażów widzimy małych ludzi, bardzo ciekawych nieraz, wyobrażających sceny, w których się malarstwo ówczesne głównie lubowało, ale służących właściwie tylko do ożywienia pejzażu, tworzących tak zwany sztafaż. Podobnemu kierunkowi hołdowało równocześnie kilku niederlandzkich malarzy, ale Altdorfer sam jeden był w Niemczech przedstawicielem rodzącej się sztuki pejzażysty — i kto wie, czy wszystkich współczesnych Niederlandczyków na tem polu nie przewyższył.

W starem Muzeum berlińskiem oglądamy bujny, uroczy, zielony krajobraz, wśród którego wznosi się murowana studnia i ta studnia głównie na siebie uwagę ściąga. Przy niej jednak spoczywa Przenajświętsza Rodzina, uchodząc do Egiptu. — W Starej Pinakotece monachijskiej widzimy na małym obrazku przedziwny bukowy

las, pełen grozy starych drzew; czujesz, że wnet zaszumi — a na pierwszym planie, na polance, walczy maciopci św. Jerzy w pełnej zbroi i na koniu ze smokiem; walczy dzielnie i żwawo, ale ty myślisz o tem, jak las zaszumi. — W tejże Pinakotece wznoszą się wśród krajobrazu wspaniałe gmachy, a patrząc na nie, podziwiasz architektoniczną Altdorfera wyobraźnię. Są tam i kupki małych ludzi pstro a wykwintnie wystrojonych, ale myślisz, że są na to tylko, aby gmachy ożywić; dopiero jak cię przestrzegą, dostrzeżesz, że malarz opowiadał za pomocą tych figurek biblijną historyę pięknej Zuzanny.

Trzeci obraz Altdorfera w monachijskiej Pinakotece jest prawdziwem arcydziełem cierpliwej germańskiej sztuki, lubującej się w miniaturowem wykończeniu szczegółów. Przedstawia bitwę Aleksandra Wielkiego z Daryuszem, a jest arcydziełem, ponieważ Altdorfer potrafił tu mnóstwo szczegółów zlać w całość przejrzystą, bitwę połączyć z krajobrazem w jedno, bitwę całą opowiedzieć, a przecież dać nam co innego a nie martwy plan batalii. Patrzymy na zieloną, szeroką równinę gdzieś z góry i widzimy na niej, jak się poruszają szybko wojska konne i piesze — współczesne zresztą malarzowi; całe wojska widzimy od razu, widzimy, kto zwycięża, kto zwyciężony, nie chodzi bynajmniej o epizod, w którym ujrzymy kilku walczących, a bitwy nie ujrzymy wcale, jak to zwykle bywa po utworach batalistów. Figurek jest maleńkich bez liku, ale każda swojem życiem żyje, każda tchnie bojem; poznajemy wodzów, połyskują wyraźne zbroje i oręże, ruch wszędzie wyraźny. Księżyc w pełni zachodzi, słońce rude wschodzi na pogodnem niebie i promieniami swemi oświeca góry w głębi, zieloną równinę, zbroje i sztandary. Wszystko przejrzyste, bo tu ognistego oręża niema, jest tylko bohaterska broń biała; i łąka pod nogami zielona: ani dym, ani kurz wojsk przeto nie zasłaniają. I poezya wielka zwisła nad obrazem, w którym wojska nacierają dopiero, w którym się nie starły jeszcze na prawdę, w którym tchnie tylko zapał rycerski, wojenny, a nie masz jeszcze okropności ran i śmierci. Przejrzyste barwy przenoszą nas w świat heroiczny, bajeczny; to bój dzielny, o którym się chłopcu śni, gdy w wyobraźni przyszłych wrogów zwycięża.

Tyle o właściwej szkole noremberskiej. W Saskim Witembergu żył i działał malarz samotny i zupełnie samodzielny, rówieśnik Dürera, Lukas Kranach (1472—1552). Bywał nadwornym malarzem elektorów saskich, wraz z nimi przeszedł na protestantyzm, otrzymał od nich szlachectwo, bywał także rytownikiem, późno roz-

winął samodzielną twórczość, ale mimo to zasypał Niemcy w ciągu długiego ośmdziesięcioletniego życia niezliczoną ilością olejnych, na drzewie malowanych obrazków i obrazów. Nie miał twórczej niespokojnej Dürera wyobraźni, a bardzo pamiętał o zarobku. Skoro tedy raz trafił na typ, który się w Niemczech podobał, trzymał się tego typu, a przesadzał jego właściwości, póki nie doprowadził do lubej jakiejś, dziecinnej, wypieszczonej maniery, a skoro stworzył kompozycyę, która się popularną okazała, nie żachał się tej kompozycyi powtarzać, ile razy tego zażądano, i wreszcie malował ją na pamięć, bez ducha, dla zbycia się. Typy jego niewieście są bardzo pospolite; zawsze prawie jedną malował saską dziewoję o żółtych włosach, okrągłej buzi, niewyraźnych rysach, oczach wskośnych i dziecinnem wejrzeniu. Mężczyźni znów mają nieodmiennie twarz podłóżną, żółty, pełny porost, krótko strzyżone włosy, nos z lekka zadarty i zawsze te same ukośne oczy; na jednym i tym samym obrazie powtarza się u wszystkich figur ta sama głowa, o ile Kranach nie chciał czasem stworzyć karykatury; tylko wiekiem różnią się postacie. Ciała nagie bywają przedługie a u kobiet zanadto ściśnięte w pasie, ale dziwnie gibkie i miękkie. Zwierzęta, zwłaszcza konie wypadają nadzwyczaj niefortunnie, krajobrazy są pięknie pomyślane, choć bywa w nich często perspektywa zupełnie dowolna. Wszystkie niedostatki okupuje naiwność, miękkość rozkoszna rysunku i pędzla, wdzięk dziecinny, słodycz niezmienna, a trafia się Kranachowi, że nieoklepany przedmiot z niepospolitem odda uczuciem.

Najpierw pomówię o obrazach, wyobrażających zwyczajne u Kranacha, powtarzające się ciągle przedmioty.

A zatem malował nasz mistrz bardzo wiele Madon, zanim przeszedł na protestantyzm, a nawet i potem. Znachodzą się przeważnie po kościołach a niektóre z nich, jako to Matka Boska we wrocławskiej katedrze i Matka Boska w Innsbrucku, w kościele św. Jakóba, zasłynęły cudami Pinakoteka monachijska posiada takich Madon aż dwie, a w kościele św. Macieja w Peszcie znajduje się Madonka, będąca niezrównanem cackiem najsubtelniejszej, rozkosznej miniaturowej roboty. Pulchne te, dziecinne Bogarodzice, mają śliczne, złote, rozpuszczone włosy, uśmiechają się do swojego pulchniejszego jeszcze Niemowlątka, pieszczą się z nim, tulą się do niego, cieszą widokiem pieszczonej malatury i pieszczonego a nieskalanie czystego uczucia. Modlą się do nich wierni, jako do wcielenia niewinnej miłości.

Bardzo się kochał Kranach w wyobrażeniu pierwszych rodziców Adama i Ewy, jak się o tem w niejednej galeryi przekonać można.

Stoją przy sobie nadzy, na niewielkim obrazie w Nadwornem Muzeum wiedeńskiem; ona go oplotła misternie, ona się do niego przytuliła, ona go kusi miękkim wdziękiem; on się waha jeszcze, ale pewno ulegnie. W Galeryi drezdeńskiej a przedewszystkiem w Pałacu Pitti we Florencyi widać nagie pierwszych rodziców postacie, miękko i namacalnie, na osobnych obrazach, w naturalnej wielkości odtworzone — zapewne pod wpływem Dürerowskiego arcydzieła, jednak tak, że dziecinna słodycz Kranacha wygląda wyraźnie z tych nagich postaci, wymalowanych na ciemnem tle.

Pokrewnym pomysłem była Lukrecya rzymska, którą mistrz nasz także powtórzył wielokrotnie; chodziło mu tylko o odmalowanie białego, miękkiego, przedługiego, gibkiego, namacalnego niewieściego ciała, występującego na ciemnem tle. Większy obraz tej treści a misternej roboty posiada Stara Pinakoteka w Monachium, maleńką Lukrecyą, istnem pieścidełkiem, szczyci się Akademia wiedeńska. Zresztą te nagie, młode niewiasty mają tylko imię wspólne z rzymską bohaterką; z gracyą trzymają miecz ostrzem ku piersi zwrócony i pełne są tego samego zalotnego wdzięku, którym się odznaczają Ewy Kranacha. Jak się raz przyzwyczaisz do zbyt długich kształtów, do zbyt ściśniętej kibici, musisz pochwalić te międziutkie namacalne ciała dziecinnie zalotnych podlotków.

Nagość męską, równie miękką i ciepłą wyobrażają nierównie poważniejsze obrazy, których treścią Złożenie do Grobu. Najlepszy zapewne jest w drezdeńskiej Galeryi. Ciało Zbawiciela dźwigają płaczące aniołki; rzewnie tu, boleśnie, pobożnie, rozczulająco, a jednak zawsze lubo i dziecinnie. Wydaje ci się, że takby wielką chrześcijańską tragedyę odmalowało dziecko, gdyby cudem znakomicie malować umiało.

Już strojną jest Judyta w Nadwornej Galeryi wiedeńskiej: kapelusz z pióropuszem ma na głowie, przywdziała bogate szaty dworskie szesnastego stulecia w Niemczech, pełno na niej klejnotów. Niesie wprawdzie ściętą głowę Holofernesa, ale ta głowa i czyn okropny spełniony nie więcej ją obchodzą, jak zamiar samobójstwa i srom doznany nagą obchodziły Lukrecyę. I owszem uśmiecha się niewinnie zalotna, dziecinnie swobodna, hoża saska dziewoja. Chodziło tylko o wymalowanie popiersia saskiej dziewczyny, wystrojonej i wyobrażonej w naturalnej wielkości. Spotkasz ją nieraz po różnych galeryach, z tą głową na misie, albo z koszem kwiatów. Wszak to wszystko jedno, zawsze jednakowo cieszy się młodem życiem.

I znów na mniejszym obrazku widujesz często zgrzybiałego starca, pieszczącego się z młodą dziewczyną, która mu pieniądze

z trzosu wyciąga. Obrazki to o intencyi satyrycznej — nieprzyjemne, kiedy je Kranach lubym wymaluje pęzlem. Najlepszy podobno tej sceny egzemplarz znajduje się w Akademii wiedeńskiej. Przy takim samym obrazku w Akademii peszteńskiej ujrzysz drugi, w którym na odwrót szkaradna stara baba udaną miłość młodzieńca kupuje.

O polowaniach, które Kranach także często malował, powiem tylko tyle, że są zazwyczaj bohomazami; a przestrzegłszy, że nie wszystkie egzemplarze zwyczajnych Kranacha kompozycyi równej są wartości, że owszem są nieraz fabrycznem dziełem, wykonanem przez czeladników w warsztacie wziętego mistrza, przejdę do kompozycyi, z któremi się Kranach tak nie pospolitował.

A zatem najpierw stare Muzeum berlińskie posiada obraz miernych rozmiarów w mnóstwie małych postaci, rozsianych germańskim obyczajem po krajobrazie. Obraz ten nazywa się Źródłem młodości, *Jungbrunn*, i jest rozkosznie naiwnym żartem Kranacha. Pośrodku rozciąga się murowana sadzawka, której własnością to, że kto się w niej wykąpie, odmłodnieje. Przybywają tedy na jeden brzeg niezliczeni staruszkowie płci obojga. Dziadki i babki ledwo się dowlec mogą; rozbierają się z mozołem i obnażają pogarbione, zgrzybiałe, ledwo żywe ciała; z trudnością włażą do wody i tu myją się łakomie. A patrzcie jakie cudo! W miarę, jak się myją, ubywają zmarszczki, prostują się owe pogięte ciałeczka, złocą się siwizny, porastają łysiny — i już pulchniutkie, prześliczne panienki, dziarscy chłopacy wyskakują na tamten brzeg — już znowu młodzi; kochają się, stroją, ściskają, pojadą w świat, by świat młodą wypełnić ochotą!

Podobny, choć niby biblijny, w dziecinnej swojej niewinności nieoceniony żart posiada Nadworne Muzeum w Wiedniu. Tu opowiedział Kranach za pomocą drobnych figurek, rozsianych po zielonym niewielkim krajobrazie, filuternie a przecież poważnie i wierząco i zabawnie historyę pierwszych rodziców w raju. Jest tedy raj, bujny ogród, co się zowie. Chodzi po nim stary Pan Bóg z siwą brodą, z mozołem, ostrożnie lepi z gliny Adama, a w bezkształtnej bryle rysuje się już człowiek: ulepił wreszcie Bóg człowieka i tchnął w niego życie. Potem z boku śpiącego wydobywa Pan Bóg, nie bez kłopotu, z całą lekarską ostrożnością gotową Ewę. Stoją pierwsi rodzice w dziecinnej nagości swojej i z dziecinną prostotą przed starym Panem Bogiem i słuchają przestrogi, danej z na pół ojcowską a na pół profesorską powagą. Ale cóż? Nie posłuchali, dali się wężowi skusić, wielkiemu filutowi, Adam posłuchał płochej Ewy;

Pan Bóg już tylko głowę z nieba wystawia i krzyczy, a Adam i Ewa, okropnie zawstydzeni, chowają się za krzak. Nic nie pomogły wymówki; wypędził ich anioł z raju, a dał przy tem porządne cięgi.

Poślubiny świętej Katarzyny w peszteńskiej Akademii są jeszcze zawsze żartem tak dobrodusznym, że nie razi i owszem cieszy, choć do świętego przystosowany przedmiotu. A obok tego to jedno z najdoskonalszych dzieł Kranacha, arcydzieło malarskiej subtelności, okraszone rozkoszną barwą, pełne jakiejś nieopisanie uroczej dziecinnej wiary. Jest u góry niebo błękitne, jest pod niem zielona roślinność, ale jakaś w naturze niebywała zupełnie, czarna skała zajmuje dół obrazu i tworzy tło, na którem wystają barwne i strojne, z największą subtelnością wykonane, lube postacie młodziutkiej Bogarodzicy z Dzieciątkiem, miękko wytoczonem na kolanach, i młodziutkiej świętej Katarzyny, która do ślubu mistycznego uklękła. Chrystusik roztworzył buzię, z pierścionkiem nie może od razu trafić na palec oblubienicy. Po czarnej, jak atrament, skale drapią się z mozołem skrzydlate dzieciaki, niemowlęcy, nadzy aniołkowie, patrząc z podziwem na ślub swojego malutkiego Pana. Unosisz się, patrząc na subtelny kunszt, z którym Kranach wszystkie te rączki i twarze i ciałka wypieścił, a odzywa się w tobie rozkosznie, każdemu prawie człowiekowi, wrodzona miłość dla tego, co drobne, a wątłe, a wdzięczne.

Jeszcze także raczej żartobliwą jest niby mitologiczna kompozycya w Galeryi drezdeńskiej. Siedzi sobie wśród lasu otyły rycerz niemiecki i przypatruje się trzem dzieweczkom, a drugi rycerz sędziwy jakąś mu podaje kulę. Dzieweczki mają na sobie strojne kapelusze lub czapeczki i bogate łańcuchy złote, a oprócz tego zdobne tylko w nagość i wdzięk. Tak to Kranach malował sąd Parysowy, zamieniając starogreckie podanie w baśń średniowieczną.

Ale nasz mistrz bywał także bardzo poważnym, tragicznym nawet. Kto się o tem przekonać chce, niech spojrzy w peszteńskiej Akademii na mistyczny, niewielki obraz Kranacha, wyobrażający Odkupienie. Siwobrody Bóg Ojciec ciska w obłokach piorunami swego gniewu: ale u dołu Marya, małych grzesznych ludzi otuliła w swój płaszcz szeroki, a na gromy gniewu naraża pierś nagą Sprawiedliwy, który cierpiał za występki świata, nagi Zbawiciel, klęczący z wyrazem ofiarnej, świętej miłości; ogień tej miłości aż na wskroś przenika widza.

Równie poważnem w tej galeryi dziełem jest wielki obraz ze Zdjęciem z krzyża, który także chyba tylko Kranachowi przypisać

można. Skończyła się już Męka Pańska, przeminęły nadprzyrodzone ciemności. Jest wieczór na pogodnem niebie, a wszystkie barwy ogrzane łuną zachodu. Krzyż sterczy wśród obrazu wysoko na tle nieba, a u jego stóp złożono na murawę Chrystusowe ciało. Dokoła rozpaczają Matka Boska, ulubiony uczeń, Marya Magdalena w jaskrawych szatach. Inne postacie spokojniejsze. Na pierwszem tle stoją smutnie biskup i młoda kobieta w żałobie, ci, którzy obraz fundowali. Smętek cichy przemawia z barw i słodkich, półdziecinnych twarzy i wszystko jest, jakby smutną pobożną pieśnią, którą zaśpiewały niewinne dziewczęce głosy.

Poważnie, męsko namalował Kranach Chrystusa, broniącego jawnogrzesznicę przed Żydami dwa razy. Na obydwu obrazach, z których jeden jest w Pinakotece monachijskiej a drugi w peszteńskiej Akademii, widzimy grupę postaci naturalnej wielkości, po pas tylko odmalowanych. Nie masz tu zwykłej mistrza słodyczy, ale jest rysunek spokojny, jednak śmiało poprawny, a dzielnie oddane wyrazy. Słyszysz, jak Chrystus powiada: „Niech ten z was, który jest bez winy, pierwszy ciśnie kamieniem.“ Obrazy obydwa zresztą układem i pomysłem do siebie niepodobne; na monachijskim faryzeusze popadają w karykaturę, jawnogrzesznica się tłómaczy; w peszteńskim nieszczęśliwa kobieta jest szlachetnie przerażona, zawstydzona, wzruszona, a czytasz różne myśli na twarzach mężów, otaczających Chrystusa!

Kranach mnóstwo jeszcze innych odmalował obrazów godnych uwagi. Dla jego charakterystyki powiedziałem dość. Dopowiem już tylko, że bywał także sumiennym portrecistą i że syn jego także Łukasz, zwany pospolicie Młodszym Kranachem, *Lucas Kranach der Jüngere*, bywał najlepszym ojca współpracownikiem. Kiedy go ojciec odumarł, objął po nim i warsztat i godność nadwornego malarza saskiego, ale malował już prawie tylko portreta aż do swojej śmierci (ur. 1515, umarł 1586).

Mówiłem już, że szwabski Augsburg współzawodniczył z frankońską Norymbergą, nietylko handlem i bogactwem, ale także sztuką. Jednak sztuka malarska rozwinęła się tu i doszła do swobody i siły dopiero pod owem tchnieniem Dürera, które także Kranacha w dojrzałym już wieku wyrwało z martwej rutyny lat młodych. Hans Holbein starszy (1460—1522), któregośmy już wspomnieli jako rzemieślniczego raczej malarza w piętnastym wieku, miał lat pięćdziesiąt przeszło, kiedy przejął formy odrodzenia, a potrafił kunszt swój znacznie wydoskonalić z energią ówczesnych starców. Niedługo przed

śmiercią stworzył tryptyk, zasługujący prawie na miano arcydzieła, a przechowany w Starej Pinakotece monachijskiej. Dzieło to wielkich rozmiarów. Silnie modelowaną nagą postać św. Sebastyana odmalował na głównym obrazie jasnemi barwami; męczennik za jedną rękę przykuty do drzewa; tkwią w nim już strzały. Oprawcy, to jest łucznicy, którzy do świętego mierzą, są to mocne, energiczne postacie żołnierzy z szesnastego wieku, przybierające twarde, ale klasycznie piękne postawy; najpiękniejszym jest knecht, który na pierwszem polu łuk naprawia, na jedno kolano przyklęknąwszy a strzałę w uściech trzyma.

Na jednem skrzydle tryptyku odmalował starszy Holbein św. Barbarę, na drugiem prześliczną św. Elżbietę Węgierską. To królowa pełna wdzięku i majestatu, która bez wstrętu wstąpiła między trędowatych żebraków i jednemu z nich mleko do miski nalewa. W całym tym tryptyku uderza piękność linii i klasyczny rytm ruchów, wyjątkowy w niemieckiem malarstwie, a zupełnie wolny od przesady i maniery. Jak najbardziej szczęśliwie oddziałał na starego mistrza wpływ włoskiego renesansu. Mimo przedmiotów, które kuszą do okropności, ochronił się tu przytem Holbein starszy od wszelkiej realistycznej brzydoty, a w tym celu naznaczył tylko z lekka rany męczennika i plamy trędowatych.

Rówieśnikiem starszego Holbeina był Bernhard Striegel i przeżył go o lat kilka. Nigdy zupełnie swobodnego nie dobył rysunku, a mimo to i pomimo że się przed śmiercią do Wiednia przesiedlił i tu główne swoje dzieła zostawił, mimo pomniejszego wreszcie talentu, wywarł większy wpływ na augsburską szkołę, będąc portrecistą przeważnie i nie tyle rysownikiem, ile kolorystą. Kto spojrzy na rodzinę cesarza Maksymiliana I. w Muzeum Nadwornem wiedeńskiem, całego pozna Striegla. Obrazek to niewielki, cały malowany jakby farbką, bez artystycznego cieniowania; ale ta farbka ma cały połysk najlepszych laków japońskich, a staje się szczególnie urocza w błękitach niebios i wód na krajobrazie. Na obrazie widzimy popiersie cesarza Maksymiliana, młodych niewiast i dzieci, a te dzieci będą kiedyś cesarzami Karolem V. i Ferdynandem I. i przedwcześnie poległym królem czeskim i węgierskim Ludwikiem Jagiellończykiem. Charakterystyki żadnej nie mają główki; mają jednak znów cały dziecinny wdzięk Japońszczyzny, do którego przyczyniają się może śmiesznie małe w oczach źrenice, będące ciemnym punktem wśród białka niepokalanego.

Młodszy, Marcin Schaffner pracował w Ulmie i umarł tu w r. 1535. W ogóle szedł w ślady Holbeina starszego, ale nie

posiadł jego siły. Głównem jego, dość pobieżnie modelowanem dziełem jest Uśpienie w Pinakotece monachijskiej. Wśród renesansowanego kościoła umiera Marya, klęcząc, w otoczeniu apostołów. Wpływ lombardzki tu widoczny; przypominają się blade ciała i miękki wdzięk Sodomy.

Większy nierównie talent posiadł Jan, czyli Hans Burkmeier (1473—1531). Pracował całe życie w Augsburgu; Pinakoteka monachijska posiada kilka obrazów tego artysty, który był zresztą także pilnym rytownikiem. Wymienię pomiędzy niemi św. Jana Ewanieliste na wyspie Patmos. Silna postać męska siedzi wśród drzew i patrzy w niebo, wśród którego różne jawią się widzenia. Przypomina się Memling i bogactwem treści i fantastyczną pomysłu poezyą.

Znamiona augsburskiej szkoły wybitnie występują za to w pełni w słynnym obrazie wiedeńskiego Nadwornego Muzeum. Jest to portret Burkmeiera i jego żony, wyobrażający oboje w późniejszym już wieku. Ubrane ciemno postacie z czarnego występują tła; obie scharakteryzowane i modelowane znakomicie, z wielkim realistycznym spokojem a malowane barwami, które się spokojnie i mistrzowsko z sobą zlewają. Pani Burkmeierowa trzyma zwierciadło, a w zwierciadle widnieją, zamiast żywych twarzy małżonków, dwie trupie główki na przestrogę zawsze bliskiej śmierci. Szkoda tylko, że państwo Burkmeierowie zamiast patrzyć do zwierciadła, zezem z obrazu wyglądają. Gdyby nie to, byłby ten obraz klasycznym wzorem portretów, malowanych za odrodzenia w Augsburgu.

Takiemi to portretami miał Hans Holbein młodszy, zwykle poprostu Holbeinem zwany, zasłynąć. Syn starszego Holbeina, urodzony w r. 1497 w Augsburgu, umarł w r. 1543 w Londynie na dżumę. Już bardzo za młodu przesiedlił się do Bazylei, gdzie malował obrazy religijnej treści i wielkie freski w ratuszu, które niestety zaginęły. Nie miał trzydziestu lat, kiedy go powołano do Londynu, na dwór Henryka VIII., gdzie resztę życia przepędził, wracając tylko dwa razy na lat kilka do Bazylei. Jako rytownik dowiódł tego, że nie brak mu było silnej wyobraźni, i jego to ryciny unieśmiertelniły „tańce smierci“. Dla nas jest, jako malarz, wyłącznie prawie jednym z największych portrecistów, jacy kiedykolwiek żyli. Głowy jego postaci, występujące prawie zawsze na ciemnem tle, wykonane w spokojnem swietle pracowni, są rysowane pewną ręką a modelowane cudownie, przytem tak indywidualne, że przez chwilę nie wątpisz, że Holbein malował zawsze portrety bar-

dzo podobne. Jednak dziejów duszy na tych nieco suchych portretach nie wyczytasz, charakteru osób nie odgadniesz, bo wszystkie swoje postacie uidealizował mistrz augsburski, nadając im jednostajnie wyraz spokojny i beznamiętny ludzi zrównoważonych, obdarzonych stateczną, niezłomną wolą; i to tym portretom nadaje piękność i siłę, budzące podziw. Szaty postaci Holbeinowskich są prawie zawsze ciemne, a tem świetniej na nich występują czasem jasne barwne plamy, albo złote klejnoty, tem wspanialej jaśnieją niezrównanie namalowane barwne kobierce, gotujące dla oka ucztę; wszystko bywa zresztą zlane w doskonałą kolorystyczną całość, wśród której pyszna głowa ludzka najsilniej na siebie uwagę zwraca, choćby dlatego, że jest zawsze najjaśniejszą wśród swego otoczenia.

Niektóre z tych portretów wymienię w porządku, w którym powstały.

A najpierw powiem o głośnem arcydziele z bazylejskich jeszcze, młodocianych czasów mistrza. Przez sto pięćdziesiąt lat podziwiała ludzkość w Galeryi drezdeńskiej tak zwaną Madonę burmistrza Meyera, jako jedno z najpierwszych arcydzieł tej wspaniałej galeryi, aż odkryto w drugiej połowie dziewiętnastego wieku drugi, nieco odmienny egzemplarz tego obrazu, który jest obecnie w posiadaniu wielko-książęcej rodziny w Darmstadzie. Postacie wszystkie są w Darmstadzie krótsze i brzydsze, jak w Dreźnie. Madona zwłaszcza pozbawiona właściwej sobie piękności, za to szaty i kobierce w Darmstadzie lepiej wykonane i to sprawiło, że areopag niemieckich uczonych uznał obraz darmstadzki za oryginał, po części przemalowany niefortunnie, drezdeński za znakomitą i dobrze zachowaną współczesną kopię. Od tego wyroku apelacya jest możliwą — do przyszłego uczonych areopagu — a pokaże się może, że obydwa obrazy malował Holbein, co byłoby wcale zgodne z obyczajami największych nawet mistrzów XVI. stulecia, którzy własne obrazy nieraz kopiowali, pozwalając sobie przytem różne zmiany, a wtedy sądziłbym istotnie, że obraz drezdeński jest drugiem, w postaciach ludzkich poprawnem, w szczegółach trochę zaniedbanem wydaniem darmstadzkiego. Na każdy sposób jest to obraz wspaniały i z niego będą i nadal współcześni przynajmniej znać Meyerowską Madonę Holbeina, najwyższy może wyraz staroniemieckiej sztuki.

Jest to właściwie grupa rodzinnych portretów, zamówiona przez pobożnego burmistrza Bazylei; a że gorącym modłom zawdzięczał uzdrowienie cudowne najmłodszego dziecka, kazał siebie i swoich odmalować u stóp Bogarodzicy. Matka Boska stoi tedy w rodzaju kaplicy renesansowej i trzyma w ręku owo chore, nagie dziecko, do

którego się tuli miłościwie, a przyoblekła szaty granatowe, prawie czarne, od których pas jasny, czerwony świetnie odstaje. Po prawicy Matki Boskiej klęczy ogolony, otyły burmistrz w ciemnej szubie, a przy nim piękny nadzwyczaj syn jego starszy, kilkunastoletnie pacholę. Chrystusik nagi, przepysznie malowany i cudownie piękny, zeszedł miłościwie z rąk Maryi i z tem pacholęciem raczy się na pysznem bawić kobiercu. Po lewicy Przenajświętszej Panny klęczą poważnie zakwefione, w ciemne płaszcze otulone dwie żony pana burmistrza, nieboszczka, i żyjąca matka chorego dzieciątka, a przy nich jasno ubrana niedorosła córeczka. Wszystko w tym obrazie piękne, ale twarz Madony najbardziej na siebie zwraca podziw i uwagę. Twarz ta portretowa młodej, bardzo pięknej, cichej i świętej niemieckiej matki, ubranej w koronę królewską i w rozpuszczone włosy. Z tej to twarzy spływa pokój miłościwy, iście chrześcijański i na obraz i na widza.

Nowe Muzeum berlińskie przechowuje portret Jerzego Giesza, kupca niemieckiego, osiadłego w Londynie. Jakby żywy a piękny, szlachetny, po męsku silny: ma na sobie czarną czapeczkę i pod czarną szubką z wylotami czerwony żupanik, widny na piersi i na rękawach. Siedzi przy stole i otwiera list; stół pokryty wzorzystym kobiercem i rozmaitemi misternie malowanemi przyborami; tło obrazu tworzy ciemno zielona ściana i wszystko jaśnieje wspaniałem zestrojeniem czarnych szat ze świetnemi kolorami, doskonałą kolorystyczną harmonią, właściwą jednemu tylko Holbeinowi. — Skromniejszym tej harmonii przykładem małe popiersie pięknego, nieznanego młodzieńca w galeryi Schönborn w Wiedniu, gdzie żółty żupanik tylko na piersi z pod czarnej wierzchniej szaty wygląda.

Muzeum Nadworne wiedeńskie poszczycić się może dwoma małemi portretami niewieściemi, malowanemi przez Holbeina, a takie portrety do wielkich należą rzadkości. Jeden z nich wyobraża królowę Johannę Seymour, matkę Edwarda VI.; drugi damę z arystokracyi angielskiej bliżej nieznaną. Obydwa starannie i prześlicznie wymodelowane pęzlem miniaturzysty. Johanna Seymour, młoda, szczupła, ładna, przezroczyście blada, jakby przygnębiona; tamta dama, jeszcze misterniej wykonana, była pięknością, teraz ma już podbródek i dobrze jej się widocznie dzieje. W tejże galeryi oglądamy duży portret czarno ubranego, nielitościwie chudego, brzydkiego i moralnie suchego doktora Chapmana, nadwornego lekarza Henryka VIII. Wszystkie trzy na ostatku wymienione portreta są dobremi przykładami tego, jak Holbein malował obrazy, w których

wszystko albo prawie wszystko, oprócz ciała ludzkiego, jest czarne: a takich portretów Holbeina najwięcej.

Najpiękniejszym podobno jest portret angielskiego złotnika Moreta w Galeryi drezdeńskiej. Obraz to znacznych rozmiarów, dla rzadkiej swojej doskonałości długi czas Leonardowi przypisywany. Przed zieloną kotarą stoi mąż, w bogatej czarnej odzieży, na której jaśnieje łańcuch złoty. Barczysty, silny, już niemłody, ma twarde, grube, niepiękne rysy i rudą, już posiwiałą brodę. Siła i życie, znamionujące wszystkie portrety Holbeina, tu doszły do najwyzszej potęgi, tak że ci trudno uwierzyć, iż masz przed sobą podobiznę złotnika, a sądzisz raczej, że to jeden z owych ludzi rozumnych, bezwzględnych, niezłomnych, którzy za renesansu nawą państw kierowali; a przytem ciemna harmonia ponurych barw, tylko trochę złotem rozświeconych, gra na oku z niezrównaną męską siłą.

Świetniejszą jeszcze jest kolorystyczna muzyka jednego z największych dzieł Holbeina, tak zwanych mylnie Dwu Ambasadorów, którzy się znajdują od lat kilku w Galeryi Narodowej w Londynie. Jest to już obraz duży. I tu zielona kotara tworzy tło, na którem się rysuje dwie postaci męskich. Zamiast popiersi mamy tu jednak dwie całe figury, pełne męskiej powagi i największej godności. Jedną z nich jest sławny podówczas angielski uczony, Sir Thomas Whyat; kim jego towarzysz, dotąd niewiadomo. Tu znowu wyglądają barwne jaskrawo żupaniki z pod czarnej szaty wierzchniej. Obie postacie dzieli stół duży i przykryty perskim dywanem, którego ciepłe barwy odbijają wspaniale od zielonego tła. Na stole stoją astronomiczne instrumenta; trupia czaszka na ziemi.

Także brat Hansa Holbeina młodszego, Ambroży, był wziętym malarzem, a tradycye wielkiego portrecisty przechowali jeszcze czas jakiś w północnych Niemczech Aldegrever, w samym Augsburgu Amberger.

Henryk Aldegrever (1502—1556?) był rodem z Paderbornu, a pracował w Soest; pracował wiele jako rytownik. Najlepszy z jego portretów znajduje się w Wiedniu w galeryi Lichtenstein, a przedstawia wcale niepięknego młodzieńca, we wzorzystej szacie. Daleko tu do siły i kolorystycznej piękności Holbeina, postać młodzieńca robi jednak bardzo, nawet uderzająco malownicze wrażenie na tle poetycznego krajobrazu, wyobrażającego błękitne jezioro.

Krzysztof Amberger (zmarł 1564 r.) był dzielnym portrecistą, u którego wpływ późniejszych już Włochów daje się czuć, obok tradycyi Holbeina. Portreta jego bywają bardzo różnej warto-

ści. Na lepszych widzimy postacie w czarnych, często jedwabnych szatach, występujące na ciemnem tle, podobnie jak na wielu portretach Holbeinowskich. I u Ambergera jest robota bardzo sumienną, karnacye i czarne szaty są zarówno płynnie i prawdziwie ubarwione, choć o kolorystycznym efekcie nie ma zwyczajnie mowy. Rysunek jest miększy, a miejsce nieco twardego ale niezrównanego modelowania Holbeina zajmuje malowanie za pomocą zlewających się z sobą świateł i cieni. Ludzie Ambergera są jakby żywi, nie mają w sobie niezłomnej Holbeinowskiej energii, a przy całej portretowej wierności robią wrażenie ludzi powszednich, raczej miękkich i wygodnych. Najlepszym może, niezawodnie najbardziej pracowitym portretem Ambergera jest popiersie starca Sebastyana Münster w starem Muzeum berlińskiem, w którem tło zielone, czarna odzież wierzchnia, a czerwony na piersi widny żupanik żywcem koloryt Holbeina przypominają. Także dwa portreta małżonków Weiss w Muzeum Nadwornem wiedeńskiem uderzają życiem, prawdą i malarską a sumienną biegłością, z którą je wykonano.

Skończę rzecz o staroniemieckiem malarstwie, wspomniawszy jeszcze o samotnym alzackim malarzu, M a c i e j u G r ü n e w a l d. Malował około roku 1510 skrzydła do rzeźbionego ołtarza, przechowane obecnie w miejskiem Muzeum w Kolmarze. Rysunek jego bywał nieraz niepoprawny, odznaczał się za to wśród niemieckich malarzy tem, że się zajmował bardzo rozkładem świateł i cieni i zamiast modelowania starannym rysunkiem, szukał czysto malarskich efektów, wydobytych za pomocą większych plam barwnych. Pełną ma być wdzięku Madona, pocieszająca się z dzieckiem, wśród gorzystego krajobrazu, najlepszy z obrazów w Kolmarze przechowanych.

Malarstwo staroniemieckie było sumienne i drobnostkowe. Nie znało ani złotniczego wykończenia, ani owych barw podobnych do emalii, któremi się staroflamandzka sztuka odznaczała; nie pozbyło się nigdy pewnej sztywności, a większa część obrazów niemieckich bywa jeszcze niezgrabną. Ani nie zamarzyli mistrze ówczesnych Niemiec o harmonijnie swobodnym rysunku i świetnej kolorystycznej biegłości, o zupełnej swobodzie i o idealnej piękności kształtów ludzkich, któremi jaśnieli współcześni Włosi, a w porównaniu z włoskiemi obrazy niemieckie musiały się wydawać dziełami sztuki, jeszcze nie ze wszystkiem dojrzałej, malującej w dodatku najczęściej nieładnych ludzi. Rzeczą tedy naturalną, że już artyści drugiej połowy XVI. wieku rzucili się w Niemczech do naśladowania Rafaela, a właściwie czczych współczesnych Włochów, naśladujących niby

Rafaela. A skoro się rzucili na tę drogę, stali się biegłymi robotnikami, pozbawionymi ducha i oryginalności; nie zdołali już stworzyć rzeczy żywotnych, potężnych, albo uroczych, jakich nie brak u Niemców pierwszej połowy stulecia. Zdobyli formy okrągłe, malowali na pamięć ludzi niby idealnie pięknych, ale nieosobistych, nie mieli nic do powiedzenia, a paplali tylko bezmyślnie przecież za panią matką. To też historya malarstwa o nich milczeć woli.

(Ciąg dalszy nastąpi).

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI.

NOWY SĄCZ
W EPOCE WAZÓW.

(Ciąg dalszy).

Rozdział III.

Rząd i gospodarstwo miejskie.

Według prawa magdeburskiego rządziła miastem rada miejska, złożona z burmistrza i rajców; sprawiedliwość zaś wykonywała ławica, t. j. wójt z podwójcim i 6 ławnikami. Tu należałoby jednak rozróżnić dwie epoki: pierwszą przed r. 1615. w której, widocznie wskutek wkradnięcia się nadużycia, rajcy byli dożywotni; drugą zaś po r. 1615, kiedy wskutek skarg pospólstwa zesłani komisarze królewscy orzekli, że odtąd wybory co roku ponawiać się mają [1]). Rajców było sześciu, z których czterech wybierał starosta grodowy, piątego wybierali starzy rajcy, a szóstego wójt z ławnikami [2]), i ci

[1]) Lustratio proventuum civitatis Sandecensis an. 1615. Punkta dekretów komisarskich z strony liczby miasta Nowego Sącza. Porówn. Annexa na końcu tomu I. nr. 26 i 27.

[2]) Za dowód niech nam posłuży zapisek z czasów panowania Stefana Batorego: „In nomine Domini Amen. Anno Domini 1579 fer. VI. ipso die s. Dorotheae vel in crastino divae Agathae: facta est electio spectabilium et famatorum dominorum consulum huius civitatis Sandecensis residentium, per Magnificum Dom. Stanislaum Mężyk de Puthniowicze, dapiferum terrae cracoviensis et capitaneum sandecensem. Qui sua personali praesentia in praetorio existens, elegit imprimis: in proconsulem dom. Petrum Piwniczny, in consules vero dom Melchiorem Libranth, Nicolaum Pełka, Nicolaum Stannifusorem. At antiquus consulatus secundum antiquam consuetudinem dom. Albertum Behr; advocatus vero cum scabinis dom. Joannem Greboviensem (Grybowski). Quos Deus omnipotens Spiritu suo sancto regere dignetur ad laudem et gloriam nominis sui et Reipublicae utilitatem.“ (Regestr. provent. et distribut. civit. Sandec. an. 1555—1580. T. 101. p. 579).

byli burmistrzami kolejno, z urzędowaniem miesięcznem. Wójta zaś i podwójciego z 6 ławnikami wybierało pospólstwo całe. Między nimi musiała być przynajmniej połowa wybrana z dawnych rajców. Po burmistrzu władał w radzie starszy rajca: senior syndyk; wójta zastępował w ławicy podwójci.

Prócz rady i ławicy wybierano z pomiędzy starszych cechowych i poważniejszych mieszczan 30 mężów zaufania *(viri electi)*, jako kontrolę od pospólstwa. Wybrani mężowie rozstrzygali sprawy ogółu i często z urzędem miejskim zacięte toczyli spory. Wyborom miejskim czasami przewodniczył pan starosta grodowy, lecz najczęściej jego podstarości, burgrabia zamkowy, dworzanin lub inny jaki znakomity szlachcic, wraz z inną szlachtą asystującą.

Wybory i urzędowanie odbywało się na ratuszu. Tu na piętrze znajdowała się niezbyt wielka izba sklepiona, tak zwana radziecka, a obok niej jeszcze mniejsza, również sklepiona, zwana skarbcem. Wybory miejskie odbywały się w wielkiej izbie sądowej na ratuszu. Jeżeli sam pan starosta grodowy miał przewodniczyć, wybijano ją zielonem suknem w listwy ujętem, wykadzano trociczkami, a na przyjęcie wielmożnych gości przysposabiano konfekty i małmazyę [1]). W r. 1645 wypito małmazyi za 3 złp. 6 gr. Konfektów dostarczał aptekarz, małmazyi kupcy: zwyklej jednak dawano tylko gorzałkę dobrą. W roku 1653 wydano za 4 talerze konfektów przy elekcyi 4 złp., za wódkę 1 złp. [2]).

Przed wyborami w uroczystym pochodzie szli mieszczanie z ratusza do kollegiaty błagać łaski Ducha św. Księża wikaryusze odprawiali wotywę uroczystą, a kantor z śpiewakami śpiewał na chórze. Księżom wraz z kantorem i muzyką dano w roku 1629 za nabożny trud 2 złp. 6 gr., z czego księża brali 1 złp. W r. 1634 i 1635 „od wotywy przy elekcyi panów radziec księżom, kantorowi i organiście 3 złp.; trębaczowi i bębeniście za honor, który czynili przy tejże wotywie, kontentacyi 16 gr.“; a w r. 1646 „ojcom wi-

* Podobnie rzecz się miała z wyborami w XVII. wieku. I tak n. p. w roku 1651 starosta grodowy, Konstanty Lubomirski, wybrał: Wawrzyńca Szydłowskiego, Marcina Frankowicza, Joachima Raszkowicza i Jana Marcowicza; starzy rajcy obrali: Stanisława Olszyńskiego; a wójt z ławnikami obrał: Adama Łukowieckiego. (Act. Consul. T. 58. b p. 322; T. 61. p. 1).

[1]) Małmazya czyli wino małmaskie, tak nazywano w Polsce wina greckie, a wreszcie wogóle południowe, t. j. nie węgierskie, ani reńskie i francuskie, ale zabałkańskie, sycylijskie, kanaryjskie i hiszpańskie. Nazwa pochodzi od miasta Malwoazyi w Morei greckiej.

[2]) Distributa f. 141.

karyom podczas elekcyi generalnej od wotywy 2 złp.; kantorowi i muzykom zaciągnionym 2 złp." [1]). Na kadzidło od wotywy osobno dawano 5 gr. Na tem nabożeństwie obecnym bywał pan starosta lub jego namiestnik.

Po nabożeństwie uroczystym pochodem prowadziło go mieszczaństwo na ratusz i z powagą słuchało, kogo mianował, oparty na prawach królewskich i na starodawnym obyczaju. Poczem uzupełniano wybory rajców i raczono wielmożnych gości, gdyż nigdy pan starosta ani zastępca jego nie przychodził bez świetnego grona szlachty. Po starodawnym obyczaju działo się to zwykle w dzień św. Agaty 5. lutego. Czasami jednak odwlekało się, jeżeli starosta w razie nieobecności swojej pełnomocnictwa nikomu nie przekazał. Mimo corocznych wyborów zdarzało się często, że jedni i ci sami rajcy zasiadali przez długie lata w radzie miejskiej [2]).

Wybory wójta *(advocatus)* i ławników *(scabini)* zwykle nieco później uskuteczniano, tak samo wydziału, czyli 30 mężów zaufania. Wybory te ostatnie były istotnymi wyborami ludowymi, bo pospólstwo w nich wiecowało, łamiąc często przewagę rajców od starosty mianowanych. Gwarność tych wieców pospólstwa miejskiego łatwo odgadnąć!

Wkońcu wybierano po dwóch gospodarzów miasta czyli lunarów *(oeconomi, provisores)*, i po dwóch opiekunów kościelnych *(aeditui, aediles)*, którzy zaopatrywali kościół kollegiacki we wszystkie rzeczy, należące do służby Bożej, ozdoby i naprawy jego.

---

[1]) Distributa f. 139, 170, 2.

[2]) Do takich długoletnich rajców należał: Andrzej Adamowicz 1616—1632, Jerzy Tymowski 1616—1628, Tomasz Pytlikowicz 1619—1623 i ponownie 1629—1636, Stanisław Rogalski 1629—1641, Paweł Użewski 1630—1643, Jakób Poławiński 1632—1647, Wojciech Bogdałowicz 1636—1665, Stanisław Wilkowski 1637—1665, Stanisław Olszyński i Wawrzyniec Szydłowski 1647—1668, Marcin Frankowicz 1647—1669.

Zato pomiędzy ławnikami prawie co roku nowi figurują mężowie. I tak w roku 1651 Jędrzej Koszkowicz, wójt, Jędrzej Kitlica, podwójci, Jan Czechowicz, Jan Cyrus, Marcin Pijanowski, Ludwik Sławiński, Melchior Rymaj i Błażej Krężel, ławnicy. W r. 1653 Jędrzej Kitlica, wójt, Jan Ozdzic, podwójci, Walenty Barycki, Marcin Pijanowski, Sebastyan Żmijowski, Wawrzyniec Gadowicz, Szymon Błaszkowicz i Wojciech Gieszkowicz, ławnicy. W roku 1656 Stanisław Wilkowski, wójt, Wal. Barycki, podwójci, Jan Cyrus, Marcin Pijanowski, Wawrzyniec Delfinowski, Adam Kuźma, Wojciech Polichtowicz i Jan Żołądkowski, ławnicy.

Przed objęciem urzędowania składali przysięgę na wierność tak rajcy, jako i wójt, ławnicy czyli przysiężnicy, i pisarz miejski. Oto rota przysięgi rajców sandeckich z r. 1552:

„Ja N. przysięgam Panu Bogu, iże Królowi Jegomości polskiemu i wszystkiej koronie polskiej wiernym będę, przeciw dostojności i zwierzchności Jego Królewskiej Mości poddaność swą powinną we wszystkiem spełniać; czci, sławy i pożytków korony wszej, osobliwie miasta tego, wedla nawiętszej możności i umiejętności swej strzedz. Sprawiedliwość równo każdemu, tak ubogiemu jako i bogatemu, nie uwodząc się ani przyjaźnią, ani bojaźnią, ani pożytkiem, czynić; skarb pospolity, aby na żadną inną potrzebę, jedno na pożytek miasta tego, a ku dobremu pospolitemu obracan był, strzedz będę; ani na swój własny pożytek nigdy jego obracać, ani innemu na to przyzwalać; ucisków żadnych człowieku pospolitemu, któreby były przeciw prawu i sprawiedliwości czynić nie będę. Rozterków ani rozdwojów w mieście dopuszczać nie chcę, ani przyczyny, ani rady do tego dawać ani go mnożyć; ale wszystkiego pospolitego dobrego szukać i omyślać i mnożyć będę, podług mego najlepszego rozumu i nawiętszej możności i umiejętności mej. Tak mnie i potomki moje Pan Bóg we wszystkiem dobrem spomóż, i święte jego wierne umęczenie“ [1]).

Podobną prawie, lecz znacznie krótszą i treściwszą, była rota przysięgi wójta, ławników i pisarza miejskiego [2]).

Najprzód mianowany burmistrz obejmował urzędowanie swoje od ostatniego z kolei urzędującego. Zdanie urzędu działo się przez wręczenie worka czyli mieszka z pieniędzmi, rejestrów dochodowych i kluczów od bron miejskich, ratusza i skarbca.

Burmistrz *(proconsul)* czuwał nad bezpieczeństwem, porządkiem i mieniem miasta. Rajcy *(consules)* dopomagali mu w czynności, władza jednak była przy nim przez czas urzędowania jego; ale też przy nim była i odpowiedzialność. On nadawał mieszczaństwo czyli prawo obywatelstwa, *jus civile*, odbierał dochody miejskie i rozrządzał nimi przez lunarów czyli gospodarzów miejskich,

---

[1]) Juramentum Consulum Sandecensium an. 1552. Act. Castr. T. 5. p. 425. Jest to najdawniejszy zapisek polski z XVI. wieku, jaki znalazłem w aktach grodzkich sandeckich. Przytoczyłem go tutaj dosłownie, zmieniwszy samą tylko pisownię.

[2]) Groicki: Porządek sądów i spraw miejskich prawa magdeburskiego w koronie pol. Kraków 1629. Dedyk. zacnie sławetnym panom Ichmościom sześciu miast: Krakowa, Sandcza, Kazimierza, Bochni, Wieliczki, Ilkusza (Olkusza).

zapisując każdy wydatek i dochód. On rozkazywał sługom miejskim i straży nocnej, złożonej z dziesiętnika i kilkunastu drabów, uzbrojonych w żelazne cepy, o czem wspominają zapiski miejskie. W r. 1649 „za żelazo i blachę do okowania cep straży nocnej 2 złp. 10 gr.: kowalowi od okowania tych cep 2 złp.“ [1]). Według starodawnego zwyczaju bywało 20 drabów, którzy z bębnem chodzili do zamykania i otwierania bram miejskich, jak notują zapiski pod r. 1629: „Bębeniście, który bił w bęben na obchódce do zamykania bron, za niedziel 4 dało się 24 gr.“ [2]). A w roku 1644 „doboszom z porucznikiem miejskim, którzy rano i wieczór do zamykania brom z dziesiętnikiem chodzili, 2 złp.“ Po zawarciu bron miejskich, oddawano klucze burmistrzowi; on także rozporządzał kluczami więzień ratusznych.

Burmistrz zwoływał radę miejską i pospolite wiece; wobec szlachty i rządu królewskiego przedstawiał miasto, był pierwszym pomiędzy mieszczanami swego miasta, jak wojewoda pierwszym między wojewódzką bracią, jak Król Jegomość pierwszym pomiędzy wszystką bracią szlachtą. A kiedy jakieś niebezpieczeństwo zagrażało koronie polskiej lub miastu, burmistrz pierwszy z rajcami ostrzegał pospólstwo. W czasie bezkrólewia 16. lipca 1632 r., Tomasz Zamojski, podkanclerzy koronny, domagał się w senacie: „Aby miasto i zamek krakowski miały swoje municye i załogę pod ten czas aż do koronacyi“ [3]). Za przykładem Krakowa poszedł Nowy Sącz. Pod dniem 10. listopada tegoż roku zanotowano w księdze radzieckiej: „Sławetni burmistrz i rajce sandeccy, zwoławszy na ratusz pospólstwo całe, ostrzegali względem niebezpieczeństwa grożącego, ażeby każden pojedynczy miał gotową broń i oręż w domu, cechy zaś w swych basztach. Oraz żywnością, aby się na dwa miesiące zaopatrzyli, na wzór stolicy Krakowa. A ludzi luźnych i włóczęgów nie przyjmowali, ani przechowywali“ [4]). Podobne ostrzeżenie wydawał burmistrz, ilekroć morowe powietrze pojawiło się w sąsiednich Węgrzech. Tak n. p. w r. 1634 ogłoszono w Sączu: „Zapobiegając niebezpieczeństwu powietrza morowego, na ten czas w Węgrzech panującego, aby była silna straż w bronach, po jednemu z pospólstwa po kolei. I żeby żaden nie ważył się w tamte kraje węgier-

---

[1]) Distributa f. 88.
[2]) Distributa f. 162. — Por. Annexa na końcu tomu I. nr. 25.
[3]) Grabowski: Staroż. wiadom. o Krakowie str. 44.
[4]) Act. Consul. T. 53. p. 1.

skie, bez woli pana burmistrza chodzić. A tamci, którzy tymczasem tam wjechali, aby wiadomość o dobrem zdrowiu swem dali“ [1]).

Sprawy wszelkie szły do burmistrza, a on sprawy, na radzie lub wiecach uznane za kryminalne, tudzież sprawy sądowe odsyłał do wójta i ławicy. W sprawach jednak jawnego powstania lub buntu rajcy mogli i śmiercią karać.

Jak urząd radziecki, tak i urząd ławniczy posiadał swą własną pieczęć, którą wyciskał na urzędowych aktach. Leon Rzyszczewski przy dokumencie z r. 1343 tak opisuje ówczesną radziecką pieczęć Nowego Sącza: „W środku pieczęci widnieje postać św. Małgorzaty siedzącej, z koroną na głowie; w prawej ręce trzyma chorągiew z krzyżem, z lewej strony widać kościółek, ozdobiony wieżyczką z krzyżem. W otoku napis: *Sigillum Consulum Et Civium In Novo Sondecio* [2]). Podobnej pieczęci po wszystkie czasy używali rajcy sandeccy. Pieczęć radziecka Nowego Sącza (Newen Czanze) z r. 1404 przedstawia św. Małgorzatę, stojącą na smoku, z gałązką palmową w ręku [3]). Bartosz Groicki w swem dziele, dedykowanem rajcom 6 miast najwyższego prawa magdeburskiego, podaje również rysunek pieczęci Nowego Sącza z wizerunkiem św. Małgorzaty. Na aktach urzędowych z XVI., XVII. i XVIII. wieku, a nawet jeszcze w r. 1800 wydawanych przez magistrat sandecki, widziałem na wosku lub laku wyciśniętą postać św. Małgorzaty, stojącej na smoku, z napisem w otoku: *Sigillum Civitatis Neo Sandecensis* [4]).

Pieczęci wójtowskiej miasta Nowego Sącza, którą Żegota Pauli widział przy dyplomie z r. 1323, podaje tenże opis następujący: „Przedstawiona na niej św. Małgorzata ze smokiem; dokoła zaś napis: *Sigillum advocati atque civium de Kemniz*; w środku: *Beata Margarita virgo.*“ Że pieczęć ta, wymieniająca Kamienicę [5]), jest pieczęcią Nowego Sącza, dowodzi inna taka sama, nieco późniejsza

---

[1]) Act. Consul. T. 53. p. 157.

[2]) Codex diplom. Polon. T. I. p. 191.

[3]) Engel Bernhard: Die mittelalterlichen Siegel des Thorner Rathsarchivs. Thorn 1894.

[4]) Pieczęć miejska jedna i ta sama długo nieraz służyła; ale nabycie jej wcale kosztownem było, jak świadczy wyraźny zapisek burmistrza Stanisława Kopcia z roku 1649: „Za pieczęć publiczną, którą dałem robić w Warszawie, dałem 36 złp.; za prasę do wybijania tejże pieczęci 1 złp.“ (Distributa f. 73).

[5]) Miasto Nowy Sącz, założone na gruncie wsi Kamienica w r. 1292, nazywano jeszcze z początkiem XIV. wieku: 1310, 1313, 1315 i 1317 pospolicie Kamienicą, Kemniz, Kamencia, Camenicia. Porówn. Dra Piekosińskiego: Kod. dypl. małop.

pieczęć, w której ta tylko różnica, że w otoku za „Kemniz“ czytamy *in Novo Sandecz* [1]). Ławnicy używali też pieczęci z odmiennem nieco godłem. Na dokumencie ławników sandeckich z r. 1389 była pieczęć z odciskiem orła polskiego i z napisem w otoku: *Sigillum Judicii*... dalej niewyraźne [2]). Na aktach ławniczych z lat 1583, 1604, 1645 i 1737 widziałem na pieczęci odciśniętą postać smoka z ogonem i otwartą paszczą, z napisem w otoku: *Sigillum Scabinorum In Nova Sandecz.*

Korzyści rajców i ławników były: Wyjęcie od sądów grodzkich starościńskich, wojewódzkich i wszystkich, wyjąwszy królewskich. Dalej: wolność od wszelkich poborów, opłat i ciężarów, tak publicznych jak miejskich, oraz nakładów sądowych. Honorarya także mieli rozmaite. Z pierwszego wypływało, iż tylko wyrok królewski mógł rajców pozbawić urzędu i godności, za któremi szło uwolnienie od ciężarów.

Do honoraryów należały: Siedzenie w „formach radzieckich“ czyli stallach, które były pod chórem w kollegiacie, oraz przodowanie w uroczystościach kościelnych i miejskich. Następnie tak zwane *Diennia*, t. j. dzienne na wielkie uroczystości, jak na Wielkanoc, św. Trójcę, Zielone Świątki, św. Małgorzatę, św. Marcin i Boże Narodzenie. Zwykle zapisywano w księdze wydatków: „Panom rajcom *diennium pro festo Nativitatis Domini*, *Resurrectionis*, *Pentecostes*... 4 złp. 24 gr.“; nie rzadko 6 złp. 12 gr., a w roku 1632 „panom rajcom na korzenie *pro festo Nativitatis* 9 złp. 18 gr. czyli 6 grzywien“ [3]). Przy miesięcznej zmianie burmistrzostwa: „Panom rajcom na piwo według obyczaju 2 gr.“ Po każdym jarmarku wpisywano również: „*Diennium* panom kollegom na jarmark *more solito* 4 złp. 24 gr.“

Podobnie jak rajcy mieli i ławnicy swe dochody. Z lustracyi 1564 r. dowiadujemy się, że wójt pobierał intratę z 1 łanu, dwóch domków pod zamkiem i dwóch ogrodów; prócz tego przypadał wójtowi każdy szósty grosz z pewnej intraty miejskiej (72 grzywien 36 gr.), wnoszonej corocznie na ratusz [4]). Według przepisów prawa magdeburskiego pobierali ławnicy swe dochody z kar i opłat sądowych osobnemi taksami, w różnych czasach różnie oznaczanych.

---

[1]) Starożytności galicyjskie. Lwów 1840, str. 43.

[2]) Akta grodzkie i ziemskie. T. IX. p. 5. Lwów 1883.

[3]) Distributa f. 103.

[4]) Lustracya województwa krakowskiego, ks. 16. fol. 210. Civitas Sandecz 1564. Archiw główne w Warszawie.

Co rok w styczniu lub lutym wyjeżdżali panowie rajcy na tak zwane „prawo rugowe“, t. j. sądzenie według prawa magdeburskiego spraw poddanych miejskich w Piątkowej, Paszynie i Żeleźnikowej. Za ten trud pobierali osobne *diennium*; zwykle zapisywano: „Do Piątkowej na rugowe prawo dla panów radziec za 2 garnce wina 4 złp. 24 gr.; za chleb i korzenie 1 złp.“ Tyleż z osobna do Paszyna i Żeleźnikowej na rugowe prawo.

Oprócz tych zaszczytów i korzyści, wypływających z ich urzędowania i stanowiska publicznego, były jeszcze inne, które ich spotykały i w życiu prywatnem. Na weselach rajców i ich rodzin stawiali panowie rajcy dla osób duchownych i świeckich imieniem miasta 6—12 garncy wina. Pełno o tem zapisków w księgach wydatków miejskich. Tak n. p. w roku 1607, „kiedy pan burmistrz, Jędrzej Adamowicz, wydawał córkę w stan św. małżeński, był na weselu Jegomość ksiądz opat, Jan z Zakliczyna Jordan [1]), pan podstarości, Sebastyan Gładysz, pan Adam Jordan, pan Jan Krynicki, dzierżawca dóbr miejskich w Paszynie, i insze zacne osoby, dla których panowie rajcy wystawili 12 garncy wina za 12 złp. 24 gr.“ — A w roku 1632 „za pozwoleniem panów radziec na weselu u pana Matyasza Pleszykowicza, rajcy sandeckiego, gdy wydawał w stan św. małżeński córkę swoją za pana Jerzego Frączkowicza, na którem weselu był pan starosta sandecki, Jerzy Stano, za 10 garncy wina starego dało się 20 złp.“ — W roku 1651 „na weselu pana Jędrzeja Kitlicy, który przyjmował pannę radziecką niegdyś pana Jana Zięby, za konsensem panów kollegów, dla osób zacnych tak duchownych jako i świeckich, dano za 10 garncy wina od pani Bogdałowiczowej 24 złp.“ [2]).

Podobnie na rachunek miasta obchodzono radzieckie „przenosiny“ i to nie koniecznie tylko wtedy, jeżeli który rajca pannę lub wdowę radziecką pojmował, lecz nawet gdy krewną lub tylko służebną wydawał w stan św. małżeński.

Daleko jeszcze więcej wydawali panowie rajcy na wino, ilekroć pan starosta grodowy lub podstarości wydawał za mąż swą córkę albo wychowanicę. I tak w r. 1626 „przy rękowinach Jejmości panny Zofii Lubomirskiej, starościanki sandeckiej, która szła w stan święty małżeński za Jegomościa pana Rarowskiego, gratyfikując Jegomości panu staroście, Sebastyanowi Lubomirskiemu, da-

---

[1]) Był opatem sandeckim od 1586—1620, umarł opatem hebdowskim 3. marca 1627 r.

[2]) Distributa f. 237, 93, 105.

liśmy beczkę wina za 60 złp., za ryby i wyzinę 5 złp.“ — „Jegomości panu Zygm. Stradomskiemu, podstarościemu sandeckiemu, gdy córkę wydawał *gratitudinis ergo* na wino 10 złp.“ — W roku 1628 „Jegomości panu Jerzemu Stano, staroście sandeckiemu, gdy wydawał córkę swoją w stan św. małżeński za Jegomościa pana Palczowskiego, gratyfikując mu daliśmy wina beczkę za 80 złp.“ — A w r. 1634 „za beczkę wina, gratyfikując Jegomości panu staroście, Jerzemu Stano, gdy wydawał wychowanicę swoją w stan św. małżeński, do którego aktu Jegomość nas zaprosić raczył, 80 złp.“ [1]).

Także na prymicyach księży z rodzin patrycyuszowskich dawali panowie rajcy wino dla osób duchownych i świeckich na rachunek miasta, boć to już był taki przywilej patrycyuszów, t. j. synów radzieckich. Tak n. p. w r. 1627 „na prymicyach ks. Jana Witaliszowskiego, patrycyusza sandeckiego, dało się na potrzeby 10 złp.“ — W r. 1634 „za 4 garnce wina na prymicyach ks. Macieja Grybowskiego, patrycyusza sandeckiego, dla ludzi zacnych i kapłanów 6 złp. 12 gr.“ — W r. 1646 „na prymicye ks. Gargulewicza, patrycyusza sandeckiego, dla gości tak świeckich jako i duchownych, dałem za 8 garncy wina 21 złp.“ [2]).

Sprawiało też miasto swym kosztem prymicye zakonnikom u Norbertanów i Franciszkanów, jak również bakałarzom. I tak w r. 1630 „ks. Teofilowi Berezie, bakałarzowi sandeckiemu, na prymicye wina 4 garnce za 6 złp. 12 gr.“ — W roku 1654 „na prymicyach ks. Wojciecha Potrzebowicza, który u nas był *institutor juventutis* przez kilka lat, dla ludzi zacnych tak duchownych jako i świeckich, za 12 garncy wina 24 złp.“ [3]).

Nie potrzeba wcale wspominać, że pogrzeby, okazowania zbrojne, oględziny w pewnych czasach baszt i murów fortecznych, oraz wszelkie komisye nie obeszły się bez wina dla panów rajców. Trzy razy corocznie: na Matkę Boską Gromniczną 2. lutego, na św. Stanisław 7. maja i na św. Michał 29. września jeździło po dwóch rajców na komisyę 6 miast do Krakowa w celu rozstrzygania spraw najwyższego prawa magdeburskiego na zamku krakowskim [4]) —

---

[1]) Distributa f. 77, 101, 134, 159.

[2]) Distributa f. 109, 137, 8.

[3]) Distributa f. 9, 175.

[4]) Kazimierz Wielki zaliczył Nowy Sącz w r. 1365 do tych 6 miast, w których mianowani przez króla rajcy stanowili najwyższą królewską instancyę sądową. Do tych miast należał także Kraków, Bochnia, Wieliczka, Olkusz i Kazimierz (pod Krakowem). Sądy te wyszły z uży-

zaco otrzymywali każdorazowo: z początkiem XVII. wieku 7 grzywien czyli 11 złp. 6 gr., a około połowy tegoż wieku 20 złp.

Każde odniesienie zwycięstwa nad wrogami ojczyzny witano z niesłychaną radością w Nowym Sączu, wśród wystrzałów armatnich, przy odgłosie trąb i bębnów, przyczem nie obeszło się bez wydatków na koszt miasta. Tak n. p. w r. 1579, kiedy Stefan Batory w czasie wojny z Iwanem Groźnym zdobył szczęśliwie Połock, zapisał burmistrz Melchior Librant w księdze wydatków pod dniem 3. października: „Panu pisarzowi grodzkiemu, który pocieszną nowinę opowiedział na ratuszu o wzięciu zamku w Połocku przez króla Jegomości, wystawiliśmy garniec wina za 16 gr.“ A kiedy następnego roku (1580) Stanisław Mężyk, starosta grodowy, powrócił do Sącza po wygranej wielkołuckiej [1]) bitwie, kupiono dla niego u pani Rabrockiej z polecenia burmistrza Piotra Piwnicznego 36 garncy wina za 15 grzywien czyli 24 złp. [2]). Podobnie w r. 1629, po najświetniejszem zwycięstwie Stanisława Koniecpolskiego [3]) nad Gustawem Adolfem pod Trzcianą 27. czerwca, zanotował burmistrz Tomasz Pytlikowicz: „Puszkarzom za odprawienie tryumfu po zwycięstwa otrzymaniu nad Gustawem, dało się 14 gr.; panu Walentemu Korzeniowskiemu [4]), który przy tymże tryumfie monstrował i regimentował pospólstwo, także i bębeniście kontentacyi 9 gr.“ [5]). Trąbiono też na tryumf, co sił starczyło, kiedy doszła wiadomość, że Stefan Czarniecki pobił Jerzego Rakoczego 22. lipca 1657 r.

Po każdym wyborze nowego króla nie obeszło się również bez hucznej muzyki i wystrzałów. I tak w listopadzie 1648 r. po wyborze Jana Kazimierza odprawiono tryumfalny pochód do zamku, poczem wpisano do księgi wydatków: „Podczas tryumfu, który się

---

cia dopiero za Władysława IV., gdy w roku 1643 upowszechniła się apellacya do sądu zadwornego asesorskiego.

[1]) W wyprawie Batorego pod Połockiem i Wielkiemi Łukami brał udział Stan. Mężyk na czele własnej roty, złożonej ze 150 koni. Konst. Górski: Pierwsza wojna z wiel. księstw. moskiew. za Batorego, str. 102. — Druga wojna Batorego. Bibl. Warsz. r. 1892. T. IV. str. 15.

[2]) Regestr. provent. et distrib. civit. Neosandec. an. 1555—1580. T. 101. p. 610, 625.

[3]) Wojewoda sandomierski, hetman polny koronny, barski, buski i kowelski starosta.

[4]) Częste o nim spominki w księdze cechu szewskiego 1630—1642 r.

[5]) Distributa f. 160.

odprawował, jak prędko stanęła elekcya króla Jegomości, dałem puszkarzom za pracę 3 złp.: trębaczom kontentacyi 6 gr." [1]).

Każdy wreszcie szczęśliwy wjazd nowego grodowego starosty lub jego powrót z obozu obchodzono wśród wesołych biesiad. I tak w r. 1611, kiedy Stanisław Lubomirski, starosta grodowy, powrócił do domu z wojny moskiewskiej, darowano mu „na przywitanie" beczkę wina za 80 złp. — Z powodu przybycia nowego starosty grodowego w r. 1627 zanotowano: „Na przywitanie Jegomości pana Jerzego Stano *pro honorario* daliśmy 2 beczki wina za 112 złp." A kiedy tenże starosta w r. 1634, wskutek poddania się Moskali i układów z nimi pokojowych w Polanowie, powrócił z obozu, ofiarowało mu miasto beczkę wina za 70 złp. [2]).

Po ustąpieniu Jerzego Stano w r. 1637, objął starostwo grodowe Jerzy Lubomirski. Z wielką okazałością witało go miasto, kiedy wjeżdżał do Sącza wraz z ojcem swym Stanisławem, wojewodą ruskim. U krakowskiej bramy na rozkaz rajców wystawiono ogromny kolos czyli posąg, przyozdobiony odpowiednio do uroczystości, zaco cieśle dostali 26 gr. Szychtarz miejski regimentował cechami i dostał wina garniec za 2 złp., pomocnicy zaś jego gorzałki za 1 złp. 6 gr. Pisarz miejski za przemowę do Imci pana starosty wziął też garniec doskonałego wina za 2 złp. 18 gr. Za starostą zjechało wiele szlachty i chorągiew dragonii wojewody ruskiego, ojca starosty. Nie mogąc się jedną bramą zmieścić, chcieli wjeżdżać drugiemi, że zaś były zamknięte, nie myśląc wiele, poodbijali kłódki i wjechali sobie wśród huku doboszów, wrzasku trębaczów i szyposzów [3]) miejskich, trąbiących na wjazd pana starosty [4]).

Charakterystycznym zwłaszcza był wjazd starosty 6. października 1646 r. Burmistrz, Jakób Poławiński, i rajcy, naradziwszy się pospołu, czynili przygotowania do należytego przyjęcia nowego pana starosty, Konstantego Lubomirskiego, syna Stanisława, wojewody krakowskiego. Lunarowie odebrali rozkaz wystawienia tryumfalnego łuku przed krakowską broną, a sławetny Floryan Benedyktowicz,

[1]) Distributa f. 69.

[2]) Distributa f. 378, 114, 159.

[3]) Władysław IV. zatwierdził w r. 1643 cech krakowskich muzykantów: Contubernium unitae companiae musicantum — Cymbalistarum, Serbistarum aliorumque non ex arte, sed rudi Minerva thyras chordas, cymbala tangentium. Należeli do nich także dudarze i szyposze (od węgier. sipos), grający na piszczałce lub innym dętym instrumencie.

[4]) Distributa f. 227—228.

wielce zasłużony i słynny malarz, odebrał polecenie odmalowania tablicy tryumfalnej i 6 herbów, za którą robotę wypłacił mu burmistrz 20 złp. Bramę zaś tryumfalną stawiano pod okiem pana lunara, Wawrzyńca Sławińskiego, który podał rejestr wydatków 17 złp. 26 gr. Składką dobrowolną zebrano po mieście 10 złp., resztę dodał burmistrz *ex aerario*.

Służba miejska, tak radziecka jako i wójtowska, już znacznie przechodziła mundury swoje, trudno ją więc było przedstawić pańskiemu oku w takiem zaniedbaniu. A zatem nabrano na świeżą barwę sukna morawskiego i kiru, i razem z robotą krawiecką zapłacono 20 złp. 24 gr. Była więc brama tryumfalna i czeladź przystrojona; był i pan pisarz miejski przygotowany z uroczystą mową powitalną; duchowieństwo zaś świeckie i zakonne z święconą wodą i błogosławieństwem było w pogotowiu.

Panowie rajcy pomyśleli także o ugoszczeniu wielmożnego pana starosty. Pod przewodnictwem sławetnego Sebastyana Żmijowskiego, rewizora wina, zapuścili się w podziemia królewskiego miasta swego, aby zobaczyć składy daru Bożego, którym Stwórca węgierskie nasze sąsiady przed innymi narodami wyszczególnił i wyposażył. I znaleziono w mieście 23 składy węgierskiego wina a w nich beczek 334. Obejrzawszy się tedy po owych składach, mianowicie między beczkami Bonpaula Węgrzyna, wybrali panowie rajcy maślacza czteroputowego, t. j. takiego, gdzie na jedną beczkę moszczu wchodziło cztery putni [1]) wyśmienitych rodzynek, i ugodzili ją za 150 złp.

Witając tedy pana starostę, ofiarowali mu ją w dowód uniżoności swej i posłuszeństwa i radości z przybycia, poczem w rejestrze wydatków nadzwyczajnych zapisano: „Na przywitanie Imci pana starosty darowaliśmy beczkę wina za półtorasta“. Starszy dworzanin Imci pana starosty, aby się przyczyniał za miastem i rajców jego łasce pańskiej poufnie polecał, a wpływem swoim biednych ludzi od ciężarów ochraniał, dostał ciepłą ręką honoraryum talerów twardych 10, czyli 30 złp. [2]).

Gospodarze miejscy, z niemiecka lunarami *(Lohnherr)* zwani, już od r. 1566 zawiadywali właściwem miasta gospodarstwem [3]). Do

[1]) Putnia mieściła w sobie blizko ćwierć dawnego korca polskiego.

[2]) Distributa f. 19, 24, 26, 28.

[3]) Constitucio provisorum laborum civilium vulgo Lunarow fer. II. ante festum s. Stanislai in Mayo A. D. 1566 in praetorio civitatis sandecensis ad annum, ubi spectabilis senatus Stan. Grabka e medio sui elegerunt, advocatus vero cum scabinis et czechmagistris virisque senioribus adiuncti Joan. Tuchowsky, quorum pro salario per marcas 10, si eorum diligentiam considerabunt, assignaverunt. Regestr. T. 101. p. 329.

nich należał dozór nad budynkami miejskimi, porządkiem targowym, drogami, mostami, czystością ulic i wodą po studniach, a wreszcie nad brukami, o których wyraźną wzmiankę znajduję w wydatkach miejskich. Tak n. p. w roku 1609 „dwom burkarzom za 5 dni, co doły w rynku burkowali, każdemu po 5 groszy na dzień czyni 1 złp. 20 gr.“ — W r. 1625 „chłopu od poprawy burku 1 złp.“ — A w r. 1642 „za młotek do burkowania 15 gr.“

Lunarowie doglądali wszelkich robót publicznych, jako to: naprawy murów fortecznych, bram i baszt miejskich; prócz tego mostów i wodociągów przy pomocy osobnego rurmistrza *(canalista)*. Oni także wypłacali rzemieślnikom i robotnikom za wszelkie dostawy na potrzeby miejskie. Do nich należało doglądanie wag i miar: funtów, łokciów, kwart, garnców, korców i t. p.; doglądanie przekupek i szynkarzy, wagi chleba, mięsa, ryb; wreszcie dozór nad kupnem i sprzedażą, tak na targu jako i u rzemieślników. Czyszczenie od czasu do czasu kanałów miejskich, oraz oczyszczanie ulic od zdechłych zwierząt, należało do zajęć „mistrza szerokiego rzemiosła“ *(canicida)*, zaco osobną pobierał każdorazowo płacę. Najczęściej jednak, na wzór innych dawnych miast polskich, spełniał tę czynność sam mistrz, czyli kat miejski. Zwykle zapisywano: „Mistrzowi od chędożenia miasta 24 gr.“, albo „mistrzowi, co chędożył miasto, 15—20 gr.“, a niekiedy 1 złp. 2 gr.

Przed radą miejską składali lunarowie rachunki z wydanego publicznego grosza. Za czynności jednak swoje brali płacę roczną zwykle 16 złp., która z dodatkami dochodziła do 30 złp.; mieli przytem wolność od podatków miejskich i królewskich. Tak n. p. pod rokiem 1622 zanotowano: „*Salarium* panom lunarom dwom grzywien 20 czyli 32 złp.“ — W roku 1649 „panu Wilkowskiemu, lonarowi, *salarium* 16 złp.; temuż kontentacyi *ratione* lonarstwa 12 złp.; panom lonarom kolędy 2 złp. 12 gr.“ — A w r. 1656 „panu Szydłowskiemu, lunarowi, myta za przeszły rok 24 złp.; panu Góreckiemu, lonarowi młodszemu, *salarium* za przeszły rok 16 złp.; lunarom obydwom kolędy 1 złp. 18 gr.“ [1]). Po dwóch lunarów w w XVII. miały i inne miasta polskie, jako to: Lwów, Kraków i Tarnów [2]).

---

[1]) Distributa f. 429, 88, 210, 211.

[2]) Mam pod ręką ustawy lunarów tarnowskich z r. 1623, nadane tymże przez Teofilę z Szczekarzewic księżnę Ostrogską, kasztelankę krakowską. Z nich dowiaduję się, że za pracę pobierali kwartalnie salarium 4 złp., a więc podobnie jak w Nowym Sączu.

Przedmiotem szczególnej troskliwości rządu miejskiego był zegar bijący, na wieży ratusznej umieszczony, który nakręcał zegarmistrz *(horologista)* i pobierał za ten trud kwartalnie 24 gr., rzadko kiedy 1 złp., osobno na oliwę do zegaru 6 gr.; prócz tego miał wolne pomieszkanie w osobnym domku „zegarmistrzowskim“ w bronie węgierskiej. Na tejże wieży ratusznej w małej izdebce, opatrzonej piecem, czuwał trębacz *(tibicinator)*, wytrębując godziny uroczystości i trwogi. Zwyczaj trąbienia z wieży ratusznej („hejnały“) odległej sięgał starożytności. Już bowiem w r. 1558 znajduję wydatki na trębacza miejskiego. W trzy lata potem (1561) sławetni rajcy miejscy zgodzili na rok niejakiego Józefa Nieszkowskiego, mieszczanina sandeckiego, ażeby wygrywał na surmie[1]), czyli szałamai, 3 razy dziennie: o świcie, w południe i na dobranoc; a odzywał się na trąbie po każdem uderzeniu godziny, zaco płacono mu tygodniowo po 20 groszy[2]). W XVII. wieku pobierał on zato miesięcznie 4 złp., czasami 5 złp. 10 gr., rzadko kiedy 8 złp.; miał przytem wolne pomieszkanie w domku „trębaczowym“. Na wypadek ognia budził mieszkańców ze snu przeraźliwem trąbieniem. Przyrządów bowiem do gaszenia ognia, ani straży pożarnej jeszcze wówczas nie znano wcale. O godzinie 10 wieczór dawał znak na spoczynek, wytrębując swą zwykłą pieśń:

Hej panowie gospodarze,
Już dziesiąta na zegarze;
Strzeżcie ognia i złodzieja,
Chwalcie Boga, w nim nadzieja![3])

---

[1]) Surma w rodzaju trąbki, piszczałka turecka, po turecku zwana surna, rozpowszechniona w Polsce w XVI. i XVII. wieku.

[2]) Famati Consules Josephum Nyeskowsky civem sandecensem in tibicinatorem in annum integrum susceperunt, qui in tibicinis alias szalamyeye tribus vicibus debebit tibicinare in diluculo, in meridie et pro bona nocte, et unus semel post tactum hore debebit se reclamare in tuba, cui per 20 grossos debent solvere. Regestr. T. 101. p. 150.

[3]) Pieśń ta dostała się od Niemców i jest prawie dosłownem tłómaczeniem niemieckiej pieśni, używanej w niektórych miastach aż do najnowszych czasów:

Ihr lieben Herren, lasst euch sagen,
Die Glocke hat zehn geschlagen;
Verwahrt das Feuer und auch das Licht,
Damit dem Nachbar kein Schaden geschicht,
Und lobet Gott den Herrn.

W epoce Wazów pobierał Nowy Sącz rozmaite dochody, jako to: z „fluitacyi" czyli spławiania towarów Dunajcem, z arendy trzynastego drzewa[1]), z arendy trzeciej miary z młynów królewskich w Sączu, z składnego winnego, z ważnego i burkowego, z wodociągów, z targowego czyli bromnego, z arendy cechy śrotowej, z mostowego[2]), z domków u przedmurza zamieszkałych przez komorników, z ogrodu roratnego, z stawu miejskiego, z postrzygalni sukna, z blechu, z cegielni, z wagi miejskiej; prócz tego: od jateczniczek, przekupek, piekarek, chlebiarek, obarzalniczek, krupiarek; od szewców, rzeźników, kramarzów i sukienników; wreszcie z wydzierżawienia Paszyna, Falkowej, Żeleźnikowej i Piątkowej Nie świetnie jednak stały owe dochody miejskie, skoro rzadko kiedy pokrywały wydatki. Wykazy statystyczne z przeciągu lat 37, chronologicznie zestawione, przekonają nas o tem najdokładniej.

Rok:	Dochody:				Wydatki:			
1620	1.001	złp.	17	gr.	2.006	złp.	3	gr.
1623	1.240	„	25	„	1.309	„	11	„
1626	2.030	„	12	„	1.668	„	6	„
1629	1.274	„	4	„	1.545	„	4	„
1632	1.368	„	21	„	1.353	„	19	„
1635	1.785	„	17	„	2.162	„	22	„
1638	2.443	„	25	„	2.928	„	27	„
1647	2 641	„	28	„	3.233	„	20	„
1648	1.876	„	23	„	2.404	„	6	„
1649	2.197	„	4	„	1.991	„	5	„
1650	2,494	„	28	„	2.478	„	2	„
1651	2.308	„	29	„	2.342	„	20	„
1652	1.211	„	28	„	1.388	„	15	„
1653	2.487	„	27	„	2.533	„	19	„
1654	1.644	„	24	„	1.803	„	21	„
1655	1.554	„	18	„	1.664	„	13	„
1656	1.882	„	16	„	2.025	„	8	„
1657	1.115	„	10	„	1.185	„	20	„ [3])

[1]) Na mocy przywileju pobierało miasto od każdej tratwy, spławianej Dunajcem, trzynastą tarcicę lub drzewo; dochód ten wydzierżawiano.

[2]) Częste powodzie w XVI. i XVII. wieku, jako to: w r. 1572, 1580, 1617 i 1628 zabierały most na Dunajcu, wskutek czego i dochody z mostowego ponosiły uszczerbek.

[3]) Regestra perceptorum et distributorum an. 1620—1657. Zadałem sobie dużo arcymozolnej pracy, a rachując z pojedynczych miesięcy

Ważną rolę w gospodarstwie miejskiem odgrywał „blech". Wyroby tkackie, szeroko w Nowym Sączu rozpowszechnione, wymagały koniecznie bielenia płócien, czyli blechu *(dealbatorium)*. W XVI. wieku znajdował się blech za kościołem św. Krzyża za rzeką Kamienicą, tuż przy drodze do Gołąbkowic obok dużych stawów. Później jednak, już z początkiem XVII. wieku, przeniesiono go na murawę pola, nazwanego potem *Blechantel* [1]); był on podle browaru miejskiego za dzisiejszym nowym cmentarzem, na kamieńcu porosłym murawą, bo trawnik chronił płótno przed tarciem o kamienie i żwir; wiatry bowiem poruszały i tarły płótna przywiązane do liny, czemu nie całkiem zapobiegały kamyki ciążadlane. Na trawniku rozkładano płótna, skrapiano je wodą rzeczną lub ogrzewaną w kotłach miedzianych i parę razy prano w foluszu. Folusz składał się z koła wodnego, które dźwigniami, w wał wprawionemi, podnosiło stąpory [2]) i upuszczało je na podłożone, wodą opływane płótna, piorąc je i mięcząc. Tuż przy foluszu był jaworowy magiel do maglowania płócien. Blech wypuszczało miasto w dzierżawę „blecharzowi", pobierając z niego w latach 1616—1646 rocznego dochodu 100—116 złp.; w następnych zaś latach 1647—1650 złp. 128—140, z wyjątkiem tylko roku 1648, który przyniósł zysku 153 złp.

W samym obrębie murów miejskich mieściły się wodociągi z „rurmuzem", w ciekawy urządzone sposób. Do gorzelni, jak wiadomo, nie każda woda przydatna. Piwowarstwo, a później gorzelnictwo należało do najzwyklejszych gałęzi przemysłu, bo w każdym prawie domu w mieście była gorzelnia lub browar. Wcześnie też poczuło miasto brak dobrej, czystej, słodkiej wody, boć zwykła woda do picia w Nowym Sączu jest słona i saletrna. Dlatego na mocy przywileju Kazimierza Jagiellończyka, wydanego w Krakowie w r. 1465, zbudowano wodociągi *(canalia)*, zapomocą których sprowadzano wodę z gór w Roszkowicach do miasta [3]). Trudności były

i lat złote i grosze (z wykluczeniem samych tylko nielicznych tu i owdzie szelągów, których 16 szło na jeden grosz), doszedłem do powyższego rezultatu. I możnaby tu powtórzyć wierszyk, który znalazłem na okładzinie księgi wydatków miejskich pod r. 1639:

Non jacet in molli veneranda scientia lecto.
Illa sed assiduo parta labore venit.

[1]) Z niem. Bleichantheil.

[2]) Stąpor, stępor — tłuk, długa sztuka drzewa u spodu zaokrąglona, która podniesiona przy pomocy wału palczatego, spadała na dół i prała płótno.

[3]) Privilegium Casimiri Regis de data Cracoviae an. 1465, quo civibus et incolis in Sądecz in ipso oppido canalia aquarum facienda,

niemałe, bo dwie rzeczki: Łubinka i Kamienica stały na przeszkodzie. Przez Łubinkę z Roszkowic rury szły dnem, przez Kamienicę, zdaje się, na kobylicach aż do rurmuza, który był za kościołem św. Ducha.

Z rur szła woda do ocembrowanej studni, skąd ją pompowano do góry do ogromnej skrzyni, z której znów rynnami szła do gorzelń i browarów, a rurami do skrzyni miejskiej.

Całe to urządzenie zwano „rurmuzem", a osobny rurmistrz zawiadywał niem, zaco pobierał tygodniowo 12—15 groszy, prócz tego osobną płacę za nadzwyczajne naprawy rur, mostów itp. W r. 1624 koło wodne o łopatach wprawiało w ruch pompę o tłoczniach w rurach żelaznych. Woda wytłoczona pięła się na przewyższenie do dębowego koryta, w którem stał drugi słup, a raczej rura żelazna, którą się woda pięła wyżej do rynien browarnych.

Mazią lub łojem smarowano koła i czopy wału, a olejem czopy tłoczni i słupca, w którym był tłok, kliny i stoszyby [1]) żelazne ze skórą wołową. Rury żelazne przecierano często, a lutowano je ołowiem. Bywały też oblewane cyną. Słupce w studni i u źródeł opatrzone były durszlakami, aby nie przechodziły przez nie liście i inne odpadki drzewa. Cały rurmuz był obudowany i pod zamkiem, a sługa miejski miał tam izdebkę ciepłą o kaflowym piecu.

W roku 1648 sprawiono skrzynię wielką u rurmuza, zamiast szczupłego koryta, należycie spojoną żabkami, utkaną zgrzebiem i zalaną smołą po szparach. Samej smoły wyszło 4 kamienie czyli 128 funtów za 8 złp. Prócz niej była na rynku druga skrzynia dębowa, opatrzona nalewkami drewnianemi do czerpania wody.

W mrozy ciężkie ogrzewano wodę w słupcu w osobnych dużych garncach. Kto chciał wody do swego browaru, musiał zapłacić każdorazowo 20 groszy i otrzymywał tak zwany znaczek, czyli „cechę wodną" *(signum aquae)*, z blaszki zrobioną. W księgach miejskich:

---

construenda et erigenda, nec non aquam ad eadem undecunque de agris ac montibus decurrentem dirigendam et trahendam, plenam et omnimodam ac irrevocabilem libertatem dat, confert, concedit. Przywilej ten nie dochował się w całej swej osnowie do naszych czasów. Jedynie w zapiskach kollegiaty jest przechowane streszczenie jego. (Eccles. colleg. sandec. fundatio, dotatio, erectio. Volum. II. p. 54). Ponowny przywilej wystawił Zygmunt August w r. 1556: Facultas civibus Sandecensibus ducendi aquam subterraneis canalibus ad civitatem Sandecensem ex quibusvis rivulis scaturientibus et fluviis decurrentibus.

[1]) Stoszyby z niem. Stossscheiben, zowią się kółka żelazne pod klińcami na dunalach i sworzniach.

Percepta et Distributa 1601—1658, przechowały się dotąd różne wydatki na naprawę wodociągów i rurmuza.

Prócz wygody miasta nie było jednak znacznego zysku z tego rurmuza. W 18 latach, t. j. 1562—1579, przynosiły dochody roczne z rurmuza *minimum* 69 grzywien 13 gr. a *maximum* 123 grzyw. 45 gr., czyli 110 złp. 25 gr. do 198 złp. 9 gr. [1]). Nie świetniej przedstawiają się owe dochody rurmuzowe w XVII. wieku. I tak w r. 1620 dochód z wodociągów wynosił zaledwie 81 złp., w następnych zaś latach znacznie się powiększył, jako to: w roku 1626 złp. 187, a w r. 1628 złp. 209. Lecz później znowu się zmniejszył, i tak w latach 1630—1636 dochód wynosił 155—170 złp., a jeszcze mniej w latach 1646—1650, gdyż tylko 104 złp. Przytem wszystkiem były też różne niewygody i szkody, gdyż Kamienica często rury targała lub z kobylicami zabierała, zimą zaś pękały od mrozu. Stąd to często czytam w księdze dochodów miejskich: *Signa aquae libera, nulla ob defectum aquae*, cechy wodne wolne czyli nie przynoszące dochodu dla braku wody. Innym znów razem zanotowano: „Powódź wielka rury potargała“ — albo „rury jeszcze nie wytajały“. To wreszcie „rury popękały u Roszkowic“ — „dla suchości źródeł w Roszkowicach i w Kamienicy małej wody koło nie mogło się obracać“ — „rury Olbinka [2]) potargała“ itp. — Zawsze jednak urządzenie to świadczy o większej staranności w mieście, niż za dni dzisiejszych, gdyż obecnie nie ma tam dobrej i zdrowej wody do picia.

Kiedy właściwie w XVIII. wieku wodociągi w Nowym Sączu ustały, nie przechował się o tem żaden zapisek. Tyle tylko pewna, że szczątki dawnych rur dotrwały aż do najnowszych czasów. Budowniczy miejski, Jan Jenkner, przy kopaniu przed kilkunastu laty fundamentów pod obecny dom pani Sandeckiej w rynku, znalazł w znacznej głębokości rurę z modrzewiowego drzewa, której żadną miarą nie można było przerąbać; część tej rury do dziś dnia tam jeszcze pozostała w ziemi. Taką samą rurę znaleziono w sąsiednim domu pod progiem przy kopaniu fundamentów dzisiejszego domu pana Sekułowicza (1893 r.). Przy kopaniu kanału przed dzisiejszą szkołą ewangelicką (1893 r.) natrafiono na rurę drewnianą — widocznie pozostałość z dawnego wodociągu.

---

[1]) Regestr. provent. an. 1555—1580. T. 101.

[2]) W najdawniejszych dokumentach nazwę rzeki Łubinki pisano: Olbinka, Elbina, Lubinka.

Te szczegóły naprowadzają jeszcze na inną okoliczność, a mianowicie, iż teren całego właściwego miasta był pierwotnie, co najmniej, o 2 metry niższy; że prawdopodobnie po każdym pożarze rumowisko rozpostarto po rynku i po ulicach, w miarę środków zabrukowano lub przynajmniej posypano szutrem, i to kilka razy, wskutek czego poziom podniósł się o 2 metry przeszło. Jeszcze bardziej tego dowodzi inna nader ciekawa okoliczność, a mianowicie, iż przy kopaniu fundamentów (1893 r.) do nowego probostwa znaleziono w głębokości blizko $2^1/_2$ metra piec garncarski (!), widocznie więc, iż w tej głębokości niegdyś musiała się znajdować powierzchnia placu obok kollegiaty. W rynku naprzeciwko ratusza, w ulicy Sobieskiego, oraz przy zakładaniu kanału wzdłuż dawnego klasztoru Franciszkanów w głębokości $2^1/_2$ metra znaleziono 2 pokłady bruku i pokład szutru. Toż samo odkryto przy zakładaniu fundamentów pod nowy ratusz w lipcu 1895 r. A więc najlepszy dowód, że ulice brukowano w miarę, jak na to starczyły środki, a w braku tychże przynajmniej wysypywano szutrem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ks. Jan Sygański T. J.

ZARYS POJĘĆ O NARODZIE.

(Ciąg dalszy).

Bezpośrednim wynikiem tych nowych kierunków myśli poetyckiej był nieodłączny od niej zwrot ku przeszłości w literaturze europejskiej wszystkich narodów. Zwrot ten niewątpliwie mniej był wybitnym w krajach romańskich z powodów, o których już wspomnieliśmy; we wszystkich innych natomiast krajach wystąpił z całą siłą i potęgą, uwydatniając się na wszelkich polach literackiej działalności. Poruszona pieśnią przeszłość w jej tradycyach odległych a domowych, bo odnoszących się do danego kraju i narodu, domagała się bliższego jej rozjaśnienia — zbadania: czy to, co zawiera się w podaniu, przechowanem zostało wiernie — w postaci nieprzyćmionej urojeniem i fantazyą. Ztąd prosty wypływał pochop do badań krytyczno-historycznych i przybierał takie rozmiary, jakich nigdy nie widziano. Na tem polu liczba pracowników zwiększała się zadziwiająco z dniem każdym, przynosząc dowód, do jakiego stopnia rozpalały umysły i serca kierunki w części romantyzmu, a w większej jeszcze mierze rozbudzonego patryotyzmu, czyli miłości ku wszystkiemu, co swojskie i ojczyste. Podczas, kiedy do końca niemal wieku XVIII. dzieła historyczne są przedmiotem, budzącym zajęcie w sferach ściśle naukowych, po za obrębem zaś tych sfer czytywane są przez nieliczne jednostki, dla których nieobojętną była stara cyceronowska zasada: *historia est magistra vitae*, — w pierwszej już połowie XIX. wieku stają się one nieodzowną potrzebą całego wykształconego ogółu, ku czemu niepomału się przyczynia wniesiony przez zdolniejszych badaczy artystyczny kierunek opracowywania tematów historycznych. Tematy te ujęte we wdzięczną

formę opowiadań, przenoszących czytelnika w oddalone epoki z możliwie udokładnionym opisem ustroju ówczesnego społeczeństwa, jak n. p. Augustyna Thierry: *Récits des temps mèrovingiens*, lub Karola Szajnochy: *Jadwiga i Jagiełło,* interesują wszystkich, czytane są i rozrywane przez cały ogół, zarówno są ozdobą gabinetu cichego pracownika, jakoteż i buduarów kobiecych, — w ślad zaś za rozpowszechnieniem dzieł treści historycznej w rękach zwyczajnego ogółu tematy owe stanowią nieodłączną i konieczną część treści wszystkich prawie czasopism (miesięczników i tygodników), poświęconych w ogóle literaturze i sztuce. Dziś wśród ogółu czytających epizod dziejowy w rodzaju n. p. „Sprawy Kalksteina". budzi zajęcie w równym stopniu, co i najpoczytniejszy jakiś romans bieżącej doby, fakty zaś z ubiegłej przeszłości, które dawniej mało komu były znane lub uległy całkowitemu zapomnieniu w pyle stosów archiwalnych, po odgrzebaniu ich z tego pyłu dają widok mnogich tragedyi dziejowych, budzących tem większy urok, o ile bardziej na tle tych spraw tragicznych widzi się walkę, podjętą w obronie praw społecznych.

Takiemuż samemu rozrostowi uległy w wieku XIX. nauki pomocnicze do historyi, a w szczególności studya archeologiczne. Rozkwit tych studyów obecny zawdzięczać należy wprost i jedynie owemu duchowi literatury i poezyi europejskiej, sięgającemu w przeszłość każdego kraju i pobudzającemu do badania pierwiastków tej przeszłości. Aż do końca XVIII. wieku archeologia ogólno-europejska zajmowała się prawie wyłącznie przedmiotami, odnoszącymi się do dziejów starożytnej Hellady i Rzymu, oraz zabytkami pierwszych wieków chrześciaństwa. Do pamiątek czasów późniejszych — doby średniowiecznej — nie przywiązywano wielkiego znaczenia. Dawne feudalne zamki rozpadały się w gruzy; takiemuż losowi ulegały rozmaite opactwa w krajach zwłaszcza protestanckich. Dochowały się kościoły dzięki celowi, któremu służyły, średniowieczne ratusze, śródmieścia z domami dawnego typu, resztki murów i baszt obronnych, o ile nie stawały na przeszkodzie nowym planom, lub o ile zniesienie ich i zastąpienie czem innem nie pociągało za sobą zbytecznych kosztów i trudności. Poza temi pamiątkami, przechowanie których zawdzięczać należy przypadkowi, nie zaś usilnej chęci ich ocalenia, nie czyniono nic prawie w celu bliższego i dokładniejszego obeznania się z duchem epoki, którą uosabiały te pamiątki. Najzapaleńsze archeologiczne umysły, jak Winckelmann n. p., poświęcały swe badania przedewszystkiem epoce starożytnej. Zaledwie w Polsce jednej świeci umysł potężny Jana Potockiego, wyprzedzający stano-

wczo swą epokę, sięgający w dziedziny oddalonego Wschodu i po raz pierwszy, rzec można, w Europie analizujący archeologiczne pierwiastki bytu Słowiańszczyzny. Jakaż zdumiewająca różnica następuje w wieku XIX! We wszystkich krajach archeologia zaprząta niezliczoną moc pracowników, poszukujących, zbierających i wyjaśniających zabytki domowej przeszłości własnego kraju, z całem roznamiętnieniem manii właściwej zbieraczom. Skromni a nawet ubodzy pracownicy nie wahają się złożyć w ofierze cały swój szczupły zasób zapracowanego z mozołem grosza dla wykupienia z rąk handlarza przedmiotu, posiadającego wartość archeologiczną. Rozwijają się niepospolicie poszczególne działy archeologii: numizmatyka, sfragistyka, paleografia. W stolicach i w wielkich miastach wznoszą się ogromne muzea dla pomieszczenia zabytków, zakładają się oddzielne towarzystwa archeologiczne, lub w zastępstwie takowych specyalne wydziały przy Akademiach i towarzystwach naukowych, mnożą się specyalne archeologiczne czasopisma i wydawnictwa, a w miarę rozszerzania się nowej tej gałęzi wiedzy, zamiłowanie starożytniczych badań przenika powoli cały wykształceńszy ogół tak, że dziś z trudnością nieledwie z'eleźćby można w kołach inteligentnych jednostkę, któraby nie oceniała wartości poszukiwań w tym kierunku i któraby zapatrywała się obojętnie na zbiory przedmiotów mniej lub więcej oddalonej przeszłości własnego zwłaszcza kraju. W krajach, posiadających opiekę administracyi rozumnej i nie przejętej wandalskim duchem niszczenia lub dopomagania ruinie pamiątek narodu, wszelkie pomniki i pamiątki zeszłowiecznego życia doznają szczególnej pieczołowitości, ruiny dawnych gmachów doprowadzają się do ich stanu pierwotnego z możliwie najwierniejszem odwzorowaniem dawnego ich architektonicznego typu, nie dające się odbudować zabytki otoczone są baczną ochroną od zniszczenia, wszystko zaś, co zmierza do utrwalenia starych wzorów przeszłości domowego zakątka i do przechowania ich w pamięci potomków, otoczone jest niepospolitą czcią i poszanowaniem.

Z drugiej znowu strony ten sam zwrot w poezyi i literaturze wszystkich krajów ku domowej przeszłości musiał oddziałać na poszukiwania w innym kierunku, zwracając umysły w stronę zaniedbanego i zapomnianego ludu, stanowiącego atoli realną podstawę narodowych skupień. Bliższe badanie ludu nastręczało się z konieczności samo przez się z tego mianowicie powodu, że źródłem wniesionego do poezyi elementu przeszłości były w znacznej i przeważnej części starodawne legendy, opowieści, podania i klechdy, zaczerpnięte z ust ludu a przez lud ten z zamierzchłych i oddalonych czasów

podawane z jednych pokoleń w drugie. Przytaczaliśmy już, jak za natchnieniem głębokiego niemieckiego myśliciela, Herdera, zjawili się w różnych krajach chciwi światła pielgrzymi (w Polsce Chodakowski, w Finlandyi Lönrot), co z kijem podróżniczym pieszo przebiegali swój kraj, poszukując świetlanej poezyi narodowej przy słabym blasku łuczywa chat wieśniaczych. Odtąd za podnietą tak romantycznego, jako też i patryotycznego kierunku poetyckich działań, badanie ludu, jako gruntu i podwaliny budowy społecznej, stało się najkonieczniejszą i najnieodzowniejszą potrzebą nauki. We wszystkich krajach zjawiają się zbieracze pieśni i legend ludowych: zwyczaje i obrzędy zwłaszcza weselne lub pogrzebowe stają się przedmiotem najszczegółowszych opisów, — sama odmienność gwary nastręcza obfite tematy do opracowań, przynoszących plon nowy w dziedzinie znajomości tego lub owego języka krajowego. Z zapoczątkowań tych urasta niebawem nowy dział wiedzy, nowa nauka bieżącego stulecia — etnografia, której przedmiotem są już nietylko właściwości psychiczne plemienia, jak język, obyczaje, obrzędowość i twórczość poetyczna w pieśniach lub podaniach ludowych, lecz zarazem cechy fizyczne ludności oraz wszelkie znamiona jej bytu, a mianowicie: sposób mieszkania, pożywienia, ubiorów i odzieży, oraz sposób życia i ustroju rodzinnego. Gdy stopniowo etnografia, rozpoczęta od badań nad ludem, w rozwoju swym zaczyna wzrastać i dążyć do ujęcia w całokształt cech, znamionujących nietylko lud w jego oddzielnych grupach (n. p. Huculów lub Kurpiów), lecz całe plemię lub szczep ze wszystkiemi jego a zatem i nieludowemi warstwami, gdy jednem słowem wychodzi poza obręb chat wieśniaczych, a zbierając pojedyncze cechy plemienne, przyczynia się do wzrostu nowej porównawczej ogólnej nauki o ludach, etnologią zwanej, — natenczas, a mianowicie dziś właśnie gałęź specyalnych badań nad ludem w swym coraz większym rozwoju tworzy oddzielne pole folkloru lub folklorystyki, systematyzując w osobnych grupach szeregi rozpoznanych przez się faktów.

Tym sposobem tak w dziedzinie przeszłości, jak i teraźniejszości, każde plemienne społeczeństwo doszło w wieku bieżącym do starannego rozpoznania swych dziejowych składników oraz przyczyn, które oddziaływały na ich wytworzenie się w tym lub owym stopniu. Dopomagać temu poczęła i fantazya, barwiąca rzeczy proste i zwyczajne estetycznymi czynnikami piękna, zaczerpniętymi w uczuciach. Magicznem prawie działaniem pociągała ku sobie umysły powieść, która szerokie, przemożne i ze wszech miar ważne dla życia narodowego znaczenie osiągnęła dopiero w XIX. wieku, jakkol-

wiek zwrot jej nowy dostrzeżonym być może w Anglii mianowicie znacznie wcześniej.

Aby wpływ ten odpowiednio ocenić, należy przedewszystkiem zwrócić uwagę, czem była powieść w czasach dawniejszych i jakie miała aż do wieku dzisiejszego znaczenie?

Istniała ona w rozmaitej formie od czasów niepamiętnych. W Grecyi — nie mówiąc już o Odyssei, owej prześlicznej powieści w ramach poematu — widzimy cały szereg romansopisarzy, począwszy od Ksenofonta i jego Kiropedyi. W rzymskim zwłaszcza okresie Hellady utwory powieściowe szerzą się coraz bujniej. W II. w. po Chrystusie oprócz innych mniej głośnych pisarzy próbuje sił na tem polu sławny swojego czasu nihilista, Lukian z Samosaty; a Jamblich Syryjczyk, autor „Miłostek Rhodanesa i Synony", nosi wybitną cechę rozpasania i skandaliczności, poszukiwanej zresztą nietylko w świecie starożytnym. W wiekach następnych, a zwłaszcza w IV. romans grecki dosięga znakomitego na swój czas rozwoju i budzi zajęcie zarówno udatnie przeprowadzoną intrygą, jako też staranną charakterystyką osób w nim działających. Autorowie tej miary, jak Heliodor (autor powieści Teagenes i Charyklea), Longos (Dafnis i Chloe), a nadewszystko sławny Achilles Tatios (Klitofon i Leukippa, Kerej i Kalliroe) mogą i dziś jeszcze zyskiwać czytelników [1]. Naśladownictwo Grecyi, jak we wszystkiem innem, tak i w zakresie romansopisarstwa, znalazło bujny dla siebie grunt wśród Rzymian. Za przykładem Lukiana, a jak inni twierdzą, Lukiosa z Patros [2]), zasłynął w II. wieku Apulejusz swym cynicznym romansem „Złoty osioł". Wspomnieć wreszcie wypada o Petroniuszu z I. wieku, ulubieńcu Nerona (postaci dziś tak dobrze znanej ogółowi naszemu z romansu Sienkiewicza), którego powieść „Satyrykon", przepełniona sprosnością, przedstawia w całej okazałości tchnące gangreną zepsucia społeczeństwo rzymskie.

W wiekach średnich przechowuje wprawdzie Byzancyum ten rodzaj literatury, lecz jest on już pozbawiony tam wszystkich swych najgłówniejszych zalet, a mianowicie talentu, werwy i fantazyi. Takimi są romansopisarze XII. wieku: Teodor Prodromos, Konstanty Manasses, Nicetas Eugenion, których utwory są nędzotą w całem znaczeniu tego słowa. Za to we Włoszech

---

[1]) Znany przekład polski powieści „Kerej i Kalliroe", wydany w pierwszej połowie wieku bieżącego.

[2]) Porówn. Dzieje powieści w Grecyi i Rzymie przez F. F., na podstawie dzieł Chassang'a i Chauvin'a w „Przeglądzie Europejskim" J. I. Kraszewskiego, 1862, tom II. str. 1—91.

w wieku XIV. za czasów humanizmu zjawia się wśród innych belletrystów świetny przedstawiciel w osobie Boccacia, autora romansów „Filocopo“, „Ameto“ i „Fiametta“, z których ostatni poczytywany jest za najwcześniejszy romans psychologiczny. Jednocześnie pod piórem Bokkacyusza powieść występuje w nowej anegdotycznej formie noweli, której arcywzorem jest „Decamerone“ oraz „Il nuove decamerone“, znany i tłómaczony na wszystkie języki zbiór powiastek swawolnej treści, a naśladowcy późniejsi Bokkacyusza, jak: Masuccio, Firenzuola, Grazzini, uprawiają w swej ojczyźnie ten rodzaj z powodzeniem. Innem zjawiskiem średnich wieków, rozbujałem najprzemożniej w dobie upadku szwaleryi, były tak zwane romanse rycerskie, początkiem których służyła przeróbka na prozę rozmaitych poematów rycerskich, jak o tem już wyżej wspominaliśmy, opiewających przeważnie awanturnicze przygody legendarnych bohaterów z otoczenia Karola Wielkiego: Renauda (Rinaldo), Rolanda, Astolfa i innych. Cały świat zachodni (Włochy, Hiszpania, Francya a nawet Anglia) żył wówczas pod wpływem owych romansów, poetyzujących coraz bardziej gasnący i doprowadzony wreszcie do stanowczego upadku ideał rycerstwa, na którego miejsce monarchizm wprowadzał bardziej dla niego dogodne armie zaciężne.

Następnie przeniesiona z Włoch do Hiszpanii nowela wytwarza tam już w wieku XVI., po upadku romansu rycerskiego, nowe, odmienne od pierwowzorów rodzaje opowiadań, znane pod nazwą noweli pasterskich i łotrowskich (*novela pastoril*, *novela picaresca*), w których celują Mendoza, Aleman, Espinal, Quevedo, wreszcie rozmaite inne nowele miłośne i anegdotyczne niezliczonych autorów. Nastaje zarazem wiekopomny zwrot powieści ku wyższym zadaniom ludzkości w utworze nieśmiertelnego Don Miguela de Cervantes Saavedra, którego sławny „Don Quijote“ (czyt. Don Kichote) jest uosobieniem życiowej walki idealizmu z twardą rzeczywistością.

Żadnego zapewne kraju literatura nie była tak obfitą w utwory treści powieściowej, jak literatura francuzka. Uganiano się tam od dawna gorączkowo i namiętnie za wszelkimi płodami wyobraźni, snującymi wątek przygód i następstw miłości. Kierunek Boccacia znalazł tam odbicie w „Heptameronie“ Małgorzaty de Valois, królowej Nawarry z XVI. wieku. Na tle upodobania do awanturniczych romansów rycerskich z mocną domieszką lubieżnego erotyzmu zjawia się w XVI. wieku odmienny kierunek powieści z bajecznością satyryczną, którego przedstawicielem jest Rabelais. Począwszy od wieku XVIII, a mianowicie od czasów Magdaleny

Scudéry, autorki nieskończenie długich romansów, literatura owa, zarówno w osobie rzeczonej autorki, jak i jej epigonów, wkracza w ckliwą konwencyonalność galanteryi, będącej prostem następstwem wytwarzających się pod wpływem dworu form towarzyskości, które zagłuszają szczere i proste objawy uczucia. Gdy atoli obyczaje pod przykrywką owych form są w gruncie spaczeniem moralności i szerzą zepsucie w najwyższych sferach społeczeństwa, to zatem, co w średniowiecznym romansie rycerskim jest wynikiem tylko nieokrzesania ówczesnego, staje się teraz sztucznem i wyrafinowanem dążeniem ku zmysłowości. Następuje przeto epoka, w której, z wyjątkiem Sorela, twórcy mieszczańskiego romansu, i hrabiny La Fayette, autorki romansów historycznych z zakrojem psychologicznym, inni autorowie nie ujawniają cech głębszego znaczenia. Miłość prawdziwa zastąpiona jest w powieści miłostkami, w ślad zaś za tem literatura romansowa francuzka od końca XVII. przez cały prawie wiek XVIII. składa się przeważnie z utworów, które skalę prawdziwego uczucia obniżyły do objawów pospolitego erotyzmu, wkraczając nawet bujnie w świat lupanarów i heter, o czem świadczyć mogą znajdujące się w zamożniejszych bibliotekach prywatnych produkcye owej epoki, z których niejedne istnieją w przekładzie polskim z końca XVIII. wieku. Ostateczną zgnilizną cuchną utwory autorów tego rodzaju, jak: Crébillon młodszy, plugawy markiz de Sade, wsadzony później przez Napoleona do domu obłąkanych, Laclos lub Louvet de Couvray, twórca Faublasa. Na ogólnem tle tej obniżonej twórczości romansowej, w którą Rousseau w swej „Nowej Heloizie“ starał się wprowadzić pierwiastek psychologiczny, analizując drobnostkowo przejawy i postępy uczucia, a który, właściwie mówiąc, jest u niego niczem innem, tylko idealizowaniem zmysłowości, należy wprawdzie wyróżnić nielicznych zresztą pisarzy odmiennego kierunku. Do nich należy znakomity twórca romansów komicznych, Le Sage, jako też Bernardin de Saint Pierre, nieśmiertelny autor prześlicznej i rzewnej sielanki romansowej „Paweł i Wirginia“, których dzieła są prawdziwą ozdobą literatury; w ogólnej atoli masie romansistów, których można zaliczyć do kierunku cnotliwego, przeważa blada czułostkowość i zupełna bezbarwność. Wreszcie na schyłu wieku XVIII. i początku XIX. występuje w powieści francuzkiej odcień nieco odmienny od dotychczasowych, któryby można nazwać realistycznym. Kierunek ten, wnoszący do romansu obserwacye stosunków życiowych i zjawisk zepsucia epoki, przebija w utworach Rétif de la Bretonne'a i świeci prawdziwym komizmem w dziełach Pigault-Lebrun'a, a jakkolwiek

pozbawiony ściśle etycznego stanowiska, zdaje się być zwiastunem wznioślejszych dążności, mających na celu odrodzenie społeczeństwa lub przetworzenie onego na lepszych zasadach, które następnie stały się widocznemi w utworach Anny de Stael-Holstein, autorki słynnych w swoim czasie romansów „Delfina“ i „Korynna“, oraz w idealizmie chrześciańskim Chateaubriand'a, wznoszącym bolesny okrzyk nad nędzą i znikomością istnienia [1]).

(Ciąg dalszy nastąpi).

I. Snitko.

---

[1]) „Homme! tu n'es qu'un songe rapide, un rêve douloureux; tu n'existes que par malheur; tu n'es quelque chose que par la tristesse de ton âme et l'éternelle mélancolie de ta pensée!“ Chateaubriand. Atala (w zakończeniu powieści).

PAMIĘTNIK
O STROJU NARODOWYM
W RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

IV.

Kontusz.

Nazwisko to nie intryguje nas w tym stopniu, jak przedtem nazwisko żupana. Wyrazy, zakończone na us, usz, są liczne i rodzime w mowie naszej; jak n. p. Krakus, wiarus, pijus (pijak), Bogusz, Wierusz, folusz, cienkusz i t. d. Czy kontusz pochodzi od konta, czy kąta, to nas nie zajmuje; zresztą najsłabszą jest obrona, opierająca się na podobieństwie wyrazu.

Przed wnioskami o pochodzeniu kontusza należy nam się zwrócić najprzód do tego, co niegdyś spółcześni jako tradycyę o tej sukni nam podali.

O'connor, przyboczny lekarz króla Sobieskiego, w pamiętniku swoim (Niemcewicz, Zb. p. t. IV. s. 394) pisze: „Sobieski oyczysty zwykł nosić ubior i ten od innych europejskich ubiorów różnym jest i nierównie od innych poważniejszym."

W marszu pod Wiedeń witany po drodze przez różnych książąt niemieckich, pisze król w listach do Marysieńki, że musi się codzień ubierać jak do ślubu (to chyba nie zbroja?).

Dokładną wiadomość o tym stroju, który mógł uchodzić — w miarę wytworności — za ślubny, znajduje się w opisaniu dworzanina królewskiego. Dworzanin ów, towarzyszący mu w wyprawie wiedeńskiej [1]), podaje, iż król w dzień bitwy miał na sobie kontusz grodeturowy (*Gros de Tours*, materya jedwabna).

---

[1]) Dyakowski; Dyaryusz wiedeńskiej okazyi 1683.

Po nim Kochowski [1]), historyograf, podaje, że Sobieski pod Wiedniem — (zapewne wjeżdżając do Wiednia) — ubrany był w kontusz sukienny niebieski i żupan jedwabny biały.

Nieco ważniejszą, równie wyraźną wzmiankę o kontuszu mamy w relacyi, podanej już wyżej, o poselstwie do Paryża po Maryą Ludwikę, zaślubioną Władysławowi IV. w roku 1645: „Za nim (za Choińskim) jechał P. Trzecieski, starszy pokojowy I. P. Wojewody poznańskiego, w żupanie atłasowym fiałkowym, w kontuszu tabinowym tejże maści.“

Zwracamy jeszcze uwagę na wiadomą okoliczność, że Zygmunt III. zabronił synowi Władysławowi noszenia stroju polskiego. Fakt ten odnosi się do końca szesnastego wieku, kiedy ów strój polski musiał więc być upowszechniony; a strojem owym polskim po tem, co się wyżej podało o p. Trzecieskim, wnosić można, że to był żupan i kontusz.

Pewną miarę dawności daje także następująca relacya. Gdy Radziwiłł (panie kochanku) przyszedł raz do krola Stanisława Augusta w połatanym kontuszu, a król ze zdziwieniem zwrócił na to uwagę, Radziwiłł odpowiedział: „Bo to, panie kochanku, Najjaśniejszy Panie, sześćdziesięciu wojewodów wileńskich ten kontusz na sobie nosiło.“ — Sześćdziesięciu wojewodów! piękna nomenklatura. Chociażbyśmy trzy czwarte odjęli na karb znanych facecyi Radziwiłła, panie kochanku, to i to dość. Pierwszym wojewodą wileńskim był Mikołaj II. Radziwiłł w roku 1490. Nie chodzi tu o dokładną rachubę wojewodów, którzy ten kontusz nosili; nie chodzi o cel, jaki miał w tej bajce Radziwiłł, ale dykteryjka ta wskazuje nam, jakie wówczas miano pojęcie o dawności stroju polskiego.

Za wielką dawnością kontusza zdaje się i to przemawiać, że nikt z pisarzów nie podaje daty jego wprowadzenia: chociaż go śmiało wprowadzają niektórzy od Turków?

Znaną jest epoka, w której kontusz stał się ogólnie używaną suknią szlachecką — co się stało po zarzuceniu obcych nam ferezyi i delii — ale czy kontusz nie był dawniej znany i noszony, o tem księgi milczą: bo dla nich interesującemi były tylko postacie dygnitarzy, biorących udział w wielkich uroczystościach dworskich lub legacyach koronnych; a jakie w tej sferze były upodobania i narowy, jakie zaniedbywanie stroju narodowego, jużeśmy z historycznych tradycyi wieku XVI. wyżej poznali. (Gorecki, Gąsiewski).

---

[1]) Commentarius belli adversum Turcas 1683, s. 30.

Po za tą sferą dygnitarzów koronnych była jednak liczniejsza sfera szlachty niezamożnej lub nie mającej stanowiska dworskiego. O tych nikt nie pisał. Jakie tam były wówczas zwyczaje domowe i godowe, to nie miało znaczenia dla potomności: przynajmniej o tem rozgłosu nie było. Pisząc jednak o kontuszu, o rzeczy już powszechnie znanej, od dawna używanej, podają późniejsi historycy na domysł, zkąd ta suknia pochodzić mogła; a piszą o tem ludzie niefachowi, nie etnografowie, nie w celu zbadania istoty zwyczaju, lecz tylko dla ilustracyi epoki, w której sami żyli, a opisywane przedmioty tylko z nazwiska znali. — Tak Kojałowicź, Jezuita, pisze w połowie siedmnastego wieku: „Od zbliżenia się Turków wcisnął się zbytek do Polaków; odtąd zaczęli nosić krótsze włosy (to jest golić głowy do czupryny) a dłuższe suknie. — Można dodać (?), że od Turków i Tatarów — więc w każdym razie bardzo dawno) — przyjęli Polacy szerokie spodnie, czyli szarawary, kurty, kontusze, kierezye (?), kaftany, opończe (?), bogate pasy, rzędy na konie, przepych obozowy, wzory wojenne i t. d. Na najdawniejszych nagrobkach polskich nie widać nigdzie ani głów wygolonych, ani kontuszów.“

Szkoda, że ks. Kojałowicz nie podaje, co przedtem Polacy nosili, kiedy wszystko dopiero wzięli od Turków! — A że na nagrobkach dawniejszych nie widać kontuszów, to rzecz naturalna, bo rycerstwo przedstawiano w zbroi. Zresztą jest rzeczą niepodobną do prawdy, ażeby jaki naród od swoich odwiecznych wrogów i łupieżców przyjmował strój za narodowy! Czy podobna, aby Sobieski strój wrogów z upodobaniem nosił jako ojczysty? Czy powaga i duma roda szlacheckiego zgodziłaby się na przyjęcie stroju od niewolnika swojego? — od poganina i łupieżcy swej ziemi, Turka lub Tatara?... Delie, dołmany, ferezye i wspomniane już przy żupanie węgierki przyszły od Węgrów, z którymi przyjazne stosunki łączyły Polskę od początku trzynastego wieku. Zkąd te stroje dostały się do Węgrów, to nas nie obchodzi. Natomiast poznamy dalej, że kontusz do sukni tureckiej nie jest podobny, a jest wiernie odwzorowany od czego innego.

Gołębiowski w dziele o ubiorach w Polsce, mówiąc o kontuszu, przytacza: „Twardowski (poeta XVII. wieku) pierwszy zdaje się je wspominać, mówiąc: „Kontusze, żuki i czuhaje, wschodnie są ubiory. Kontusz polski ma inny krój, jak turecki i tatarski.“

Ten końcowy dodatek Gołębiowskiego, że polski kontusz ma inny krój, obala zupełnie wszystkie wnioski o tureckim lub tatarskim rodowodzie kontusza polskiego. Suknię stanowi właśnie jej krój;

a skoro krój inny, to i rzecz inna, nie przyjęta, ale u siebie utworzona. Jeśli natomiast bliżej poznamy, jak kontusz ściśle zgadza się z krojem sukni ludowej od najdawniejszych czasów, na całej przestrzeni dawnej Polski znanej i trwale do dnia dzisiejszego u ludu zachowanej; jeśli poznamy zupełną pierwotną identyczność kontusza z tą suknią, to przyznamy, że błędne są wszystkie mniemania, bezzasadnie powtarzane — jak za panią matką pacierz. Poznamy, że kontusz w rzeczywistości swojej jest suknią ściśle narodową, nieimportowaną, lecz na motywach sukni ludowej opartą.

Z okoliczności podobieństwa kontusza do pewnej sukni ludowej wyprowadzamy wniosek, iż właśnie z tego powodu tak trudno wykazać jego pochodzenie zagraniczne. Nie był on widocznie importowany, ale według znanej, upowszechnionej u nas sukni ludowej wykonany. — Posiadamy tylko relacye, że ten lub ów dygnitarz miał na sobie kontusz, z takiej lub innej materyi zrobiony, a nigdzie o tem, kto był jego twórcą lub pierwszym nosicielem.

Że kontusz istniał dawniej niż wszystkie o nim wspomnienia, o których była już mowa, mamy dzisiaj na to ślad nowy. Rolle (Antoni J.), znany archeolog i historyk, podaje w dziele, p. t. „Niewiasty kresowe", na str. 23 wiadomość o Marku Żórawnickim, Rusinie, który w roku 1561 został mianowany władyką łuckim. Prałat ten, umierając w dziesięć lat później, kazał się pogrzebać w kontuszu, który w stanie świeckim nosił. — Okoliczność ta wskazuje nam, iż na początku już wieku szesnastego kontusz nietylko że był znany, ale że jakaś archaiczna narodowa cześć była do jego tradycyi przywiązaną, kiedy dygnitarz cerkwi, biskup, umierając, nie w sukni dostojnego stanu swojego, ale w kontuszu, który od dawna nosił, kazał się pogrzebać.

Długosz w podanym wyżej opisie Słowian sarmackich powiada: „Serdak zastępujący koszulę, świta i opończa stanowiły ubiór."

Lud ten skromny zachowywał tradycyjnie to ubranie z pokolenia na pokolenie i nie potrzebował czekać na Turków dla przyjęcia od nich opończy — jak się ks. Kojałowiczowi podobało — bo ją miał u siebie z dawna i czysto po polsku nazwaną.

Jak statecznie lud trwał w zachowywaniu swoich zwyczajów, wnosić możemy z relacyi Starowolskiego (pisarza pierwszej połowy siedmnastego wieku), który pisze: „Ci, którzy nad własną zagrodę i przyległe miasteczka nic więcej nie znali, kmiecie, dawny zachowali obyczaj i starożytny, może pierwszych tej ziemi osadników ubiór."

Konserwatyzm ludu znany nam i z czasów obecnych. Krój sukni tej samej nazwy jest niezmienny; bywają tylko różnice w kolorach sukna i szamerowaniu; a te znowu są stale — okolicami czy wsiami — od wszystkich mieszkańców zachowywane z pokolenia na pokolenie.

Wszystkie sukmany, wszystkie opończe, są we wsi jednakie; sukno tej samej barwy, wyłogi i sznurki w obszyciu, u wszystkich we wsi tego samego są koloru. Odzież ta jak jest jednostajną i w pamięci najstarszych ludzi w niczem się nie zmieniła, tak prawdopodobnie była taką samą i za Starowolskiego u stanu kmiecego; a doznawać mogła jakiegoś wykwintu u możniejszych, którzy stopniami zasługi z biegiem czasu — jak nam już wiadomo — z tego stanu się rozwinęli — Zwyczaj z nimi szedł z dołu do góry.

Zatrzymajmy się teraz przy opończy.

Że opończa przez szlachtę w początkach rycerskich wieków, przed poznaniem rysich i sobolich szub, znaną i używaną była, dowiadujemy się od Starowolskiego, który w prawym rycerzu pisze: „A ojcowie naszy (tak) na wojłokach sypiali, opończą się przykrywszy na zbroję, której *nefas erat* zdejmować z siebie na noc.“

Z opisu „obyczajów i zwyczajów“ za panowania Augusta III. przez Jędrzeja Kitowicza, t. III. s. 174, dowiadujemy się, że była wówczas opończa bez stanu, z przydanym kapturem „do nakrycia głowy, służyła od deszczu wszędzie i od kurzawy w drodze.“ — A była to suknia i „karmazynowa, tegoż koloru adamaszkiem albo atłasem błękitnym podszyta . . .“

Oczywiście, była to opończa używana już chyba przez panów. Dzisiaj znane są opończe tego samego kroju — bez stanu z kapturem — lecz nie tak wytworne, a nazywamy je — niewłaściwie — bundami.

Dalej mówi Kitowicz (s. 176): „Były i opończe wcinane (ze stanem) rozmaitego koloru, atłasem błękitnym podbijane, i była to suknia, w której godziło się wnijść do pokoju, gdy przeciwnie w opończy, bez stanu, chociażby karmazynowej, wnijść do pokoju byłoby grubijaństwo.“

„Lecz (dodaje) takich opończy, jako z przedniego sukna francuskiego robionych, nie nosił lud pospolity, tylko sami możni.“

Relacya ta nie wyjaśnia nam, czy ta opończa była modą świeżą, czyli też był to zwyczaj praktykowany już dawniej, przed powstaniem kontusza. Kontusze bowiem na dwieście lat przed epoką Augusta III. były już znane i noszone — (jak nam już z przyto-

czonych na innem miejscu relacyi wiadomo) — dlaczegożby więc dopiero za Augusta III. tak uzacniono opończę suknem francuskiem i atłasową podszewką? — Zdaje się więc, że opończa ta obok kontusza służyła tylko ku mniejszej paradzie za Augusta III., a że kiedyś może poprzedzała kontusz; była wówczas jedyną elegancyą odznaczającej się szlachty od ludu pospolitego, który nosił tylko zgrzebne koszule i opończe grube?...

Lecz poprzestańmy na tem. Kitowicz nie badał dziejów powstania stroju narodowego, szlacheckiego, notował tylko to, co około siebie widział. — W każdym razie z relacyi tej widzimy, że szlachta, nawet możniejsza a nie biorąca udziału w paradach i misyach królewskich, szła z narodem. — Nie importowała, nie wkładała na siebie sukien obcych, nosiła odzież nawet z sukna francuskiego i atłasem podszytą, ale — w kroju narodowym; opończe ze stanem lub bez stanu.

Musiała ta suknia posiadać bardzo ustaloną tradycyę narodową, skoro ją zaszczycano suknem francuskiem i atłasem w czasach, kiedy już były kontusze. — Co jej to poszanowanie jednało? — Czy była może pierwotypem stroju narodowego? Długosz ją odnosi do prastarych, do przedchrześciańskich czasów, do luźnych Słowian sarmackich: ale Długosz żył w wieku piętnastym, pisał na podstawie świadectw pisarzów obcych, zapewne greckich; czy ci pisarze znali i podali zasłyszaną od owych Słowian nazwę wyraźną: opończa? — Pewnie nie! — W każdym razie relacya Długosza dowodzi, że ubranie opończa za jego czasów istniało i miało za sobą w opinii narodu tradycyę wielkiej dawności; tradycyę „może pierwszych tej ziemi mieszkańców" (jak to dopuszczał Starowolski jeszcze na początku wieku siedmnastego). Dla Długosza było to podstawą, że podaną przez obcego kronikarza nazwę stroju Słowian sarmackich spolszczył znanym wyrazem: opończa.

W punkcie, na którym stoimy, mamy więc zaszczyconą opończę i kontusz. — Czy to jest dwoje, czy jedno naczelne a drugie pochodne, dalsze śledzenie i wnioski okażą.

Piszący to zdanie przed wypowiedzeniem ostatniego słowa, jakie w tej sprawie z ustnej tradycyi naocznego świadka posiada, chciałby w źródłach, pisanych przez pamiętnikarzy dawniejszych, znaleźć ślady zgodnych z tą tradycyą podań, znaleźć orzeczenia jasne, które wypowiedziałyby zgodę z jego osobistą wiadomością i posiadały cechy, możliwe jeszcze dziś do sprawdzenia. — Jeden ślad, nadający się do porównania, znalazł w Kitowiczu, a to następujący. Na str. 173, pisząc o futrach, powiada Kitowicz: „Moda wniosła

bekiesze, te dają się po dziś dzień widzieć w miejskim stanie i między szlachtą ubogą. Bekiesz jest suknia futrem podszyta, krojem kontusza zrobiona, z zaszytemi rękawami.“

Bekiesz, niegdyś Ban siedmiogrodzki, później pułkownik i przyjaciel Batorego, króla polskiego, umarł 1580 roku. „Bekiesza futro długie węgierskim (?) krojem. Od niego w Polsce ten rodzaj futer przyjęty, on pierwszy snać (?) używanie jego wprowadził.“ — Tak pisze Gołębiowski w słowniczku swoim o ubiorach w Polsce.

Z tego widzimy, że suknia tej nazwy pochodzi z XVI. wieku.

Że Bekiesz mógł sobie futro takim krojem, jak przekazane nam w spuściznie bekiesze mają, sprawić i to futro nazwał on, czy przyjaciele jego, bekieszą, to bardzo być może; ale krój ten nie jest własny bekieszowski, ani węgierski, tylko słowiański, w Polsce upowszechniony, a za czasów Batorego w stroju polskim ludowym ogólnie zachowywany.

(Ciąg dalszy nastąpi).

J. Horoszkiewicz.

HUGONA KOŁŁĄTAJA
„PORZĄDEK FIZYCZNO-MORALNY“.

SZKIC HISTORYCZNO-KRYTYCZNY.

(Dokończenie).

Pominawszy jednakże tę drobnostkę formalnej natury, pozostaje Kołłątaj nadal w zgodzie z teoryą Quesnéy'a i przystępując do omówienia środków, którymi nas przyrodzenie opatrzyło do zaspakajania potrzeb, środki te podobnie, jak Quesnéy, dzieli na fizyczne i moralne, starając się tylko zdefiniować je dokładniej [1]).

Mianowicie zdolności fizyczne odnosi do samowolnego ruchu, zdolności zaś moralne do sił umysłowych. Nadto, w rzędzie środków fizycznych stawia także przedmioty świata zewnętrznego, których nabycie jest koniecznem w celu zachowania życia.

W tych to potrzebach upatruje „łańcuch“, wiążący człowieka ze światem zewnętrznym, z nich wysnuwa nasze „należytości“, t. j. możność korzystania z zasobów nagromadzonych przez naturę, ale też i „powinności“, t. j. obowiązek nabywania ich za pomocą własnych sił (praca). A więc Kołłątaj prawo naturalne pojmuje jako „prawo człowieka do rzeczy, zaspakajających jego potrzeby“, ale nie w duchu Hobbesa, jako *droit de tous à tout*, t. j. prawo do używania wszystkich rzeczy do użytku zdatnych, lecz ogranicza je do tego tylko, co człowiek nabyć może, — w czem znowu zgadza się z fizyokratami. Ci bowiem wychodzą również z zasady; niema praw bez obowiązków (*Point de droits sans devoirs, et point de devoirs sans droits)* [2]), z czego już samo przez się wynika ograniczenie.

---

[1]) Ibid. str. 47. Porządek fizyczno-moralny, str. 47.

[2]) Dupont de Nemours w „Droit naturel“. Por. Głąbiński: O systemie fiz., str. 45.

Quesney też pisze wyraźnie: „Prawo naturalne każdego człowieka ogranicza się... do tego udziału, który uzyska swą pracą. Albowiem jego prawo do wszystkiego podobnem jest do prawa każdej jaskółki do owadów latających w powietrzu, które w rzeczywistości ogranicza się do tych owadów, jakie może schwytać przez swą pracę, czyli przez swe poszukiwania spowodowane potrzebą“ [1]).

Rzecz oczywista, że te wyobrażenia prowadzą fizyokratów, a z nimi i Kołłątaja do uznania przedewszystkiem prawa pracy, a tem samem i prawa własności. Mówiąc jednakże o własności, nie mógł Kołłątaj ominąć całego szeregu kwestyi, wyłaniających się wskutek konfliktów w życiu społecznem. Taką kwestyą jest trudność pogodzenia własności większej liczby ludzi, którą to trudność Hobbes uważał za powód nieuchronnej walki o byt (będącej — według niego — podstawą praw przyrodzonych), a zarazem za pośredni powód związków społecznych, wywołanych koniecznością obrony nabytego mienia. Wynikałoby z tego, że walka o byt jest czemś zuzupełnie legalnem, podczas gdy własność przeciwnie jest sprzeczną z naturą, a więc jest bezprawiem.

Poglądy takie uważa Kołłątaj za błędne i stara się je sprostować. „Prawo wojny“ — według niego — jest największym i najniebezpieczniejszym nonsensem. Nie „moje i twoje“, t. j. własność, jest powodem zdrożności, lecz niezrozumienie prawa natury, niedopełnianie powinności, uzurpowanie sobie niesłuszne należytości. Pierwotny stan natury, na tle którego ma występować wyraźnie (jak sądzili niektórzy) wrodzone człowiekowi nieuznawanie własności, nazywa zwodniczymi wymysłami — „romansem“, wyssanym z palca. Odwoływanie się do owego pierwotnego stanu, uważa za zupełnie bezcelowe, „bo człowiek w swym składzie fizycznym, w swem uczuciu, potrzebach, siłach, jest takiż sam, czyli jaśniej mówiąc, jest podług tych samych praw, podług których był pierwszy, gdy wyszedł z rąk przyrodzenia“ [2]). Stan więc dzikości, w którym jeden człowiek napadał na drugiego, aby mu wydrzeć „kwaśny owoc albo głąb niesmaczny“, jest najpierw bardzo nieprawdopodobny, a powtóre świadczyć mógłby jedynie o zepsuciu natury ludzkiej, a nie o prawie przyrodzenia.

Załatwiwszy się w ten sposób z mniemaniami, nie uznającemi własności jako prawa naturalnego, stawia sobie sam dwie „trudności“,

---

[1]) L'ordre naturel (O systemie fizyokr. str. 46). Podobnie zapatrywali się i inni fizyokraci, jak: Dupont de Nemours, Mercier de la Riviere, Turgot w słynnym edykcie Ludwika XVI i t. d.

[2]) Str. 189 dodatek.

dwa zarzuty, a mianowicie: Jak pogodzić prawa kilku ludzi, którzyby równocześnie chcieli posiąść rzecz jakąś i jak uzasadnić legalność własności nieruchomej.

Na pierwszy zarzut odpowiada Kołłątaj w ten sposób, że przy podobnym, nadzwyczajnym zbiegu okoliczności możliwą jest praca wspólna, po której powinien nastąpić odpowiedni podział owoców tej pracy. Ważniejszą za to jest odpowiedź jego na drugą kwestyę, bo tu musiał wystąpić przeciw utartym mniemaniom dawniejszych i współczesnych sobie filozofów. Wiadomo, że Cicero własność gruntową opierał na prostem „zajęciu i przedawnieniu“, podobnie Rousseau nazywał ją bezprawiem — jako nabytą nie przez pracę, lecz przez samowolne zagarnięcie, — „ogrodzenie płotem“ [1]). Kołłątaj sądzi jednak, że podobne zarzuty „niektórych filozofów“ (t. j. niezawodnie Rousseau'a) nie wytrzymują krytyki, bo już samo „ogrodzenie“ jest pracą, a nadto ziemia, objęta na własność, jeśli ma przynosić jakąkolwiek korzyść, wymaga „trudów, godnych samego Herkulesa“ [2]). Zresztą — zdaniem jego — zajęcie takie nikogo nie krzywdzi, bo każdy miał prawo toż samo przedtem uczynić, a skoro nie uczynił, winę może przypisać tylko własnemu niedbalstwu.

Oczywiście wkroczył tu Kołłątaj na śliską drogę sofizmatów, dość naiwnie w dodatku obmyślanych, a co najciekawsze, popada w rażącą niekonsekwencyę. Chociaż bowiem z zasady sprzeciwia się sięganiu do pierwotnego stanu natury (o czem już wyżej nadmieniliśmy), tu niebacznie ulega tej samej manierze, która mu umożliwia tak łatwe uporanie się z nadzwyczaj trudną „kwestyą. Nie uwzględnia on dzisiejszego, a więc istotnego stanu rzeczy, — stanu rozrodzenia się ludzkości do tego stopnia, że dobieranie sobie dowolne ziemi w celu uprawy jest niemożliwem. Żadną miarą zaś nie może wystarczyć tłómaczenie, że różnica mienia, wynikająca z własności gruntowej nielicznej stosunkowo ilości ludzi, wyrównywa się drogą zamiany: pracy, za surowe płody [3]).

Bądź co bądź w tem energicznem bronieniu własności nieruchomej przebija się tendencya obalenia komunistycznych teoryi, które śladem Morusa rozpowszechniali: Morelly *(Basiliade* i *Code de la nature)*, Mably *(Traite de législation ou principes des lois)*, Brissot *(Recherches philosophiques)* i Rousseau *(De l'origine de l'inégalité)* [4]).

[1]) De l'origine et des fondements de l'inégalité parmi les hommes. Część II.

[2]) Str. 65 i nast.

[3]) Str. 74—5.

[4]) Ahrens: Naturrecht, t. I. str. 202

Własność w szerszem znaczeniu dzieli Kołłątaj na własność osobistą, t. j. siły, potrzeby, słowem zdolności organiczne ciała i władz duszy, i na własność rzeczy, nabytych przez pracę, tak ruchomych, jako też nieruchomych. Ogólną zaś definicyę podaje następującą: „Własność jest to posiadanie rzeczy, nabytej podług prawa, które wyłącza sprawiedliwie należytość innych do tej samej rzeczy“ [1]).

Jak już wyżej zaznaczyliśmy, zasadniczy pogląd na istotę własności, wysnucie jej z prawa natury i związanie z obowiązkiem pracy — przejął Kołłątaj od fizyokratów. Tu nadto dodać należy, że nawet podział jej nie różni się niczem od podziału, przyjętego przez ekonomistów ze szkoły Quesnéy'a [2]), co więcej, zaznacza się u Kołłątaja bardzo wyraźnie owa — właściwa fizyokratom — osobliwsza predylekcya do własności gruntowej, jak w ogóle odnoszące się do tej kwestyi znamienne cechy fizyokratycznej teoryi, o których dr. Głąbiński tak pisze: „Zjednoczenie prawa pracy z prawem osobistej wolności (własność osoby) i własności prywatnej nadaje nauce fizyokratów także tę charakterystyczną cechę, że mimo ich wymownej i stanowczej obrony prawa własności, własność ta przeważnie i zasadniczo li jako owoc pracy się przedstawia i jedynie jako taka zdaje się być świętą i nietykalną“ [3]).

„Należytości“ nasze, a mianowicie należytość własności osoby i rzeczy odnosi się jednak raczej do fizycznego stanu człowieka; teraz dopiero przystępuje Kołłątaj do omówienia spraw moralnych, do kryteryum ich poznania i ocenienia.

Już na początku swego dzieła, do najważniejszych praw naturalnych, dotyczących moralnego stanu ludzi, zaliczył wolę *(liberum arbitrium)* [4]) i określił ją, jako „samowolne działanie“ w swobodnem użyciu należytości i zachowaniu powinności. Ten związek woli z działaniem, tę wrodzoną właściwość zamiaru przed każdym uczynkiem, nazywa „wolnością“. Wolność więc — według Kołłątaja — to „prawo przyrodzone, które wkłada na człowieka nieuchronną konieczność działania podług jego woli, obioru i zezwolenia“ [5]).

Przedewszystkiem zastanawia tu zestawienie równorzędne woli z rozumem, t. j. z obiorem i zezwoleniem, którą to ścisłą i nieodzo-

[1]) Str. 78.

[2]) Na własność osoby i rzeczy (ruchomych i nieruchomych) dzieli Baudeau. O systemie fizyokr. str. 52.

[3]) O systemie str. 52.

[4]) Rozdział I. str. 15.

[5]) Str. 82.

wną łączność na kilku miejscach umyślnie akcentuje. Zdaje się tu iść torem, wytkniętym przez Aristotelesa, który wolę, t. j. ὀρεκτικόν specyalizował jako προαίρεσις i διανοητικόν, bo również uważał wolę za zależną od motywów rozumu. Równocześnie przez to uznanie motywu refleksyi oddala się Kołłątaj od wyobrażenia absolutnej, transcedentalnej woli, jako też od determinizmu Hobbesa, Spinozy, Leibnitza, a nawet Locke'a.

„Wolność“, czyli zależność czynności człowieka od jego woli i rozumu jest podstawą uznania jego moralności, czyni go bowiem odpowiedzialnym za zły wybór, złe zezwolenie, a tem samem za złą wolę. Kryteryum zaś oceny dobrego i złego polega na porównaniu naszej wolności z należytościami i powinnościami, t. j. jeżeli uczynki nasze z niemi się zgadzają, nazywamy je godziwymi, jeżeli zaś się nie zgadzają, nazywamy je niegodziwymi [1]). Najtrudniejszem jednakże dla nas jest właśnie poznanie naszych praw i obowiązków, co wywołało potrzebę nauki moralnej i praw pozytywnych, aczkolwiek te często są niewłaściwe i „sprzeciwiające się prawom przyrodzenia“ [2]).

Tymczasem już sama natura postarała się o to, by nie zostawić człowieka bez stałej i pewnej w tej mierze dyrektywy, a tą jest niejakie ograniczenie wolności i pressya przyrodzenia.

Do ograniczeń tych — pominąwszy już płynące z niedoskonałości organizmu naszego — zalicza Kołłątaj: potrzeby nasze, rozum, sumienie i kary, „które przyrodzenie przywiązało do zgwałcenia należytości i przestąpienia powinności [3]). Potrzeby bowiem za pomocą czucia zmuszają nas do wykonywania powinności, a tem samem skłaniają wolę do nabycia za pośrednictwem ich dóbr nam należnych i nieodzownych. Co się tyczy ograniczenia przez rozum, to wypływa ono już z samego pojęcia woli, dla której refleksya jest koniecznym motywem, sumienie zaś to władza osądzania naszych uczynków nietylko *a posteriori*, lecz i *a priori (conscientia antecedens)* — a więc również przez refleksyę działająca na wolę.

W tem pojmowaniu istoty sumienia, jako wyłącznie aktu rozumowego, przebija się wyraźnie wpływ racyonalistycznych poglądów, które zaznaczają się tu tem jaskrawiej, że kolidują z pojęciami filozofii chrześciańskiej.

Tak samo uwagi godne są radykalne poglądy Kołłątaja na stosunki społeczne.

---

[1]) Str. 99.
[2]) Loc. cit. jako też str. 103.
[3]) Str. 99.

Zastanawiając się nad faktem, dlaczego mimo tylu ograniczeń wolności, czyli raczej środków regulujących ją, tak częste są objawy nadużycia tej wolności, dochodzi do wniosku, że każde przekroczenie, każdy występek, uważać należy raczej za objaw „obłąkania“, spowodowanego fałszywemi opiniami, prawem cywilnem, ustawami niezgodnemi „z pierwszemi zasadami społeczności ludzkiej“ i t. p. Słowem, człowiek nim zacznie samowolnie działać, jest już „zepsuty przez złe ustanowienia naszej społeczności“ [1]).

Chociaż więc Kołłątaj nie zgadza się z Rosseau'em i innymi zwolennikami pierwotnego stanu natury, chociaż — o czem wspomnieliśmy już wyżej — nazywa bezcelowem dociekanie początków rodu ludzkiego, — to przecież zajmuje wspólne z nimi stanowisko pessymistycznego poglądu na współczesną organizacyę społeczną i konieczność jej reformy. Nie rozwija atoli w tym celu jakichś szerokich programów radykalnych zmian, nie stara się — wzorem innych — o wynalezienie jakiegoś uniwersalnego środka na wszelkie niedostatki i wady ustroju społecznego, bo wszystkie takie reformy, polegające na wyrzeczeniu się całego dorobku cywilizacyjnego, czy inne tym podobne, wydają mu się zupełnie zbytecznemi. Wystarczy — jego zdaniem — jeśli każdy członek społeczeństwa zrozumie główną zasadę moralną, określoną nauką o należytościach i powinnościach, jeśli tę naukę zechce i potrafi „przystosować do spraw życia społecznego“ [2]). To też jest celem wszystkich badań z zakresu moralności, a wszystkie systemy etyczne na nicby nam się nie przydały, gdybyśmy ich nie umieli zastosować w naszym stosunku do innych ludzi.

Przystępując do rozwinięcia swej teoryi o „sprawach moralnych“ w odniesieniu do życia społecznego, zastanawia się przedewszystkiem nad dwoma ich rodzajami, t. j. nad cnotą i występkiem, które określa następującemi definicyami: „Cnotliwy uczynek nie innego nie jest, tylko sprawa moralna, która się zgadza z należytościami i powinnościami przyrodzonemi przez ich ścisłe zachowanie. Występek jest to sprawa moralna, przez którą należytości i powinności rzeczone nie są zachowane i dopełnione, owszem opuszczone lub zgwałcone“ [3]). Za cnotę albo za występek można atoli uważać tylko sprawę moralną, do której — jak już wspomniano — konieczną jest „wolność“, t. j. wola z jej motywami: obiorem i zezwo-

---

1) Str. 103.
2) Str. 112.
3) Str. 127.

leniem. Wynika z tego, że człowiek, pozbawiony świadomości, niepoczytalny lub o przyćmionym umyśle (n. p. w stanie gorączki, snu, zgrzybiałej starości i t. p.), dalej pozbawiony wolności przez gwałt fizyczny albo moralny (strach, obawa), nie jest zdolny do spraw moralnych, to też uczynku popełnionego przezeń w tym anormalnym stanie (jeśli n. b. popadł weń mimowolnie), ani za cnotę, ani za występek poczytać mu nie można [1]). Nadto potrzebne tu nieodzownie „sumienie pewne“, t. j. zdolność oceniania uczynków pod względem ich stosunku do praw i obowiązków, lubo zasadą powinno być: *ignorantia facti non iuris excusat.*

Cały system moralności — jak już kilkakroć wspomnieliśmy — opiera się u Kołłątaja na wypełnieniu przepisanych prawem natury powinności, w czem — rzekłszy nawiasem — zbliża się do zapatrywań Cicerona [2]), z tą tylko różnicą, że obowiązki te stara się określić jako „przyrodzone“, a nadto, że analogicznie do nich wprowadza także „należytości“. Prawa te jednak, z których człowiek może, a nawet powinien korzystać, stoją — według niego — w dość luźnym z nauką moralności związku, bo sama natura drogą fizyczną zmusza człowieka do ich wyzyskania. Za to specyalnie zajmuje się Kołłątaj powinnościami, które dzieli na powinności wobec siebie samego i wobec bliźnich. Co się tyczy obowiązków względem nas samych, to te streszczają się w zachowaniu, ubezpieczeniu i udoskonaleniu naszej osoby [3]), obowiązki zaś względem innych zamykają się w pojęciach sprawiedliwości i dobroczynności.

„Sprawiedliwość — mówi Kołłątaj — nic innego nie jest, tylko powinność, która nas obowiązuje do ścisłego zachowania prawa, jakie ma każdy do swej własności, bądź ona jest osoby, bądź rzeczy“ [4]), uzasadnia zaś tę powinność koniecznością pogodzenia interesów, praw i obowiązków wszystkich jednostek, zespolonych w społeczeństwo. To pogodzenie możliwem jest tylko na podstawie zasady: „Co Piotr winien Pawłowi względem zachowania jego należytości, toż samo winien Paweł Piotrowi“ [5]).

Nie stara się więc pojęcia sprawiedliwości wysnuć — jak Mirabeau — z wrodzonej miłości bliźniego, albo jak Rousseau, z „miłości do innych ludzi, ugruntowanej na miłości własnej“ [6]), lecz

[1]) Str. 115—120.
[2]) De Officiis, lib. I. cap. II.
[3]) Str. 128.
[4]) Str. 130.
[5]) Str. 132.
[6]) Rousseau: Emile IV. 42.

i tu zbliża się raczej do fizyokratów, którzy pojęcie to wyprowadzali wyłącznie na drodze rozumowej. W tym duchu n. p. Mercier de la Riviere określa sprawiedliwość, jako ogół praw i obowiązków, wskazanych absolutną koniecznością *(Un ordre de devoirs et de droits, qui sont d'une nécessité physique et par consequent absolue)*, a Dupont de Nemours identyfikuje ją z naturalnym obowiązkiem poszanowania własności tak osobistej, jak i ruchomej innych ludzi [1]).

W obrębie sprawiedliwości rozróżnia Kołłątaj pewne stopnie, według których przekroczenie tego prawa ściąga na sprawcę większą lub mniejszą winę. Tak n. p. „nastąpienie" na własność osoby poczytuje za cięższy występek, niż naruszenie własności rzeczy, wskutek czego morderca jest większym zbrodniarzem niż złodziej. Podobnie większą niesprawiedliwość popełnia ten, który krzywdzi całą rodzinę, lub co gorsza — całe społeczeństwo, niż krzywdziciel jednej osoby [2]).

Jeżeli sprawiedliwość obowiązuje człowieka bezwarunkowo, zawsze i wszędzie, to znów dobroczynność, czyli obowiązek wzajemnego wspierania się [3]), jest mu zaleconą tylko w miarę możności, wskutek czego, jako bardziej zależną od dobrej woli człowieka, uważa ją Kołłątaj za większą cnotę od sprawiedliwości [4]). Nie idzie zatem atoli, żeby dobroczynność nie miała być powinnością, wskazaną prawem przyrodzenia; przeciwnie, jest już tem samem, że jest głównym środkiem udoskonalenia się, a więc osiągnięcia celu naszej egzystencyi [5]), należy ją uważać za powinność naturalną. Co więcej, że dobroczynność wypływa z prawa natury — dowodzi konieczność jej w życiu społecznem.

Mówiliśmy już wyżej, że Kołłątaj popędu towarzyskiego (jaki przyjmuje Aristoteles), nie uznaje, ale mimo to stan społeczny uważa za jedynie zgodny z naturą ludzką. Człowiek bowiem sam sobie wystarczyć żadną miarą nie może, musi oglądać się za pomocą obcą, która, zwłaszcza w początkach życia, jest mu nieodzowną. I tu dogmat, postawiony na początku dzieła, że natura sprzeczności nie zna — służy Kołłątajowi jako dowód, iż pomoc wzajemna, t. j. dobroczynność, jest wskazana prawem natury, skoro bez niej obyć się nie

---

[1]) O systemie fizyokratów str. 50 i 49.

[2]) Str. 135.

[3]) Str. 130.

[4]) Str. 136.

[5]) Str. 218 dodatek. W tem pojmowaniu uszlachetniania się jako celu naszego bytu, zdaje się przebijać wpływ Ch. Wolfa. Patrz Ahrens: Naturrecht, I., 115.

możemy. Upewnia nas zresztą o tem wrodzone „czucie“ litości. Co więcej, dobroczynność ma służyć, jako czynnik niezmiernej wagi w unormowaniu stosunków społecznych, a mianowicie ma zacierać nadmierną nierówność majątkową, jaką pociągać musi wyznawana przez Kołłątaja zasada nabywania własności w stosunku do pracy. Wynikałoby bowiem z tego, iż silniejszy, mogąc więcej zapracować, opływałby w dostatki, podczas gdy słabszy fizycznie musiałby przymierać głodem. Dobroczynność zatem, polegająca na odstępowaniu nadmiaru dobytku przez silniejszych na rzecz słabszych ma wytwarzać pożądaną równowagę. Należy ją świadczyć — nie wyłącznie z altruistycznych pobudek, nietylko z poczucia obowiązku, lecz także ze względu na interes ogółu, a tem samem i swój własny, bo jest ona „kapitałem spraw dobrych, należącym do całej społeczności“ [1]).

Tu miejsce zauważyć, że cały wywód Kołłątaja o dobroczynności jest tylko szerszem omówieniem zapatrywań, wyrażonych przez Quesnéy'a w *Droit naturel:* „. . . Przez wzajemne uzupełnianie się każdy przyczynia się mniej więcej w jednakowym stopniu do korzyści społeczeństwa, . . ci zaś, którzy przyczynić się do niej nie są w stanie, winni w niej uczestniczyć w miarę osiągniętego przez to społeczeństwo dobrobytu“ [2]).

Aczkolwiek — jak powiedzieliśmy — dobroczynność nazywa Kołłątaj większą cnotą niż sprawiedliwość, — to przecież nie jest ona jeszcze największą, choćby z tego względu, że — do pewnego stopnia — i ją należy zaliczyć do naszych obowiązków. Szczytem cnoty i zmysłu etycznego człowieka nazywa Kołłątaj dopiero heroizm. Rozumie on przezeń „sprawę zasadzoną na dobroczynności, kiedy powinność świadczenia pomocy bliźniemu lub całej społeczności znajduje się w zbiegu z powinnością zachowania naszego bytu, a pierwszą przekładamy nad drugą, albo ją dopełniamy z niebezpieczeństwem dopełnienia drugiej“ [3]).

Jest to jedyny punkt, którego Kołłątaj nie opiera na rozumowo wyprowadzonym „porządku“, nie stara się wydedukować z praw natury, lecz raczej — jak się zdaje — wysnuwa go z wrodzonego popędu, z uczucia. To małe odstępstwo od przyjętej raz zasady dowodzi jednak, że poglądy Kołłątaja — mimo niejakich pozorów — odbiegają znacznie od pozytywizmu [4]).

---

[1]) Str. 138.

[2]) O systemie fizyokratów str. 59.

[3]) Str. 141.

[4]) O pozytywizm posądził Kołłątaja Limanowski w dziele: „Socyologia Comte'a“.

Poruszając wszystkie ważniejsze kwestye z zakresu etyki i prawa naturalnego, nie mógł Kołłątaj pominąc milczeniem i sprawy „równości przyrodzonej między ludźmi".

Ferment socyalny, który później we Francyi znalazł swe ujście w wielkiej rewolucyi, od dłuższego już czasu był powodem dyskusyi i polemik na ten temat, zwłaszcza od wydania głośnej broszury Rousseau'a: *Discours sur l'origine et les fondements de l'inégalité parmi les hommes* [1]). Przywileje stanowe, kastowość i zależność warstw niższych stały się celem bardziej lub mniej trafnych pocisków i punktem wyjścia reformatorskich aspiracyi. Rousseau dążenie to zjednoczył ze swą teoryą o pierwotnym stanie natury: „W naturalnym stanie — pisze w Emilu — znajduje się faktycznie prawdziwa równość, bo w tym stanie różnica między człowiekiem a człowiekiem nie mogła być tak wielką, aby podawać w zależność jednego od drugiego." Otóż wobec takich twierdzeń uważa Kołłątaj za stosowne zaznaczyć swoje stanowisko, które oczywiście nie może być identycznem, choćby z tego względu, że — jak wspomnieliśmy — jest przeciwnikiem hipotezy w pierwotnym stanie natury. Wierny raz przyjętej metodzie, bada on człowieka na tle dzisiejszych stosunków i dochodzi do przekonania, że „prawdziwa między ludźmi równość zależy na jednakiem podleganiu prawom przyrodzenia i że jednakie mają należytości i powinności" [2]), o innem zaś zrównaniu mowy być nie może. Co się zaś tyczy zależności i podporządkowania, jakie widzimy w każdem społeczeństwie, to te nie mogą uchodzić za „nierówność" w ścisłem słowa znaczeniu, lecz za „podział nieuchronny, na który ludzie z potrzeby przystają, a do czego samo przyrodzenie wskazuje im prawidło" [3]). Tak bowiem, jak w rodzinie ojciec jest naturalnym przełożonym swych dzieci, tak „w społeczności narodu jest ten, któremu dostaje się władza opiekuńska" [4]).

Jak w tylu innych zagadnieniach, tak i tu przebija się wyraźnie wpływ szkoły fizyokratów, którzy w zapatrywaniu swem na istotę i powstanie państwa przyjęli ustaloną w ówczesnej literaturze prawa narodów Grotiusowską teoryę kontraktową wraz z Hobbesowską ideą absolutnej monarchicznej władzy" [5]). Według Kołłątaja, cała nasza społeczność jest „umowną", t. j. opartą na wzajemnie obowiązujących, dobrowolnych warunkach, — stosunki więc, płynące

[1]) Wyszło w r. 1753.
[2]) Str. 148.
[3]) Loco citat.
[4]) Str. 150.
[5]) O systemie fizyokratów str. 42.

z tych umów, nikogo krzywdzić nie mogą. I tak gospodarz umawia się z czeladnikiem, pan ze sługą, właściciel z rolnikiem; ... czeladnik, sługa, rolnik, ofiarują swą pracę za nagrodę, następuje więc zupełnie prawidłowa wymiana surogatu pracy, za część jej owoców.

Rzecz dziwna, że Kołłątaj, mimo zupełnie racyonalnego stanowiska, zdaje się nie odczuwać całej nielegalności takich n. p. stosunków pańszczyźnianych, w których trudno chyba dopatrzyć „umowy między właścicielem a rolnikiem“. Również przemilcza dyskretnie kwestyę przywilejów rodowych, czy jakichkolwiek innych, naruszających także równość a nie wypływających bynajmniej z jakiegoś kontraktu. Jest to może najsłabszy punkt w dziele Kołłątaja, na co jednakże z pewnością wpłynęła pewna ostrożność i liczenie się z panującą opinią.

Wszystkie wnioski, wysnute w „Porządku fizyczno-moralnym“, reasumuje ostatecznie Kołłątaj, podając je jako „prawodawstwo przyrodzenia, czyli zbiór przyrodzonych należytości i powinności człowieka“ [1]), jako prawodawstwo, wypływające z woli tegoż przyrodzenia, a tem samem bezwarunkowo człowieka obowiązujące.

Prawa te, na wzór Quesnéy'a: *Tableau économique*, dzieli na trzy „tablice prawa przyrodzonego“, a mianowicie na prawa, które zabezpieczają; 1) własność osobistą człowieka, 2) własność osobistą rzeczy i 3) należytości i powinności ogółu.

W obrębie praw pierwszej kategoryi wymienia następujące „należytości“: „własność osoby, czucie, siły (fizyczne i duchowe) i wolę, — którym odpowiadają obowiązki: zachowanie własnej osoby, zaspokojenie potrzeb, praca i należyte kierowanie wolą. Prawa, zawarte w II. tablicy, zamykają się znów w należytościach: zaspokojenie potrzeb, siły potrzebne do tego i prawo własności, — jako też w równorzędnych obowiązkach: nabywanie rzeczy niezbędnych, praca i używanie własności w celu utrzymania życia. Ostatecznie, co się tyczy stosunków społecznych, te opierają się na własności osoby, własności sił i rzeczy (nabytych przez pracę), wolności działania, wolności umowy, prawie obrony i prawie do pomocy innych. Odpowiedniemi powinnościami są; nietykalność własności osobistej, dozwalanie innym swobodnego użycia sił, nietykalność własności nabytej, nietykalność wolności działania naszych bliźnich, dotrzymywanie umowy, wstrzymywanie się od napaści, a w końcu obowiązek pomocy.

Wszystkim tym prawom użyczyło przyrodzenie swej „sankcyi“, a to przez ów — nawet dla rozumu ludzkiego dostępny — porządek

---

[1]) Rozdział XII. str. 153 i nast.

wszech rzeczy. Rozum więc głównie, a obok niego także „czucie“ (t. j. zmysły) i sumienie (które, jak wspomnieliśmy, u Kołłątaja równa się refleksyi), wystarczają w zupełności do zoryentowania się, jakimi torami kroczyć należy, by z ogólnym „porządkiem“ zostawać w harmonii, by — jak drobne kółko — zgodnie z tysiącem innych funkcyonować w ogromnej machinie świata.

Spełnienie tego zadania leży nawet w interesie każdego, bo taka jest „dzielność“ sankcyi przyrodzenia, że nieposłuszni prawom natury ściągają i na siebie i na bliźnich wielkie nieszczęścia, podczas gdy przestrzeganie tych praw zapewnia ludzkości spokój i pomyślność.

Nie uczucie więc, ani idea dobrego ma być bodźcem moralnego życia ludzi, jeno rozum i — bądź co bądź — egoistyczna pobudka powszechnej szczęśliwości, jakiegoś *bonheur commun*, o którem marzył Tomasius, Leibnitz, Wolf, Rousseau i inni filozofowie prawa natury.

Nie trudno wyrobić sobie pogląd na właściwe stanowisko Kołłątaja, jakie zajął w swym „Porządku fizyczno-moralnym“. Zapatrywania jego — jak to w toku rozprawy staraliśmy się wykazać — oparte są na naturalistycznych dążeniach wieku, cechuje je niezwykła, — rzec można — przesadna nawet trzeźwość, która każe mu omijać starannie nietylko dogmaty jako takie, lecz nawet wszelkie pojęcia, nie dające się wysnuć bezpośrednio na podstawie zimnej, rozumowej rachuby. Zwolennik metody indukcyjnej skłania się wcale niedwuznacznie na stronę empiryzmu, lecz ani o senzualizm, ani o pozytywizm podejrzywać go nie można. Nie gardzi również okruchami filozofii starożytnej (Cicero), a nawet — acz w bardzo ograniczonej mierze — niektóremi zapatrywaniami z obozu racyonalistów. Jeżeli dodamy do tego, że wszystkie owe poglądy przeszły w większym lub mniejszym stopniu przez pryzmat nauki fizyokratów i jeśli uwzględnimy rozsiane tu i ówdzie słabiutkie ślady starań, zmierzających do pogodzenia skeptycyzmu filozofii XVIII. w. z dogmatyzmem chrześciańsko-katolickim, — będziemy mogli nazwać Kołłątaja eklektykiem w całem tego słowa znaczeniu.

Że eklektyzm ten ma źródło swe w dylletantyzmie autora „Porządku fizyczno-moralnego“, przy znacznej stosunkowo erudycyi, — zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości.

P. Wł. Dropiowski.

SZOS WE LWOWIE

W POCZĄTKACH XV. WIEKU.

Zwykłe dochody miasta nieraz nie wystarczają na pokrycie wydatków, zwłaszcza nadzwyczajnych. Resztę uzupełnia podatek, zwany po łacinie: *exacio*, po niemiecku: *schoss* skąd i polska nazwa [1]).

We Lwowie występuje szos jako podatek niestały, nakładany na obywateli tylko w razie potrzeby. Słaby rozwój monopoli, opłat i podatków sprawia, iż miasto, nie mogąc pokryć swoich wydatków dochodem z majątku ucieka się do szosu bardzo często. Pierwszy znany wilkierz, który ustanawia szos, pochodzi z r. 1405. Jak było poprzednio, czy go często używano dawniej, i odkąd został wprowadzony, nic nie wiemy. Ostatnia z tych uchwał podatkowych, które znamy, pochodzi z r. 1417. W ciągu tych lat 13 pobrano szos 12 razy [2]). Z tego dwa razy tylko od Ormian w latach 1407 i 1417, zresztą zaś od ogółu mieszkańców.

Po r. 1416 szos dalej istnieje, brak jednak dokładniejszych o nim wiadomości [3]). Wzmianki o szosie są do r. 1426: spotyka się je w księgach rachunków Lwowa z lat 1404 — 1414 i 1414

---

[1]) Szerzej mówimy o czasie i jego znaczeniu w pracy, p. t. „Finanse miasta Krakowa w wiekach średnich", Rocznik krakowski, t. III., w której przedstawiamy w krótkości rys finansów Lwowa. Dlatego tu wielu kwestyi nie rozwijamy dokładniej, o ile je w powyższej pracy uwzględniliśmy.

[2]) Wilkierze szosowe znajdują się w dwóch pierwszych księgach rachunków Lwowa z lat 1404—1414 i 1414—1426. Pierwszą wydał dr. Alexander Czołowski, jako t. II. Pomników dziejowych Lwowa (cytujemy: P. L. II.); druga znajduje się w archiwum miejskiem Lwowa (cytujemy ks. II.). Uchwały szosowe spotykamy P. L. II. str. 11, 34, 40, 57, 73, 94, 107, 118. Ks. II. str. 15, 120, 184 i 247.

[3]) Ks. II. str. 446, 438.

— 1426. Są to najdawniejsze regestra tego miasta. Brak ich później do r. 1460, od którego zaczyna się trzecia księga rachunków. W niej o szosie niema nawet drobnej wzmianki. Przypuścić należy, iż już wtedy go nie wybierano, że więc przed r. 1460 wyszedł szos z użycia.

I.

Uchwały szosowe. — Powód nakładania szosu — Podatki, składające szos od domów, od majątku, arbitrium. — Relacya między nimi. — Sposób poboru szosu.

Wilkierze szosowe rzadko podają, z jakiego powodu nakłada szos Rada miejska. W r. 1405 dzieje się to dla pokrycia egzekucyi [1]), ktorą składają także miasta na wykupno ziemi dobrzyńskiej, w roku 1408 zaś na spłatę długów miasta [2]). Z reguły przypuszczać możemy, iż chodzi o wyrównanie w ten sposób niedoboru.

We Lwowie brak statutu, któryby raz na zawsze. t. j. jak długo nie ulegały zmianie, stanowił pewne reguły, w jaki sposób szos należy wybierać. Ilekroć zaszła tego potrzeba, Rada musi uchwalić ustawę szosową, a więc jakie podatki (t. j. od czego) złożyć należy i w jakiej wysokości. Z tych właśnie 12 wilkierzy musimy odbudować system urządzenia szosu we Lwowie. Zapiski to krótkie, lakoniczne. Wystarczały dla współczesnych, którzy znali praktykę poboru szosu. Dziś nastręczają one wątpliwości bardzo wiele; nie wszystko da się wyjaśnić, a nieraz trzeba uciekać się do pomocy hipotezy. I tak tylko z grubsza można szos objaśnić, szczegółów brak w wilkierzach zupełnie.

Jak gdzieindziej, szos składa się we Lwowie z kilku podatków. Jest ich trzy:

1) podatek od domów,
2) podatek od majątku,
3) arbitrium.

By objaśnić ich znaczenie i stosunek, przypatrzyć się musimy, jak wyglądają te szosowe wilkierze. Weźmy najprzód jeden z niewielu obszerniejszych, drugi z rzędu ze znanych z r. 1406 [3]).

Wyłączmy najprzód podatek od domów. Od całego domu płaci się 20 gr., od połowy domu 10 gr. Ten podatek ponoszą

---

[1]) P. L. str. 11.
[2]) Ib. str. 57.
[3]) Ib. str. 34.

tylko posiadacze domów. Obok tego wszyscy pociągnieci są do podatku, którego charakteru na razie bliżej nie określamy, i to według trzech klas:

1) Ci co mają najwyżej 10 grzywien majątku. lub mniej. Płacą tylko t. zw. arbitrum w wysokości ½ kopy groszy. t. j. 30 groszy.

2) Ci, co mają od 10 do 30 grzywien majątku. Płacą od każdej grzywny po 2 gr. i prócz tego arbitrium.

3) Ci, co mają ponad 30 grzywien majątku, płaca tylko po 2 gr. od każdej grzywny, a są wolni od arbitrium.

Weźmy dla porównania dwa inne wilkierze według uchwały z r. 1407 [1]) (dla Ormian):

1) Domy płacą: cały 20 gr.. połowa 10 gr., ćwiartka 5 gr.

2) od kopy groszy po groszu, może tylko od tych, którzy mają majątku ponad 30 kóp. Przepis nie jest jasny.

3) Arbitrium wynosi 12 groszy. Płaca go ci, którzy nie maja pieniędzy „*qui pecunias non habent*".

Znacznie od tego odbiega wilkierz z r. 1417 [2]). Przepisy ma takie:

1) Dom cały daje ½ kopy, połówka wiardunek to jest 15 groszy,

2) od grzywny płaci się 1 grosz,

3) tribitrium w kwocie 12 groszy ma dać każdy: *quilibet dare debet.*"

Widzimy z tego, jak wielkie panują między wilkierzami różnice. A te trzy jeszcze są najobszerniejsze i najjaśniejsze.

Wróćmy się do objaśnienia z osobna każdego z tych trzech podatków, z których składa się szos.

Najmniej trudności do objaśnienia przedstawia podatek od domów. Statuty używają wyrażeń: *domus* lub *area* i stanowią, iż połówka domu płaci połowę, ćwiartka czwartą część tego, co dom cały. Trochę to na pozór niejasne, łatwo jednak wytłómaczyć

---

[1]) Ib. str. 40.

[2]) Nota, quod hec exactio est instituta proxima feria secunda post dominicam, qua cantatur in ecclesia domini: cantate domino canticum novum etc. sub anno domini MCCCC decimo septimo. Primo de domo integra media sexagena, de media vero unum fertonem, de marca 1. gr. Arbitrium unum fertonem quilibet dare debet et quilibet dan arbitrium ponere debet ad mensam ante exactorem et exaccionem ad carbanum prouti prius. Ks. II. str. 184.

z analogii z miast innych. [1]) Przez *domus* lub *area* rozumiano jednostkę gruntu wraz z zabudowaniami na niej się znajdującemi. Te jednostki powstały przy założeniu miasta, kiedy wymierzano grunt dla przybyłych osadników. W Krakowie jednostki te mają 72 łokcie długości, 36 szerokości. Jak było we Lwowie, nie wiemy. Z biegiem czasu bardzo szybko podnosi się wartość gruntu z powodu wzrostu ludności. Zaczynają się te dawne jednostki dzielić na połówki, ćwiartki i ósemki. Zawsze jednak utrzymują się one w pamięci jako idealny pomiar, według którego oznaczają wielkość parcel. Stąd pół domu oznacza połowę tej jedenostki gruntu wraz z domem, podobnie ćwiartka i t. d.

Za to nie ma we Lwowie wzmianek, któreby wskazywały iż szos od domów malał w miarę ich odległości od środka miasta, jak to było np. w Krakowie. Sądzić należy, iż tego podziału miasta na „krzyże“ nie znano.

Drugi podatek określają w ten sposób, iż od grzywno (wzgl. od kopy) płaci się grosz lub dwa. I tu również lwowskie źródła nie dają wyjaśnienia o co chodzi, jak to rozumieć należy. Jest to sposób wyrażania się bardzo ogólny, używany zarówno w Niemczech jak w Polsce. Chodzi tu o podatek od majątku.

Każdy z obowiązanych do płacenia szosu musi obliczyć na pieniądze (a więc na grzywny) cały swój majątek ruchomy, zarówno w pieniądzach, jak w towarach i zasobach i płaci stosownie do wielkości majątku, od grzywny pewnie, przez wilkierz ustanowioną kwotę. W obszerniejszych statutach innych miast spotykamy się z dokładniejszymi przepisami co do tego majątku należy, a więc „*bereites geld*“, „*liegendes geld*“, towary, pieniądze wypożyczone i t. d. (niektórych przedmiotów się nie wlicza, jak np. w Krakowie tych, które są przeznaczone do osobistego użytku podatnika, ubiór i kosztowności, pewne zapasy artykułów spożywczych). Z krótkich wzmianek lwowskich nie możemy odgadnąć, jakie pod tym względem obowiązywały przepisy.

Wreszcie podatek trzeci: arbitrium. W Polsce, o ile wiemy stanowi on wyłączną cechę Lwowa. W innych miastach, których urządzenia szosowe znamy, nie ma go wcale. Znamionuje go to, iż się go pobiera w stałej wysokości. Jest to więc pogłówne. Ale kto go płaci? W tem leży trudność. Analogii stosować nie można, bo tego podatku gdzieindziej u nas nie ma, a to, co czytamy o nim, jest dość niejasne i nawet zawiera znaczne sprzeczności.

---

[1]) Por. nasze Finanse Krakowa.

Wchodzą tu w rachubę dwa powyżej podane wilkierze. Pierwszy z r. 1407 mówi, iż go płacą tylko ci, *„qui pecunias non habent“* a więc którzy z tego powodu wolni są od szosu majątkowego (od grzywien), drugi z r. 1417, iż mają go ponosić wszyscy, obok podatku od majątku. Statut zaś z r. 1406 wybiera trzecią alternatywę. Płacą go ci, którzy nie są obciążeni podatkiem majątkowym (jeśli nie mają nic lub posiadają średni majątek do 30 grzywien), wolni zaś są od niego bogaci (mający ponad 30 grzywien). Trochę zbliża się do tego przepis wilkierza z r. 1416 [1], według którego zaczyna się podatek majątkowy opłacać od majątku powyżej 10 grzywien.

Wszystkie inne wilkierze [2]) zawierają wyłącznie tylko krótki przepis, ile płacą domy, ile daje się od grzywny, ile wynosi arbitrium.

Coś podobnego do arbitrium spotyka się i w Niemczech, np. w Hamburgu i Rostoku [3]). Tam używają nazwy *„rorschoss“*. Płaci się ten *rorschoss* obok zwykłego szosu również w formie pogłównego. Podobnie jest we Lwowie w r. 1417. Ale znów z wilkierza z r. 1407 widzimy, że płacą ci, co nic nie mają, lub (jak w r. 1406) także ci, co mają niewiele. Z niemieckich uczonych żaden jeszcze tego zjawiska nie wytłómaczył. Sądzę, iż zrozumieć je można, jeśli się porówna z urządzeniami miast innych. Tak np. Kraków, którego urządzenia lepiej są znane, ma obok podatku od domów i od majątku trzeci, od kupców drobnych i rzemieślników. Jeśli się przypatrzymy charakterowi lwowskiego arbitrium, to zobaczymy, iż on się do tego podatku dość zbliża. Do arbitrium, jak widać ze spisów osób, które go płacą, nie pociągano klasy sług, jak i uczniów i czeladników w rzemiosłach.

---

[1]) Exaccio fuit instituta feria 2. ante rogacionum sub anno domini MCCCCXVI. a qualibet marca extendente se ultra decem marcas unus grossus, arbitrium viginti grossi de integra area media sexagena, et de media unus terto. Ks. II. str. 120.

[2]) Podajemy dwa, które nie zostały jeszcze drukiem ogłoszone:

Exaccio est instituta in quadragesima ipso die sti. Gregorii de marca unus grossus, arbitrium X. grossi, de integra domo viginti grossi. De anno domini millesimo quadringentesimo quatuordecimo. Ks. II. str. 15.

Exaccio instituta circa Armenos iuxta taxam domorum de anno domini MCCCC septimo decimo (por. wyżej). Arbitrium $^{1}/_{2}$ terto, de marca II. gr. Wilkierz z r. 1417. Ks. II. str. 247.

[3]) Wilhelm Stieda: Städtische Finanzen im Mittelalter, w Jahrb. f. Nationalök. und Stat. str. 17—19.

Płacą go więc ci, którzy żyją samoistnie, mają dochody, a przecie nie posiadają większego majątku, lub nawet nic zupełnie. Są to drobni kupcy i rzemieślnicy.

Chodziło o to, by zebrać trochę pieniędzy przez obciążenie obywateli. Trudno się spodziewać, by można było opodatkować dochód. Dziś niejeden nie zdaje sobie sprawy, jakie są jego dochody, cóż dopiero wtedy. Możemy twierdzić, iż jest to pojęcie obce ówczesnemu społeczeństwu. Jeśli zaś szło o to, by ściągnąć podatek, rzecz jasna, że chciano pobierać więcej od tych, co więcej mają. To maksyma stara jak świat; dziś ją tylko lepiej zdefiniowano i określono. Trzeba się więc było czepiać jakichś zewnętrznych znamion, któreby dały podstawę do oceny, kto ma więcej. A więc najprzód musiano wziąść w rachubę własność nieruchomą. Gdyby szło o stosunki rolne, toby wystarczyło. Ale w mieście prócz gruntu na plan pierwszy wysunął się już kapitał. Wzięto więc za podstawę do wymiaru podatku drugi czynnik: majątek.

Ale przecie i to wystarczyć nie mogło. Nie każdy miał swój choćby lichy domek, nie każdy posiadał majątek. A przecie ci ludzie mieli z czego żyć. Jakże ich opodatkować? Jak nałożyć na nich szos? Chwytano się dwóch sposobów; tworzono osobny podatek handlowo-przemysłowy, a raczej od sklepów, kramów, jatek i ławek, lub wprowadzano pogłówne (arbitrium). Oba te podatki odznaczają się tem, iż są prawie, że w równej wysokości nakładane na wszystkich [1]). Wobec tego, iż nie były zbyt wysokie, i że ludzie do tej należący klasy byli mniej więcej jednako sytuowani, brak zróżniczkowania ciężaru podatkowego odczuć się nie dawał. A nie będzie trudno objaśnić, czemu arbitrium musieli płacić niekiedy także ci, którzy nawet mieli pewien majątek, ale drobny, kiedy bogatych uwalniano od niego. Ten drobny majątek to zasoby materyałów. Jeśli ich ma więcej od innego, to pewnie, że więcej płacić powinien [2]). Jeśli atoli ma kto znaczny majątek, to szós od niego, wysoki, wystarczał. Nie szło o to, by każdy równomiernie płacił. Z tego chyba sobie jeszcze nie zdawano sprawy. Tylko tego żądano, by bogatszy dawał więcej. A szos od majątku był bardzo wysoki (nawet 4‰), dość obciążał. Przy małych zasobach nie dawała się czuć tak wygórowana stopa; więcej zwracała uwagę, jeśli i suma podatku wzrosła.

[1]) To jest w stałej sumie od ławki, sklepu etc. lub od głowy, bez względu na faktyczną zamożność jednostki.

[2]) Choć nie zawsze, bo nieraz do 10 grz. nie płacą szosu majątkowego.

Są to naturalnie tylko przypuszczenia na podstawie znanych wyników co do nieznanych motywów. Czy słusznie? Może się znajdą choćby nie u nas, obfitsze źródła, które pozwolą kiedyś tę kwestyę rozjaśnić.

Jak już z tych przepisów widzimy, nie było w mnogich uchwałach szosowych jednolitości. Tej jednolitości brak i pod innym względem. Szos składa się z kilku podatków. W Krakowie, gdzie wilkierz z r. 1385 uregulował na długo zasady poboru szosu. istniał stały stosunek (relacya) między stopami poszczególnych podatków. Jeśli więc nawet wybierano szos w podwójnej lub potrójnej wysokości, relacya ta nie ulega zmianie. we Lwowie za każdym razem, kiedy uchwalono pobór szosu, musiano także ustanowić wysokość stopy dla każdego z podatków. a więc i ich wzajemną relacyę.

W tablicy tak się to przedstawia:

Rok	od domów	od majątku			Arbitrium
		od kopy groszy	od grzywny	w %	
	groszy	groszy	groszy		groszy
1406	20	2		3·33	30
1407	20	1		1·67	12
1408	20	1		1·67	10
1409	20		1	2·08	10
1410	40		2	4·16	20
1411	40		2	4·16	20
1413	20		1	2·08	10
1414	20		1	2·08	10
1416	30		1	2·08	20
1417	30		1	2·08	15

Jak z tego widzimy dowolność jest wielka.

Jaką regułę przyjąć należy:

1) od domu 20 gr.
2) od grzywny 1 gr.
3) arbitrium 10 gr.

Lecz i tak odstępstwa są badzo znaczne. Widać. że jeszcze szukają drogi. lepszego ustosunkowania. Jaki był rezultat, nie wiemy.

Dorzucić można tylko kilka słów o sposobie składania podatku. Zawiera pewne przepisy wilkierz z r. 1417. Stanowi, iż arbitrium ma każdy położyć na stół przed egzaktora, t. j. poborcę szosu (którego bezwątpienia wyznaczała rada): zaś pieniądze składane jako szos (zapewne tylko od majątku), ma włożyć do skrzynki. W Niemczech spotyka się często ten objaw, iż mieszczanie nie chcą podawać wysokości swego majątku. Zaradzono temu w ten sposób, iż podatnik składał przysięgę na rzetelność w zapłacie szosu, ale nie podawał sumy majątku, tylko sam obliczał, ile na niego wypada i sumę tą składał, np. pod sukno, którem był nakryty stół, np. w Norymberdze. W ten sposób zabezpieczał swoją tajemnicę. Przysięga miała wielkie znaczenie, więc do kontroli jeszcze wystarczała. Tak pewnie było we Lwowie. Arbitrium równe dla wszystkich, więc nic nie wyjawiał, kto je płacił. Ma zatem dać je otwarcie na stół. Resztę składa do skrzyni, by nikt nie wyśledził z wysokości szosu jego majątku. Tak, sądzę, te słowa rozumieć należy. Czy to nowy przepis, czy tak było i poprzednio, nie da się odpowiedziec.

II.

Spisy szosowe. — Ilość podatników. — Ilość mezczyzn dojrzałych. — Obliczenie ludności miejskiej- — Ormianie. — Ogólna liczba mieszkańców Lwowa.

Dla ściągania szosu zakładano nieraz osobne regestra. Zwyczajnie, jeśli są one dokładnie prowadzone zawierają nazwiska tych, którzy podatek płacili, jak sumę złożonego szosu. We Lwowie było inaczej. Po wilkierzu, który zawiera przepisy o wysokości szosu idą długie szeregi nazwisk osób, lecz brak cyfr opłaconego przez nie podatku. Obok znajdujemy tylko krótkie zapiski, że szos zapłacili *(dedit)* lub, że ich o podatek ciążono *(gravatur)*. Tylko wyjątkowo spotykamy wzmianki, ile kto ma dopłacić, jeśli się nie uiścił w całości, lub że dał zastaw etc.

Przypuszczać można, iż spisy powstały w ten sposób. Po uchwaleniu szosu notaryusz miasta wypisywał (z reguły porządnie) nazwiska tych, którzy mieli szos płacić. Następnie zaś przy ściąganiu szosu robił dopiski, czy zapłacił szos, lub nie, i t. d. Spisy wymieniają podatników ulicami, choć niekiedy nie są podane nazwy ulic i nazwiska idą bez przerwy, (r. 1411, 1416) lub też uwzględniony jest tylko podział na kwartały miasta (1410). Obok rynku są w mieście ulice: halicka *(platea haliciensis)*, rzeźnicza *(pl. carnificum)*, łazienna *(pl. balnei)*, tatarska *(pl. tatarienis)*, Bożego Ciała *(pl. Corporis Christi)* i żydowska *(pl. eundo ad iudeos, pl. iudeorum)*. Osobno nieraz wymieniają przekupniów, zdaje się w rynku siedzących *(penestice, institores)* katolików *(catholici)*, czego objaśnić nie umiemy i Rusinów *(Rutheni)*. Wreszcie kilka razy wciągają spisy także i mieszkańców przedmieścia halickiego, a więc przebywających poza ścisłą granicą wałów miasta, *commorantes extra civitatem ante valvam haliciensem)*.

Otóż według tych spisów tak się przedstawia ilość tych, którzy byli obowiązani do szosu:

r. 1405 — 569	r. 1411 — 351
r. 1407 — 461	r. 1413 — 296
r. 1408 — 391	r. 1414 — 403
r. 1408 — 364	r. 1416 — 370
r. 1410 — 359	r. 1417 — 277

Jak widzimy cyfry są bardzo niestałe. Najwięcej odbiega od przeciętnej wysokości podatników rok 1405, głównie z tego powodu, iż oblicza dokładnie obowiązanych do szosu z przedmieścia halickiego (93). Jest to zresztą spis najdokładniejszy. Oprócz niego przytaczają przedmieszczan tylko spisy z r. 1406 i 1408, ale już w mniejszej liczbie (33, 38 osób). Brak zupełnej pewności, jak układano spisy, niemożność objaśnienia wahania się tych cyfr, sprawia, iż i rezultaty nie będą zbyt ścisłe. Zawsze jednak dadzą one pojęcie jakieś o tem, jak wysoką była ludność Lwowa w tych czasach.

Z tych cyfr jednak, które dostajemy przez samo tylko zliczenie osób, obowiązanych do szosu, nie wielką mamy korzyść. Choćbyśmy uznali, iż kiedy podatnik przedstawia jedną rodzinę, że więc mamy podaną ilość ognisk, nie wiele jeszcze wiemy. Zachodzi bowiem pytanie, co to jest rodzina, ile osób przypada na rodzinę? Wieki średnie nie dają nam pod tym względem żadnych danych. Musielibyśmy oprzeć się na dzisiejszych obliczeniach statystycznych. To zaś również tylko w kłopot by nas wprowa-

działo, bo nietylko stosunki się znacznie zmieniły, ale nawet co do pojęcia, co za rodzinę uważać należy, ani statystycy. ani spisy ludności nie są zgodne.

Za punkt wyjścia dalszych wniosków weźmiemy inne cyfry: ilość mężczyzn dojrzałych. Zawczasu tylko ostrzedz musimy, iż nie możemy ręczyć za zupełną dokładność cyfr. Trzeba było potrącić z ogólnej liczby podatników kobiety i dzieci. Wyłącznie to nie łatwe. Lakoniczne zapiski nieraz podają tylko nazwisko podatnika, tak że niewiadomo czy o mężczyznę chodzi, czy o kobietę; brzmienie zaś często zwodzić może. Trudno również być pewnym; czy wszędzie zaznaczono, iż szos płaciło nieletnie dziecko.

Z czasów średniowiecznych zachował się tylko jeden dokładny wykaz stosunku mężczyzn dorosłych do kobiet. dzieci i sług. Jest to spis norymberski z r. 1449. Pomimo wszystkich braków i wad, jakie przedstawia tego rodzaju przenoszenie stosunków z odległego niemieckiego miasta, czego taić nie myślimy, jest to jedyny sposób, by przecie dać jaki taki obraz zaludnienia Lwowa.[1]) Z tablicy tak się to przedstawia:

	r. 1405	r. 1407	r. 1408	r. 1408	r. 1410	r. 1411	r. 1413	r. 1414	r. 1416	r. 1417
Mężczyzn dorosłych	537	433	373	345	344	355	277	370	345	277
Kobiet	634	511	440	407	466	395	327	437	407	327
Dzieci	875	706	608	562	561	546	452	603	562	452
Sług	435	351	302	279	278	271	224	300	279	244
Razem	2481	2001	1723	1593	1589	1547	1280	1710	1593	1280

Według tego ludność wynosiłaby od 1280 do 2481. Pierwsza cyfra absolutnie za niska, druga kto wie, czy znów nie za wysoka.

Nie wliczyliśmy w tę ludność Ormian, od których wybierano szos bądź osobno, jak w latach 1407 i 1417, lub równocześnie z zwykłym szosem, jak w r. 1416. Po odliczeniu kobiet i dzieci z cyfry dorosłych mężczyzn w ten sam sposób obliczamy ich ilość:

	r. 1407	—	r. 1416	—	r. 1417
Mężczyzn dorosłych	63	—	92	—	73
Kobiet	74	—	109	—	86
Dzieci	103	—	150	—	119
Sług	51	—	74	—	59
Razem	191	—	425	—	337

[1]) Dokładniej się nad tą kwestyą nie zastanawiamy: rozwinęliśmy ją szerzej w rozprawie: „Ludność i majątek Kazimierza pod koniec XIV. stulecia". Tu zupełnie tej samej trzymamy się metody.

Zważyć przecież musimy, iż nie jest to cała ludność Lwowa. Obok mieszczan, których pociągano do szosu, obok Ormian, jeszcze są we Lwowie trzy klasy ludzi, których tu niewolno pominąć. Wprawdzie nie mają oni prawa obywatelstwa w mieście, przecież w niem siedzą. Są to: duchowieństwo, szlachta i Żydzi. Pierwszych nie można było pociągać do ciężarów miejskich. Szlachta, o ile nie przyjęła obywatelstwa, mogła płacić tylko podatek od posiadanych w mieście domów. Możemy jednak sądzić, że się od tego również uchylała. Wreszcie Żydzi podlegali jurysdykcyi wojewody ponosili ciężary tylko na rzecz króla, nie miasta. Szlachty na pewno było w mieście bardzo niewiele, więcej duchowieństwa, Żydów, jak można wnosić z dość częstych o nich wzmianek, dość dużo. Bliżej oznaczyć się nie da. Trudno jednak przypuścić, by te trzy warstwy wynosiły więcej, niż co najwyżej $^1/_4$ części ludności.

Jeślibyśmy więc nawet przypuścili, że niektóre cyfry zbyt nisko przyjęliśmy, możemy przecież twierdzić, że ludność Lwowa w każdym razie — nawet wraz z mieszkańcami przedmieścia, szlachtą, duchowieństwem i Żydami — nie dochodzi do pięciu tysięcy. Zostawiamy więc na błąd dużą granicę. Wynik przez to nie ulega zbyt wielkiej zmianie. Nie chodzi o dokładne cyfry: chcemy dać tylko wyobrażenie, jak liczną m n i e j w i ę c e j była ludność Lwowa. A to, co powiedzieliśmy, wystarczy dla stwierdzenia, iż było to niewielkie miasteczko. Lecz to już cechą miast średniowiecznych. Nie większe były pewnie: Poznań i Kraków.

Dr. Stanisław Kutrzeba.

KRONIKA LITERACKA.

Stanisław Schnür-Pepłowski: *Opowieści historyczne.* Lwów 1899. in 8°, str. 230.

W smutnych i ciężkich kolejach naszego porozbiorowego bytu miotani byliśmy na przemian to złudzeniami uroczych nadziei, to odrzucani w przepaście zwątpienia i rozpaczy, w których zaledwie, że nie z życiem rozstać się przychodziło, a przecież odradzaliśmy się w naszych pokoleniach na gruncie tych nikłych nadziei i rozczarowań zawsze z tem tętnem życia, z tą nigdy nie zagasłą iskrą długiej dziejowej egzystencyi w żywej tradycyi wypielęgnowanej, która nam dodawała sił nowych do pracowania dla dobra ojczyzny... Oto takie myśli przyszły nam do głowy, gdyśmy odczytali wyżej zatytułowaną pracę p. Schnür-Pepłowskiego, który słusznie powiada, że to, co dla ojców naszych było jeszcze żywą kartą, na której przodków spisywano czyny, dla dzisiejszego pokolenia staje się czemś obcem, nieznanem wobec zanikania ustnej tradycyi, przeobrażającej się z czasem w mistyczną legendę, albo też przepadającej bez śladu. Żeby więc pamięć powstania legionów nie zaginęła w stuletnią rocznicę, autor przypomina nam o nich w udatnych, zajmujących opowiadaniach. Na pierwszem miejscu jest mowa o Antonim Kosińskim, znanym ogólnie pod imieniem Amilkare (str. 3—33), a zaszczyconym przez towarzyszów broni mianem pierwszego legionisty (1769—1823 r.), dzielnym w swoim czasie żołnierzu, a potem postępowym agronomie, który i piórem pracował. Autor zgromadził tu wiele ciekawych szczegółów o przygotowaniach naprzód do powstania Kościuszkowskiego na Litwie i o ogniskach życia patryotycznego, co się skupiało około Prozora, obożnego, w Chojnikach i szefa Działyńskiego w Trojanowie w Kijowskiem; a potem przedstawił działalność swego bohatera na szerszem polu we Włoszech. — Następuje potem życiorys Ottona Karola Kniaziewicza herbu Murdelio (1762—1842 r.), którego autor mianuje niezłomnym (od str. 33—116). Przyszły zwycięzca pod Hohenlindem urodził się w Kurlandyi niedaleko od Libawy; matką jego

była protestantka, Niemka, Konstancya Korff, a ojciec, zniemczały Polak, nazywał się Jan Kazimierz. Karola wychowano w wyznaniu matki, a język niemiecki był pierwszym, jakiego chłopiec w domu używał; dopiero w korpusie kadetów w Warszawie w gronie kolegów zdołał się on pozbyć niemczyzną skażonej mowy, oraz tam przyjął wyznanie katolickie. Autor opisuje dalsze losy swego bohatera i pierwsze jego występy wojskowe w bardzo zajmujący sposób. Bitwa pod Civita Castellana, zajęcie Gaety, zwycięstwo pod Hohenlinden, uwydatnione w tym opisie w należyty sposób; przykrego jednakże doznaje się wrażenia, czytając ustęp o gospodarowaniu naszych w Wiecznem Mieście i to jeszcze w cudzym interesie... Pokój w Luneville przekonał Kniaziewicza, że Napoleon na seryo nie myślał o Polsce, podał się więc do dymisyi i zamienił oręż na lemiesz, parę lat gospodarując na wsi. W tym czasie ożenił się z Maryą z Morsztynów Stecką, wdową po Karolu Steckim, pułkowniku wojsk polskich, a matką słynnej z urody Aleksandry, wydanej później za Michała Radziwiłła, naczelnego wodza z r. 1831. Ale niebawem zawrzała nowa wojna Napoleona z Rossyą; zacny generał znowu uwierzył, że nadeszła chwila wskrzeszenia Polski, natychmiast więc był powtórnie w szeregach wojskowych i walczył odważnie, zapamiętale i znowu — na próżno! Zgryziony moralnie, cierpiący fizycznie, owdowiały Kniaziewicz i po tych wypadkach pracował, ile tylko mógł dla dobra swego społeczeństwa naprzód w kraju, dopóki okoliczności pozwalały, a potem znowu na emigracyi w Paryżu, gdzie, pochowawszy swego przyjaciela, Niemcewicza, sam się przeniósł do wieczności, będąc do ostatka dni swoich niezłomnym patryotą.

Dalej podana sylwetka rycerza-poety, t. j. Cypryana Godebskiego (119—137). Cypryan Godziemba Godebski (1765—1809), wychowaniec Pijarów dąbrowickich, bard legionów, który pieśniami bohaterskiemi boje opiewał ziomków, był wiceregentem w Łucku, potem za rządu rossyjskiego naczelnikiem czasowego powiatu dąbrowickiego, lecz niedługo tam urzędował i został następnie powstańcem Kościuszkowskim, a po upadku powstania, gdy zasłyszał o legionach, to w r. 1798 już oparł się w Rzymie przy boku generała Rymkiewicza i z nim walczył w Mantui, wydając tam dla żołnierzy Dekadę (co oznacza miesiąc w kalendarzu republikańskim). Brał potem udział w bitwach nad Renem, a po pokoju Lunewilskim podał się do dymisyi i powrócił do kraju, odznaczając się na polu literackiem, jako członek Towarzystwa Przyjaciół nauk w Warszawie. W r. 1806 znowu został żołnierzem i w bitwie pod Falentami kilkakrotnie ranny wyzionął bohaterskiego ducha. — Nakoniec umieszczone opowiadanie Santo Domingo (141—230), na piaskach którego i w głębiach otaczającego tę wyspę oceanu, jak trafnie

powiada autor, spoczęły kości naszych bohaterów bezimiennych, żołnierzy obcej sprawy, którzy głowę nałożyli za złudne nadzieje, jakiemi kupiono ich ramię...

Autor przebiega naprzód historyę tej wyspy, która dawniej nazwę Haiti nosiła, potem opisuje naturę i płody tej miejscowości, nakoniec opowiada przygody straszne, walki, okropne choroby, na jakie narażone były nasze legiony, wysłane na wyspę San-Domingo. Pan Schnür-Pepłowski utrzymuje, że do naszych czasów zachowało się tam około pięćdziesięciu rodzin, noszących polskie nazwiska: są to potomkowie legionistów, naturalizowanych w r. 1804.

WOŁYNIAK.

Tytuły dziedziczne w oświetleniu obowiązującego prawodawstwa, napisał Józef Ostroróg-Sadowski. — Warszawa 1899, in 8°, str. 111 + III.

Pracę tę możnaby na dwie podzielić części, różnej doniosłości i znaczenia naukowego: przepisy o tytułach, obowiązujące w cesarstwie rosyjskiem i Królestwie kongresowem, ze spisem książąt, hrabiów, baronów (wraz z listą imienną osób, którym w r. 1824 dozwolono używać tytułów honorowych) według wykazu departamentu heroldyi w Petersburgu z roku 1895; i historya tytułów dziedzicznych w Polsce od najdawniejszych czasów.

Pierwsza część, uwzględniająca postępowanie prawne w razie potwierdzenia tytułu, nadania, wznowienia, orzekająca odpowiedzialność karną za używanie tytułu niedozwolonego, traktująca o tytułach cudzoziemców w Rossyi, ma praktyczne ważne zastosowanie, a podany spis rodzin utytułowanych jest cennym materyałem do dziejów naszej heraldyki i dlatego pozwalamy sobie w przypisku [1]) zacytować te rody, którym Rossya przyznała tytuły honorowe; nie możemy, niestety, powie-

[1]) Borkowski (Rody utytułowane polskie) wylicza 14 książęcych familii, ale w Rossyi przyznano tytuł tylko 12: 1) Gedrojciom, 2) Druckim-Lubeckim, 3) Jabłonowskim, 4) Lubomirskim, 5) Massalskim, 6) Ogińskim, 7) Radziwiłłom, 8) Sanguszkom, 9) Sapiehom, 10) Światopełkom-Mirskim, 11) Swiatopełkom-Czetwertyńskim i 12) Woronieckim. — Tenże Borkowski utrzymuje, że mamy hrabiowskich rodów 120, a oprócz tego 17 papieskich hrabiów. W Rossyi ta liczba i do połowy nie dochodzi; są tam przyznani: Bobrowscy, Borchowie, Braniccy, Brzostowscy, Bielińscy (lecz ci już wymarli — dodajemy od siebie), Chołoniewscy, Grabowscy, Grocholscy, Gurowscy, Huttenowie-Czapscy, Jezierscy, Ilińscy, Kwileccy, Kicińscy, Komorowscy, Korwinowie-Kossakowscy, Krasińscy, Krasiccy, Krukowieccy, Ledóchowscy, Lubienieccy,

dzieć, że druga część tej pracy z dodatniej odznacza się strony! Najnowsze dzieła z dziedziny heraldyki (prace znakomite Piekosinskiego) i z genealogii (dra Wolff: „Kniaziowie Litewsko-Ruscy), jak się zdaje, nie są autorowi znane i dlatego pomiędzy innemi miesza dawnych polskich comesów z comesami S. I. R.: nie widzi jasno różnicy pomiędzy naszymi comesami do XIV. w. a późniejszymi grafami i hrabiami: powoływanie się zaś na przewodniki heraldyczne Kosińskiego w tych kwestyach nie wytrzymuje już żadnej krytyki. Twierdzenie, że rodzina Potockich opiera swoje prawa do tytułu hrabiowskiego na nadaniu Kazimierza W. z r. 1390 Janowi na Dobczycach Potockiemu (str. 52), bardzo jakoś dziwnie wygląda: nazwiska nasze rodowe ostatecznie się sformułowały, jak wiadomo, dopiero w XV. w. najwcześniej, że już nie mówię o tem, że to wielka kwestya, czy Dobczyce należały do tego rodu, o którym w monografii porządnej Kossakowskiego zupełnie co innego znajdujemy.

Mówiąc o rodzie Moszczeńskich, wspomina autor Dobiesława księcia mazowieckiego; otóż jeżeli to nie omyłka w aktach (raczej Bolesław), to istnienie owego Dobiesława bardzo problematyczne! Na str. 47 znajdujemy, że pierwszy raz użyty został tytuł hrabiowski w r. 1436: *Stanislai Graff de Szreńsko*; ale inni heraldycy wymieniają tego Stanisława Szreńskiego z przydomkiem Grad: w statucie Łaskiego jest wyraźnie o tem mowa, więc ów Graff można uważać po prostu za omyłkę. Rozdrażewscy rzeczywiście otrzymali tytuł hrabiowski przez nieporozumienie, ale od Stefana Batorego, więc w roku 1579 (zamiast 1555 r., str. 49). Idąc dawnym torem, autor nazywa Woronieckich Korybutami, a przecież już dziś dowodnie wiadomo, że Woronieccy są pochodzenia ruskiego, są potomkami pińsko-turowskich książąt, z tego samego gniazda, co kniaziowie Nieświccy (por. Wolff). Że Sapiehowie zostali uksiążęceni dopiero w XVIII. w. i że od książąt litewskich nie pochodzą, świadczy o tem tenże sam Wolff i znakomita monografia tego zasłużonego rodu, niedawno w Petersburgu wydana. — Moglibyśmy jeszcze wykazać niektóre usterki, ale już dosyć tego, nie możemy się jednakże

---

Łubieńscy, Małachowscy (podobno na wymarciu), Mikorscy, Miączyńscy, Mostowscy, Moszczeńscy, Ożarowscy, O'Rourke, Ostrowscy, Ostrorogowie, Platerowie (Broel, dodajemy to od siebie), Platerowie-Zyberkowie, Poletyłłowie, Potoccy, Potuliccy, Przeździeccy, Rzewuscy, Ronikerowie, Skarbkowie, Stadniccy, Starzeńscy, Suchodolscy, Sierakowscy, Tarnowscy, Tyszkiewiczowie, Uruscy, Walewscy, Wielopolscy, Wodziccy, Wołłowiczowie, Wielhorscy, Zamoyscy, Zboińscy. Kilka rodów, mających tytuły baronowskie, z bliżej nas obchodzących: Wyszyńscy, Kosińscy, Puszetowie, Manteufflowie, Reyscy, Ungern-Sternbergowie (na Białej Rusi) i Stempelowie (na Żmudzi i Kurlandyi).

powstrzymać, aby nie wyrazić zdziwienia naszego, że autor, podając spis rodów, użył do tego porządku alfabetycznego rossyjskiego! Nadto nie chciał uwzględnić należytej pisowni nazwisk, spotykamy więc takie dziwolągi: Łotrek de Tołuz, Gejking, Renne, Zas, O'Rurk itd. itd. Dziwnie także brzmią takie formy: Szczerbatowy, Erestowy, Strogonowych, *gen. pl.* Murawiewych i t. d.

Wołyniak.

Dr. Zygmunt Balicki: *Parlamentaryzm.* Zarys socyologiczny. Tom I. — Lwów. Wydawnictwo „Wiedza i Życie". 1900.

Jest to studyum o jednem z najbardziej aktualnych zagadnień spółczesnych, autora, znanego z kilku prac polityczno-socyologicznych, ogłoszonych w języku francuskim. Pracy swej postanowił on nadać charakter naukowy, nie zaś polityczny. Sąd o całości będzie można wyrobić sobie dopiero po ogłoszeniu dalszej, względnie dalszych części dzieła.

J. B. Chołodecki: *Kilka szczegółów z przeszłości miasta Jarosławia w ziemi przemyskiej.* — Lwów 1900.

Jest to ujęty w jedną całość zarys wybitniejszych momentów w historyi miasta Jarosławia, ciekawy przyczynek do posiadających jeszcze tyle luk dziejów ważniejszych miejscowości historycznych w ziemiach polskich.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ".